

2

SKARPA

KWARTALNIK LITERACKI

REVISTA POLONÊSA «SKARPA»



ANO II — ABRIL, MAIO e JUNHO — 1965

N.º 3

União Química Paulista S. A.

S A O P A U L O

Escritório: Rua Alvaro de Carvalho, 118, conj. 503/4

Tel.: 36-4532

Fábrica e Depósito: Rua Domingos Paiva, N.º 332 —

Tel.: 92-1919

Enderêço Telegr.: “ A N I L I C Q U A ”

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

**Anilinas e auxiliares p/indústrias: textil, couro e
papel de**

E. I. DU PONT DE NEMOURS & CO., U. S. A.

**“LATYL”, “DEKATYL”, “PONSOL”, “SULFANTHRENE”,
“LEUCOSOL”, “PONTAMINE”, “PONTACHROME”,
“CHROMACYL”, “CAPRACYL” ETC.**

**ARIDEX, AVITONE, AVITEX, ALKANOL, DUPONOL,
ZELCON, ZESET, ZELEC, ZELAN ETC.**

REPRESENTANTES PARA O BRASIL DE

INDUSTRIE CHIMICHE BARZAGHI - UFA, Italia

**Produtos p/ acabamento Textil e Indústria Petro-
lífera na base de resina e celulose
SOLIDINA, GELOGUM, etc.**

CHEMISCHE FABRIK RUDOLF & CO., Alemanha

Especialidades p/ beneficiamento de fibras em geral

R U C O N E T Z E R etc.

P. Kubacki

Revista Polonêsa "SKARPA"

ANO II N.º 3 — Abril, Maio e Junho — 1965

DIRETOR RESPONSÁVEL: Sylvia da Fonseca.

Redator: Seweryn A. Hartman.

Editada: pela Revista Polonêsa "Skarpa".

Redação: Rua Barão de Itapetininga, 221 s. 1203 f. 35-55-84

Administração: Rua Barão de Itapetininga, 255 s. 514.

Caixa Postal, 6335, São Paulo - Brasil

Assinaturas: Cr\$ 2 000 anuais (4 números).

Para o exterior: US \$ 3.00.

Número avulso: Cr\$ 600.

Composto e impresso na "Gráfica Vicentina Ltda." — Alameda Cabral, 846 — Curitiba - Paraná.

Stanisław Koszutki

BITWA POD FALAISE

I ROLA POLSKIEJ
DYWIZJI PANCERNEJ
W OKRĄŻENIU 7-EJ
ARMII NIEMIECKIEJ



Dnia 6 czerwca 1944 r. siły alianckie wylądowały w Normandii. Zaczęła się inwazja Europy.

Siły alianckie, znajdujące się pod bezpośrednim dowództwem marsz. B. Montgomery, nosiły nazwę 21 Grupy Armii i składały się z 1-szej Armii Amerykańskiej (gen. Omar Bradley) i 2-iej Armii Brytyjskiej (gen. Dempsey). Każda z tych armii lądowała w składzie dwóch korpusów (5 i 7 amerykańskie, 30-y brytyjski i 2-i kanadyjski). Razem w początkowej fazie operacji lądowało w pierwszym i drugim rzucie 11 dywizji piechoty, 3 dywizje powietrzne i 7 brygad czołgów.

Armia była wsparta olbrzymim lotnictwem taktycznym i strategicznym w liczbie: 4035 ciężkich i 1700 lekkich bombowców, 5000 samolotów myśliwskich i 2000 transportowych. Prócz lotnictwa wojska lądujące wspierane były ogniem okrętów wojennych.

W miarę rozszerzania zdobytego przyczółka siły alianckie stale rozbudowywano tak, że w dniu 7 sierpnia 1944 r. liczyły one siedem korpusów amerykańskich i pięć brytyjskich, razem: 27 dywizji piechoty, 9 dywizji pancernych i jedna dywizja powietrzno-desantowa.

Przeciwnikiem lądujących aliantów na kontynencie europejskim była niemiecka Grupa Armii B w składzie: 7 i 15 Armii oraz Grupy Pancernej "Zachód". Razem na froncie zachodnim Niemcy posiadali: 50 dywizji piechoty, 10 dywizji pancernych. Z sił tych w bitwie normandzkiej brało udział 37 dywizji piechoty, 3 dywizje grenadierów pancernych i wszystkie dywizje pancerne. Dowódcami frontu zachodniego byli kolejno: marsz. Rundstedt (do 2 lipca), marsz. Kluge (do 17 sierpnia) i gen. Model. Dowódcą Grupy Armii B był marsz. Rommel, a po jego zranieniu Grupa podlegała bezpośrednio dowódcy frontu "Zachód". Siódmą armią dowodził początkowo gen. Dollman, a od 28 czerwca gen. Hausser. Na czele piętnastej armii stał gen. Salbruth, a grupą wojsk pancernych dowodził od 2 lipca gen. Eberbach.

Plan operacyjny aliantów opracowany został przez Łączny Sztab w postaci jak gdyby "rozkładu jazdy" do wykonania przez dowódców połowych. Ten "rozkład jazdy" przewidywał osiągnięcie pewnego dnia określonych linii terenowych, a więc np. dnia siedemnastego miano osiągnąć łuk terenowy od Caen do Granville, dnia dwudziestego — Caen — Avranches, dnia dwudziestego piątego — Falaise — Rennes i td., aż do dnia dziewięćdziesiątego, kiedy spodziewano się dotrzeć na północy do Sekwany, a na południowym zachodzie do Loary.

W skrócie można powiedzieć, że alianci zamierzali:

- w pierwszej fazie — stworzyć przyczółek na wybrzeżu frontem na południe,
- w drugiej fazie — wybić się z przyczółka i przesunąć front w kierunku wschodnim,
- wreszcie — rozpocząć wielką operację zaczepną w kierunku wschodnim z równoczesnym opanowaniem półwyspów: Normandzkiego i Bretońskiego.

W celu wykonania pierwszej i drugiej fazy lewe skrzydło aliantów (Anglicy), będąc jak gdyby zakotwiczone, miało zrobić jedynie pół zwrotu w prawo, stojąc prawie na miejscu, podczas gdy skrzydło prawe (Amerykanie) musiało zatoczyć duże łuk po zewnętrznym promieniu koła, pokonując znacznie większą przestrzeń.

Był to, oczywiście, plan generalny, oparty na przewidywanej reakcji nieprzyjaciela i stosunku sił walczących. Plan ten jednak Eisenhower i Bradley widzieli raczej jako ogólne wytyczne koordynujące działalność z możliwością dużych odchyień w zależności od sytuacji faktycznej, podczas gdy Montgomery traktował go sztywno, nie przewidując odchyień, ani zmian. Doprowadziło to w praktyce do wielu konfliktów i nieporozumień, działających w konsekwencji na korzyść przeciwnika.

Alianci sądzili, że po osiągnięciu przewagi i rozpoczęciu wielkiej akcji zaczepnej — Niemcy wycofają się za Sekwanę i tam dopiero rozegra się następny akt dramatu, nie zaś w Normandii, gdzie nastąpiło lądowanie. Rzeczywistość w dużej mierze odbiegła od tego założenia. W ciągu pierwszych sześciu dni 21 Grupa Armii zdołała zaledwie dotrzeć do przedpoła Caen, a na zachodzie — przez Tilly, las Cerisy i St. Lo do Carentan. Wszystkie cztery początkowe przyczółki czterech korpusów zostały połączone i osiągnięto prawie jednolity front, dostatecznie odległy od morza, co zabezpieczało dalsze rzuty lądowań przed ogniem artylerii niemieckiej. Prawie wszędzie natrafiano jednak na silny i zdecydowany opór. W kilku miejscach Niemcy wykonali nawet zdecydowane przeciwnatarcia i sytuacja wciąż jeszcze była bardzo napięta.

Przewaga aliantów, głównie w lotnictwie, które praktycznie wymiotło z powietrza lotnictwo Goeringa, i w ogromnym stopniu paraliżowało dzienne ruchy odwodów, została częściowo wyrównana dzięki wartościom bojowym jednostek niemieckich. Wygi bojowe kilku kampanii były się tu z jednostkami "zielonymi", przechodzącymi dopiero w Normandii swój pierwszy chrzest bojowy.

Od dnia 12 czerwca do 22 lipca, mimo stałej i niezwykle intensywnej działalności bojowej, zaczepnego parcia naprzód, front przesunął się zaledwie o 8 do 10 km. na południe. Zdobyto jedynie ważny węzeł drogowy Caen.

Działania aliantów w tym okresie przypominają taktykę marsz. Foch'a w czasie pierwszej wojny światowej. Uderzenia następowały na wschodniej, to znów na zachodniej lub środkowej części frontu, zmuszając Niemców do stałego przerzucania odwodów pancernych z jednego odcinka na drugi, co powodowało ich wykruszenie głównie na skutek bombardowań powietrznych. I tak np. 22 lipca, kiedy rozpoczęło się natarcie 2 Armii brytyjskiej na południowy zachód od Caen, Niemcy przetrucili tu cztery dywizje pancerne z amerykańskiego odcinka frontu, których zabrakło, gdy w dwa dni później rozpoczęło się natarcie przełamujące armii Bradley'a.

Dzień 24 lipca stał się punktem zwrotnym kampanii. O świcie tego dnia trzy dywizje piechoty i dwie dywizje pancerne 7 Korpusu na zachód od St. Lo oraz trzy dywizje piechoty i jedna pancerna 8 Korpusu pod Perrier, wsparte dwoma tysiącami bombowców, uderzyły na stanowiska niemieckie.

Dnia 26 lipca front niemiecki pękł pod St. Lo, Perrier i Lassay, rozdarty przez rekrutów amerykańskich. W rejonie przełamania rozbito i zlikwidowano trzy niemieckie dywizje piechoty i dywizję pancerną "Lehr". 2 i 17 dywizje pancerne SS zdołały się wycofać na wschód. Jednostki amerykańskie, posuwając się wzdłuż zachodniego wybrzeża Atlantyku, osiągnęły 27 lipca Coutenance i Cerize, a 31 — rejon Avranches — Ducey, Villadier i Vire. Front niemiecki został przzerwany na przestrzeni 15 km i Niemcy odcięci od morza. Początkowy cel aliantów przejścia z frontu zachodnio-wschodniego na front północno-południowy był osiągnięty.

Przez wybitą dziurę runęła na południe i wschód nowo utworzona 3 Armia Amerykańska pod dowództwem generała, którego imię rozbrzmiało wkrótce donośnym echem na wszy-

stkich polach bitewnych, imię — George'a Pattona. Armia ta wylała się szerokim wachlarzem: — na zachód w kierunku na Brest i rzekę Loarę, — na południe w stronę Rennes i Angers, — na wschód w kierunku La Mans, Mayen, Domfort — Paryża!... W ten sposób front niemiecki od Villers — Bocage po Caen został przeskrydlony.

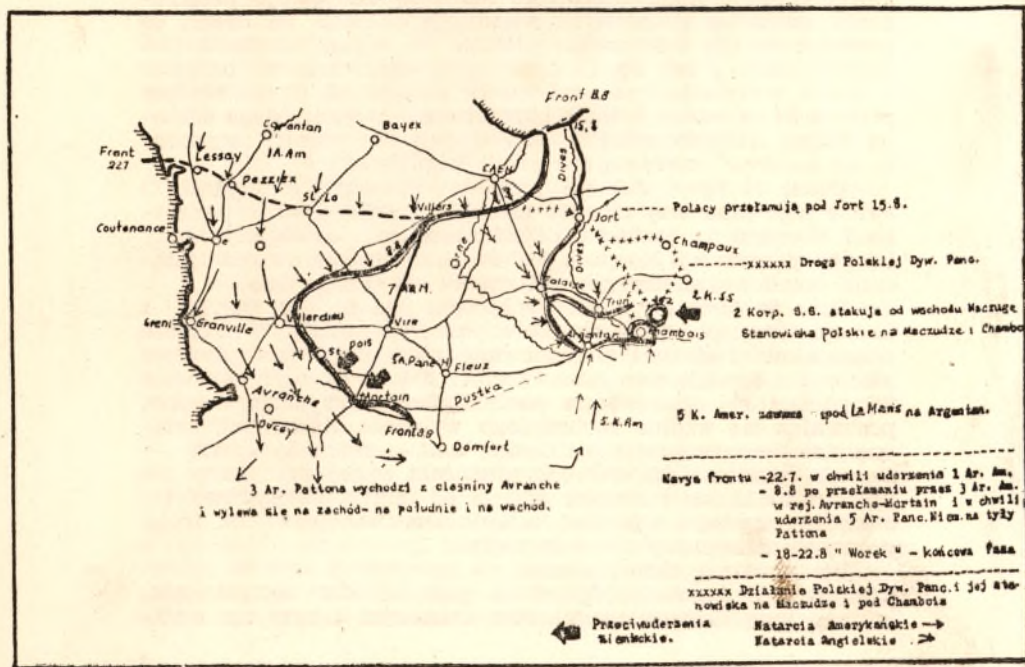
W dniach od 6 do 8 sierpnia dywizje Pattona zdobyły La Mans, Mayen i Domfort. Z punktu widzenia dowodzenia obu stron wytworzyła się niesłychanie ciekawa sytuacja. Nadszedł moment podjęcia zasadniczych decyzji.

Strona niemiecka miała do wyboru dwie ewentualności:

— odwrót wszystkich sił za Sekwanę,
— albo zwrot zaczepny odwodami pancernymi na skrzydło i tyły 3 Armii Pattona i pobicie jej przy jednoczesnej obronie na pozostałym froncie.

Niemieccy dowódcy frontowi, bezpośrednio zaangażowani w walce, rozumieli doskonale szalone ryzyko zaczepnego działania na tyły Pattona głównie wskutek olbrzymiej przewagi lotnictwa aprzymierzonych; uznawali oni konieczność zrezygnowania z tego działania i potrzebę natychmiastowego odwrótu za Sekwanę.

Byli to generałowie: Hausser, Sep Dittrich i Eberbach. Nie mieli oni jednak wiele do mówienia w sprawach decyzji zasadniczych. W dalekim Kostrzynie, w Prusach Wschodnich, oddalonym o 3.000 km od frontu zachodniego, naczelny wódz Adolf Hitler, obłąkany wściekłością, na skutek niepowodzeń na froncie rosyjskim i przerwania "niezwycięzonego Wału Atlantyckiego" obłąkany nychą, zarozumiałością i wiarą w siebie i prze-



naczenie narodu niemieckiego, pobierając decyzje wojenne pod "natchnieniem" teutońskich bogów, widział w działaniu 3-iej Armii Ameykańskiej okazję, którą nasuwało samo przeznaczenie: pobicia aliantów w Normandii.

Bez konsultacji z dowódcą frontu zachodniego, wbrew logice, wydaje dn. 31 lipca rozkaz uderzenia na tyły Pattona, rozkaz niesłychanie szczegółowy: cztery dywizje pancerne, jedna dywizja grenadierów pancernych i jedna dywizja piechoty, sformowane jako 5-ta Armia Pancerna, mają pod dowództwem gen. Eberbacha uderzyć dn. 8 sierpnia z regionu Mortain-Vire na Avranches, odciąć siły Pattona i pobić je. W celu dokładnego wykonania rozkazów, dla ich dopilnowania, Hitler wysłał osobistego pełnomocnika gen. Willmонта.

Mimo nalegań generałów: Eberbacha i Sep Dietricha gen. Hausser nie próbuje oponować, chociaż widzi w decyzji Hitlera szaleństwo i widmo klęski. Zaslania się rozkazem Fuehrera i nakazuje jego wykonanie, przyspieszając jedynie termin natarcia z 8 na 7 sierpnia. Tyle tylko wyjednał od naczelnego wodza.

O świcie dn. 7 sierpnia 5-ta Armia naciera mając na kierunku swego uderzenia jedną tylko amerykańską 30 Dywizję Piechoty. Początkowo uzyskuje sukces posuwa się o ok. 15 km. Zostaje jednak następnie zatrzymana, po czym praktycznie zdruzgotana na skutek natychmiastowej interwencji lotnictwa sprzymierzonych, które jedynie w pierwszym dniu działania wykonało ponad 1.200 lotów na czołgi niemieckie.

Nazajutrz sparaliżowany został wszelki ruch dzienny pojazdów, uniemożliwione zaopatrzenie i zerwana łączność. Nieszczęsne jednostki niemieckie znalazły się w potrzasku. W dodatku już dn. 8 sierpnia wieczorem gen. Bradley rzucił przeciwko Niemcom swoje odwodowe pięć dywizji piechoty i dwie pancerne.

Jasne więc było już w drugim dniu natarcia, że przedsięwzięcie Hitlera jest niewykonalne. Należało zarządzić natychmiastowy odwrót. Ale Hitler z uporem wariata nakazał kontynuowanie szaleństwa. W dniach 10 i 11 sierpnia 5-ta Armia Pancerna ponowiła natarcie i została po raz wtóry zatrzymana, tracąc co godzina coraz więcej czołgów i ludzi. Dopiero 13 sierpnia Hitler zgodził się nakazać odwrót.

Tak wyglądała sytuacja strony niemieckiej. Dodać wypada, że podczas gdy załamywało się natarcie armii pancernej Eberbacha pod Mortain, a Patton podchodził pod La Mans. reszta frontu niemieckiego trzymała się twardo. Wskutek tego cały front z mniej więcej linii prostej w końcu lipca (wschód - zachód) przekształcił się ok. 18 sierpnia w zarys litery U, zwróconej na wschód o dłuższym ramieniu południowym i wierzchołku północnym w regionie miasta Caen. Umożliwiało to otoczenie Niemców w rejonie Falaise-Trun-Argentan — okazja niebywała, będąca następstwem obłąkańczej decyzji Hitlera nakazania awantury pod Mortain i nie rozpoczęcia odwrotu. Aby tę okazję wykorzystać trzeba było jedynie jedności myśli i działania, koordynacji dwóch grup armii na szczeblu dowództwa, któremu te grupy armii podlegały.

Czy to nastąpiło? Dziś po dwudziestu latach można powiedzieć, że tej jedności działania w ogóle nie było. Eisenhower

widział, niewątpliwie możliwość zniszczenia Niemców. Brak jednak dowodów, aby wydał w tym kierunku jakieś rozkazy, czy dyrektywy dowódcom grup armii.

ZAMKNIĘCIE "WORKA FALAISE"

Otoczenie armii niemieckiej wydaje się samorzutną lub kolektywną decyzją Montgomery'ego i Bradley'a, kiedy dn. 8 sierpnia Monty organizuje natarcie Korpusu Kanadyjskiego pod Caen w kierunku południowym, a Bradley tego samego dnia wysuwa 15-y Korpus armii Pattona na północ spod Mans na Chambois. Obaj ci dowódcy biorą dziś na siebie wyłączną zasługę otoczenia Niemców, ale wydaje się, że była to więcej zasługa Bradley'a, niż Montgomery'ego, gdyż ten ostatni nacierając pod Caen kontynuuje raczej stary plan operacji.

Tak, czy inaczej — obie grupy armii rozpoczynają dn. 8 sierpnia okrążanie Niemców w tzw. "worku Falaise". Czy i jakie siły niemieckie zdołają się z okrążenia wydestać zależą będzie od mocy i szybkości działania alianckich ramion okrążających i od zdolności Niemców utrzymania przestrzeni pomiędzy obejmującymi ich ramionami. Wydawało by się, że aliansi dołożą teraz wszelkich starań, aby dorzucić do historii wojen nowe Kanny, Tannenberg lub Stalingrad poprzez okrążenie i zniszczenie 7-ej Armii Niemieckiej. W znaczeniu wojskowym znaczyło to użycie maximum sił i środków na głównym kierunku działania, którym stał się otwór worka w regionie Falaise-Argentan, gdzie Niemcy musieli się wycofywać.

Cóż się jednak stało w rzeczywistości?

Do operacji zamknięcia "worka Falaise" Montgomery skierował właściwie jeden tylko korpus kanadyjski w sile dwóch dywizji pancernych i dwóch dywizji piechoty, a Bradley — jeden słaby, świeżo utworzony korpus. Korpus ten (15-y) pod dowództwem gen. Haislip'a miał zawrócić spod La Mans na północ i dotrzeć do rejonu Argentan. Bradley zabronił jednak temu korpusowi przekroczenie na północ linii rozgraniczającej 21 i 22 grupę armii tj. mniej więcej linii równoleżnika Argentan, przy czym tak uzasadnia tę decyzję:

- obawą bezpośredniego zetknięcia się i postrzelania z jednostkami angielskimi,
- obawą zamknięcia "worka" niedostatecznymi siłami 4-ech jednostek amerykańskich wobec 19 dywizji niemieckich,
- zwyczajną niechęcią angażowania jedynie jednostek amerykańskich w decydującym momencie bitwy.

Zawrócony spod La Mans 15 Korpus dociera 13 sierpnia pod Argentan prawie bez oporu i według rozkazu zatrzymuje się, przyglądając się bezczynnie jak przed nosem uchodzą mu na wschód siły niemieckie zgodnie z nakazaniem w tym dniu odwrotem. Patton, pod którego dowództwem pozostawał 15-y Korpus unieruchomiony pod Argentan, gdy droga na wschód na dolną Sekwanę i Paryż była prawie wolna, przeklinał Eisenhowera i Montgomery'ego. Zaproponował w końcu Bradleyowi zaniechanie okrążenia pod Falaise i zniszczenie Niemców dalej na wschód przy pomocy przerzucenia 15-ego Korpusu daleko na tyły niemiecką nad Sekwanę i Mont Gassicourt. Bradley przy-

jął tę propozycję i nakazał 15-emu Korpusowi marsz na Sekwanę, przy czym dla zamknięcia "worka Falaise" pozostawił korpus prowizoryczny w składzie trzech dywizji piechoty pod dowództwem gen. Gerow'a, dotychczasowego dowódcy 5-go Korpusu.

Przerzucenie 15-ego Korpusu na Sekwanę i reorganizację dowodzenia pod Argentan Bradley przeprowadził bez wiedzy gen. Montgomery. Kiedy dn. 19 sierpnia Monty dowiedział się o tym miał rzekomo odetchnąć z ulgą:

"Zasięga pobicia Niemców pod Falaise przypadnie armii brytyjskiej".

Jak przedstawiały się wypadki na froncie brytyjskim?

W wykonaniu rozkazu dowódcy 21 Grupy Armii o świcie dn. 8 sierpnia wychodzi natarcie 2-go Korpusu kanadyjskiego. Uderzają wsparte ogniem olbrzymiej artylerii 2-ga kanadyjska i 51-a szkoła dywizji piechoty. Mają one przebiec umocnione pozycje niemieckie na południe od Caen. Kierunek natarcia — prawie dokładnie na południe wzdłuż szosy Caen-Falaise.

W ślad za dywizjami piechoty powinny wyruszyć: 1-sza Polska Dywizja Pancerna i 4-ta Kanadyjska Dywizja Pancerna, aby dokończyć włamanie i ostatecznie przebić pozycje Niemców w rejonie Dives-Falaise, po czym połączyć się z Amerykanami idącymi z południa. Działanie Polaków ma wesprzeć 800 samolotów bombowych.

Po początkowym powodzeniu Szkoci i Kanadyjczycy spychają przednie umocnienia niemieckie, ale utykają na skraju głównej obrony. Lotnictwo bombarduje własne stanowiska, głównie artylerii wsparcia. 10-ta Polska Brygada Pancerna wpada w pierwszym rzucie na ufortyfikowane stanowiska i ponosi szalone straty. Z nacierających dwóch pułków jeden tylko 2-gi Pułk Pancerny z 34 czołgów traci 27. Straty w ludziach wynoszą ok. 80 rannych i zabitych. Ginią bardzo wielu oficerów w obu pułkach, w tym trzech dowódców szwadronów. Wobec ogromnych strat nie można kontynuować natarcia na Falaise.

Dnia 9 sierpnia ponawiają działanie 1-szy Pułk Pancerny i 8-my Batalion Strzelców. Jednostki te wychodzą na pozycje głównego oporu, biorą jeńców i rozbiłają wiele dział, ale nie mogą posunąć się dalej, i wracają z dużymi stratami na pozycje wyjściowe. Ginią: zastępca dowódcy pułku mjr. Malinowski i dowódca szwadronu kpt. Herz. Krwawy, ofiarny i bohaterki wysiłek Polaków nie daje pożądanego rezultatu. Nie daje również rezultatu działanie Kanadyjskiej Dywizji Pancerniej. Jeden z jej pułków pancernych: British Columbia ulega całkowitemu zniszczeniu (z 52 czołgów pozostało 3).

Armia niemiecka jest zaledwie słychana. Niedzie natomiast nie następuje przerwanie frontu. Walki są szalone i krwawe i zażarte. Zagrożeni otoczeniem Niemcy bronią z zacięciem i poświęceniem zarówno boków, jak i otworu "worka", który raz zamknięty przesądził by los 7-ej Armii Haussera i Grupy Pancerniej Eberbacha.

Zagrożony działaniem korpusu kanadyjskiego pod Falaise i pojawieniem się Amerykanów pod Argentan, jak również ze względu na tragiczne fiasko armii pancerniej pod Mortain Hitler dn. 13 sierpnia daje wreszcie 7-ej Armii zezwolenie odwrotu na Sekwanę. W tym samym dniu Niemcy zaczynają się wycofywać.

Historyczna okazja zniszczenia armii niemieckiej, stworzona dla aliantów przez Hitlera, zaczęła się im wymykać z rąk. Każda godzina opróżniała "worek" z jednostek niemieckich, gdy na północnym jego wylocie Anglicy i Kanadyjczycy utknęli przed Falaise, a 15 Korpus amerykański pod Argentan.

Po nieudanej próbie przełamania frontu dn. 8 i 9 sierpnia przygotowano dn. 11 sierpnia uderzenie na kluczowy las Hesney. Atak miało poprzedzać bombardowanie pozycji niemieckich przez lotnictwo strategiczne w sile 1000 samolotów bombowych. Lotnictwo to jednak zamiast Niemców zniszczyło praktycznie własne oddziały, zwłaszcza zaś własną artylerię. Nastąpił zastój, przegrupowania, reorganizacje i jedynie lokalne ataki.

Świadek naoczny tych dni mam z nich wspomnienia zmęczenia i beznadziejności, uczucie jak gdyby braku dostatecznych sił ze strony aliantów dla przełamania obrony niemieckiej.

Dopiero dn. 15 sierpnia sytuacja zaczęła się gwałtownie zmieniać. Owego dnia 1-a Polska Dywizja Pancerna skierowana została na skrajne północno-wschodnie skrzydło 2-go Korpusu Kanadyjskiego. Po południu tegoż dnia 10-ty Pułk Strzelców Konnych brawurowym atakiem sforsował rzekę Dives i zdobył miasto Jort, wybijając w ten sposób dziurę we froncie niemieckim, na którą czekano od tygodnia.

Worek mógł zostać zamknięty. Otwór jego wynosił w tym dniu ok. 25 km., licząc w linii prostej od Jort do rejonu Argentan-Chambois, skąd zbliżali się Amerykanie. Również dn. 15 sierpnia gen. Bradley wydał rozkaz zdobycia Argentan i Chambois korpusowi gen. Gerowa. Niemcy posiadali jeszcze trzy główne węzły drogowe do odwrotu: Falaise, Trun i Argentan.

Dn. 16 sierpnia gen. Maczek przerzucił przez Jort resztę dywizji i tego dnia zgrupowanie 2-go Pułku Pancernego i 24-go Pułku Ułanów zdobywa wieś Barou, odrzucając przeciwnaracie Niemców, walczących rozpaczliwie, aby zatkać dziurę. Walka, okupowana ogromnymi stratami w ludziach i sprzęcie, jest niesłychanie zażarta z obu stron. Polska Dywizja Pancerna tryumfuje nad najlepszymi oddziałami SS, zaczynając brać odwet za wrzesień r. 1939, za Warszawę. Przerwywając front Polacy stanowią tym samym forpczę programu 7-ej Armii niemieckiej. Jest to nasza godzina.

W sierpniowym słońcu wspaniała 10 Pułk Strzelców Konnych idzie na południe, pokonując 10 km. i osiągając wzgórze 269, bijąc czołgi i piechotę nieprzyjaciela, podczas gdy do tej pory oddziały alianckie posuwały się średnio z szybkością 1 do 2 km. dziennie.

W ślad za 10-tym Pułkiem Strzelców Konnych poszło zgrupowanie ppłk. K., które otrzymało rozkaz 17 sierpnia po poł. od najwyższego "bacy" alianckiego opanowania Chambois i połączenia się tam z Amerykanami w celu ostatecznego zamknięcia kotła. Pomiedzy zgrupowaniem ppłk. K. a Chambois było ok. 18 km. przestrzeni zajętej przez oddziały tyłowe, artylerię i odwody 7-ej Armii niemieckiej.

2-gi Pułk Pancerny ruszył wraz z 8-ym Batalionem Strzelców na wykonanie tego zadania o godz. 2 w nocy z połową amunicji i benzyny, i dzięki zaskoczeniu przedostał się bez trudu na tyły niemieckie, jednak wskutek ciemności i bardzo złych map pomaszerował nie na południe tylko na wschód. O świcie

18 sierpnia zgrupowanie dotarło nie do Chambois ale do miejscowości Champaux, zajętej przez dowództwo i oddziały 2-go Korpusu Pancernego SS, wycofanego jako odwód spod Mortain. Nastąpiła walka z zaskoczonymi Niemcami w węższych i sadach Champaux. Pułk był atakowany ze wszystkich stron przez wszystkie rodzaje broni i w dodatku jeszcze przez lotnictwo amerykańskie, które wzięło go za jednostkę niemiecką.

Zgrupowaniu udało się jednak wybić z tej opresji na drogę Trun-Vimoutier. Tu zostało znów zaatakowane ze wschodu przez oddziały pancerne SS i przez oddziały wycofujące się z kotła. Na tyłach niemieckich powstało jednak olbrzymie zamieszanie. Oddziały wycofujące się spod Trun wpadały na oddziały polskie przecinające im drogę. Wydawało się, że Niemcy byli całkowicie zdezorientowani zjawieniem się Polaków na ich tyłach i drogach odwrotu. W ręce polskie wpadli liczni jeńcy. Zdarzały się wprost niewiarygodne wypadki. Tak np. kolumna ciężkich moździerzy niemieckich wpadła na jeden lekki czołg 2-go Pułku Pancernego i załoga tego czołgu dosłownie porwała sprzed czoła kolumny dowódcę pułku z całym jego sztabem.

Czym było dla Niemców działanie Polskiej Dywizji Pancerniej świadczą następujący rozkaz dowódcy 7-ej Armii:

"Nieprzyjaciel na zachodnim odcinku Armii działa niezdecydowanie, osiągnął natomiast sukces na odcinku wschodnim i w kierunku Falaise. W celu pomyślnego wycofania się za rzekę Dives należy odzyskać rejon Mortau-Coliboeuf, aby wytworzyć klin jako początek nowego frontu. Korpus Pancerny SS uderzył w nocy z dn. 17 na 18 sierpnia z rejonu Vimoutiers i zniszczył nieprzyjaciela (tj. Polaków, przyp. autora), posuwającego się w kierunku Trun, zamykając wyrwę... Zdobyty teren zostanie przejęty przez 1-y Korpus SS".

Teren został "przejęty przez 1-szą Dywizję Pancerną"! Przeciwnatarcie 2-go Korpusu SS nie wyszło nigdy na Mortau-Coliboeuf, sparaliżowane najprawdopodobniej akcją 2-go Pułku Pancernego i 8-go Batalionu Strzelców (zgrupowanie ppłk. S. K.). Po wyjściu bowiem tego zgrupowania na głębokie tyły nieprzyjaciela w Champaux Niemcy musieli się zwrócić przeciw niemu zamiast atakować w innym miejscu. I mieli tu pełne ręce roboty przez cały dzień 18 sierpnia, później zaś było już za późno. Jednostki SS będą musiały próbować przebicia sobie drogi odwrotu na wzgórzu Cudehard.

Podczas gdy zgrupowanie ppłk. K. prowadzi przez cały dzień ciężkie walki z 2-im Korpusem SS gen. Maczek obsadza 9-tym Batalionem Strzelców wzgórze 259 dla zabezpieczenia tyłów dywizji, i kieruje 10 Pułk Strzelców na Chambois. Pułk ten dochodzi do wym miejscowości po południu w trudnej walce. Jednocześnie 24 Pułk Ułanów wraz z 10 Pułkiem Dragonów zdobywają Hourdussaux, a 1-szy Pułk Pancerny wzgórze 137 na zachód od Ecorches. W ten sposób po wybięciu wyrwy Polska Dywizja Pancerna wylewa się na południe, przecinając tyły i drogi odwrotu Niemców i dochodząc na odległość zaledwie kilku kilometrów do Amerykanów pod Chambois. Niestety, robi to jednak tylko polska dywizja i wskutek tego worek zostaje zatka-ny bardzo nieszczelnie. Oddziały polskie są osamotnione i rozproszone na dużej przestrzeni, tak że wiele dróg nie jest przez nie ogarniętych i przeciętych.

Walki są krwawe i zażarte. Osaczany nieprzyjaciel walczy jak ranny tygrys. 4-ta Kanadyjska Dywizja Pancerna, która miała iść w ślad za Polakami, zostaje zatrzymana i nie ma z nią bezpośredniej łączności.

Cel tj. całkowite zamknięcie Niemców w kotle jest jednak bliski. Zostanie on osiągnięty, gdy nastąpi opanowanie dwóch punktów terenowych: dominującego nad okolicą kompleksu wzgórz 262, zarys których przypomina kształtem maczugę i regionu miejscowości Chambois. Przez oba te punkty przechodzą ostatnie drogi odwrotowe Niemców z rejonu Trun-Saint Lamberts-Dives i Argentan.

Gen. Maczek kieruje na "Maczugę" 1-szy Pułk Pancerny, 9-ty Batalion Strzelców, Batalion Strzelców Podhalańskich i 1-szy Dywizjon Artylerii Przeciwpancernej. Ma tam później dojsć 2-gi Pułk Pancerny z 8-ym Batalionem Strzelców.

Na rejon Chambois idzie 10-ty Pułk Strzelców Konnych, a na samo Chambois — 10-ty Pułk Dragonów i 24-ty Pułk Ułanów wraz z dwoma dywizjonami artylerii przeciwpancernej.

Obydwa zgrupowania osiągają nakazane cele w godzinach popołudniowych, z tym jednak, że 1-szy Pułk Pancerny z towarzyszącymi mu batalionami strzelców obsadza jedynie północną część "Maczugi", nie dochodząc z powodu ogromnych zatorów do południowego wzgórza 262 i do przechodzącej tamtędy drogi. Uchodzą przez nią Niemcy podczas, gdy na drodze północnej, przecinającej Maczugę, 1-szy Pułk Pancerny zaskakując obrzmią kolumną niemiecką dokonuje okropnej masakry. Trzy kilometry trupów ludzkich i końskich, trzy kilometry spalonych wozów konnych, czołgów, samochodów i wszelakiego sprzętu wojennego. Stanowi ta droga typowy obraz tego co się zaczyna dziać, obraz klęski 7-ej Armii niemieckiej.

Zgrupowanie zachodnie 10-ego Pułku Dragonów zdobywa szturmem wieś Chambois. Około południa podchodzą tu również Amerykanie. Por Karcz z 10-ego Pułku Dragonów nawiązuje o godz. 8.30 wieczór osobistą łączność z 2-im Batalionem 395 Pułku Piechoty amerykańskiej (kpt. L. E. Waters). W ten sposób por. Karcz z kpt. Waters'em zamknęli niejako fizycznie worek z resztkami armii niemieckiej.

10 Pułk Strzelców Konnych obsadził wzgórze 124 na północ od Chambois, panujące nad okolicznym terenem i dwoma drogami. Wzgórze to, niesłychanie ważne z punktu widzenia strategicznego, stanie się wkrótce miejscem ogromnie zaciętych walk, prowadzonych z usiłującymi się przebić Niemcami. Zginie tu bohaterski dowódca pułku mjr. Jan Maciejowski, i wzięty zostanie do niewoli dowódca 84 Korpusu niemieckiego gen. Elfeldt wraz z setką oficerów i tysiącami szeregowych.

Podczas gdy Polacy zdobywają wzgórze Cudehard, nazwane później Maczugą, i wieś Chambois, oddziały kanadyjskie pozostają daleko w tyle. 4-ta Dywizja Pancerna nie może opanować Trun, 3-cia Dywizja Piechoty znajduje się o 20 km. na północ pod Pierre sur Dives. Polacy są więc całkowicie osamotnieni i usadowieni trzema luźnymi grupami na przestrzeni 7 km. 6000 do 7000 polskich żołnierzy i ok. 200 czołgów przeciw 15 do 20 tys. Niemców z 350 do 400 czołgami. Dziwaczna sytuacja. "Dno" i boki worka ściskane są żelazną obręczą ludzi i dział tak, że niektóre oddziały angielskie muszą być usuwa-

ne, ponieważ nie ma dla nich miejsca, a w tym samym czasie w najważniejszym regionie bitwy walczy jedynie skąpa garstka ludzi. Gdy zwałą się na nią masy niemieckie w niedługim już momencie — cóż się dzieje w samym kotle, jak tam wygląda sytuacja?

Dn. 19 sierpnia granice worka przebiegały mniej więcej od południa od Chambois poprzez las Gofferen do Argentan (wciąż jeszcze w rękach niemieckich), stąd od zachodu wzdłuż szosy do Falaise (już zdobytej) wzdłuż szosy do Trun, przy czym samo Trun przechodziło z rąk do rąk. Razem było to ok. 250 km. kwadratowych o obwodzie ok. 55 km. Na tej przestrzeni rano dn. 19 sierpnia znajdowało się jeszcze ok. 100.000 Niemców oraz wszystkie wyższe dowództwa z dowódcami armii włącznie.

Te 100 tys. Niemców ścisłanych było od zachodu, północy i południa żelazną obręczą 18 dywizji piechoty i dywizji pancernych alianckich z ok. 2.600 działami wszelkich kalibrów. Działa miały pod obserwacją cały prawie obszar nieprzyjaciela i były nieprzerwanym ogniem w mrowisko Niemców, usiłujących uchronić i częściowo rozpaczliwie walczących, aby umożliwić sobie ocalenie.

W powietrzu żerowały setki samolotów myśliwskich i bombowych Aliantów, czyhających nie tylko na większe zgrupowania, ale na każdy prawie pojazd mechaniczny lub konny i pojedynczych ludzi. Wszystkie środki łączności niemieckie były już w tym dniu rozbite.

Posłuchajmy co o tych makabrycznych dniach mówią naoczni świadkowie:

Dowódca 12 Dywizji Pancerniej Hitler Jugend, Kurt Mayer, relacjonuje: "Powietrze drga od myśliwców, znajdujących tyle celów ile zapragną... Wybucho samochod z amunicją, odłamki nas błogosławią... Płk. Gersdorf ranny przed ukończeniem odprawy... Odchodzę w piekle spadających pocisków".

Hrabia Vingal, Francuz z Trun:

"Oddziały niemieckie wysadzają czołgi i uciekają w głąb lasu, ścigani przez piechurów amerykańskich. Pocisk angielski odcina wieżę jednego z czołgów. Czołg spala się wraz z załogą. Pomieszana masa od 1500 do 2000 esesmanów zapytuje o drogę do Pomaville. Są czarni od kurzu i potu, piją wodę ze studni, opróżniają ją całą. Wjeżdża w tę masę najpierw jeden, potem drugi ciągnik gaśnicowy angielski. Niemcy padają na ziemię. Ci, którzy próbują wstać, są rozstrzeliwani z karabinów maszynowych..."

Maurice Hommey, Francuz z Argentan:

"Artyleria bardziej blisko położona, niż poprzednich nocy, strzelała bez przerwy. Dachy fruwały między nami. W grzyby spadały ciężkie kamienie. Pociski wybuchały rozrywając chodniki. Palił się Instytut im. Joanny d'Arc i ratusz w Tournay sur Dives... Ludność ma nadzieję znaleźć schronienie na pobliskich polach... Ksiądz Launey, wybiegając z zakrystii, wpada do kuchni pełnej Niemców. Pocisk. Duszący dym napełnia dom. Ksiądz usiłuje wyjść przez okno. Żołnierz niemiecki chwytą go za sutannę, wyciągając rewolwer. Musi pozostać. Przybiega strażak. Niemcy biorą go za Amerykanina i podnoszą ręce do góry. Za chwilę wybiegają jednak z kuchni w kierunku młyna w Saint Lambert, gdzie rzeka jest najwęższa. Na brzegu koń z

rozprutym brzuchem, leżący na furgonie. Żołnierze, nie mający sił, aby wykonać najmniejszy wysiłek, kryją się w potrzaskanych pojazdach. Inni leżą, zakrywając twarze łopatkami przed odłamkami lecących jak ulewa pocisków... Dokoła trzaskają karabiny maszynowe... Piekiło!"

Wyjątki z listu znalezionego przy zabitym żołnierzu niemieckim:

"Byłem p.d Charkowem i Stalingradem. Było to niczym w porównaniu z tym co się dzieje tutaj... Nasz batalion przebywa tu od trzech tygodni. Z 700 ludzi pozostało 37 i nikt stąd żywy nie wyjdzie. Żegnajcie! Od czterech dni jedliśmy tylko dwa razy. Nie ma ani kuchni, ani dowozu żywności. Strzelają do nas ze wszystkich stron w dzień i w nocy. Brak jakiegokolwiek ochrony przed ogniem. Ranni leżą nieopatrzeni. Wszyscy lekarze i sanitariusze zabici. Samoloty wyszukują pojedynczych ludzi. Bombardują nas bez przerwy. Nie ma żadnej nadziei. Bóg nas przeklął. To koniec, lepiej będzie w piekle, niż tutaj. To nie wojna, to szlachtuz".

I tak faktycznie było. Dławieni coraz mocniej żelazną obręczą Niemcy i ludność cywilna francuska przechodzili wszelkie okropności, które wojna nowoczesna może zwalić człowiekowi na głowę.

Pociski wszelkich kalibrów dział i moździerzy. Bomby i grad ołowiu z karabinów maszynowych lotnictwa. Brak żywności i środków opatrunkowych. Smród nieopogrzebanych trupów ludzkich i końskich. Brak wody, snu i wypoczynku. A ponad to wszystko groźba **g n i e w u F u e r e r a**, honor zwycięskiej do tej pory armii, groźba przegranej wojny i rachunku za zbrodnie popełnione przez Gestapo. Trzeba, trzeba, trzeba wyjść z matni za wszelką cenę...

"MACZUGA" CUDEHARD

We wsi Villedieu de Bailleul rano dn. 19 sierpnia dowódca 7-ej Armii gen. Hausser wydaje ostatnie rozkazy. Resztki 7-ej Armii mają wyjść z kotła.

Gen. Hausser i jego szef sztabu płk. szt. gen. von Gersdorf, podobnie jak to dzień przedtem stwierdził polski generał Maczek, widzą, iż powodzenie lub klęska wycofania zależą od posiadania i utrzymania dominującego kompleksu wzgórz: Cudehard — 262 — Boisos, leżących w poprzek otworu zacieśniającej się każdej godziny obręczy okrążenia oraz regionu Chambois, jedyne pozostałego węzła dróg prowadzących na wschód. Przez Cudehard (które gen Maczek nazwał Maczugą) i Chambois mają się wycofać oddziały pobitej armii. Gen. Hausser kieruje dwa zgrupowania, aby otworzyły drogę przez te rejony obsadzone przez Polaków.

2-gi Korpus Spadochronowy gen. Meindla ma przejść rzekę Dives pod St. Lambert sur Dives i uderzając stamtąd opanovać południowe stoki wzgórza Cudehard, a potem utrzymać je tak długo, aż resztki armii wyjdą z kotła. Drugie zgrupowanie gen. von Funcke ma przejść rzekę Dives pod Chambois i następnie opanować północną część tych samych wzgórz. Resztki 7-ej armii, usiłujące wydostać się z matni, to: jednostki 1-ej i 2-iej Dywizji Pancernych w lesie Gofferen, 74 Korpus pod

Argentan i 116 Dywizja Pancerna między Trun i Falaise. Osio-
nę tej operacji przez utrzymanie północnej części kotła pod
Trun ma wykonać 12 Dywizji Pancerna SS Hitler Jugend jedno-
okiego gen. Kurta Mayera. Na spotkanie i pomoc zgrupowaniom
generałów Meindla i Funcka uderzyć mają na Cudehard ze
wschodu wszystkie pozostające jeszcze do dyspozycji dywizje
pancerne, które znalazły się już poza workiem.

Rozkazy te, wydane przez gen. Haussera rano dn. 19 sier-
pnia, dają wyobrażenie tego co nastąpiło w ciągu dwóch na-
stępnych dni na odcinkach frontu zajmowanych przez oddziały
polskie i szwadron mjr. Currie. Jednostki te poniosą cały cięż-
zar powstrzymania nacierających Niemców.

Rano dn. 20 sierpnia spadochroniarze Meindla i grenadie-
rzy Funcka zaatakowali trzy polskie zgrupowania od zachodu na
Chambois-Mont Ormel i Boijos, podczas, gdy z drugiej strony
uderzył korpus gen. SS Dittricha.

Jak ta walka Polskiej Dywizji Pancerniej wyglądała? Było
ona dość niezwykła jak dla jednostek pancernych.

Po pierwsze teren był bardzo falisty o wielkiej ilości sa-
dów, a na wzgórzu 262 zalesiony z ograniczoną widocznością.
Atakujące oddziały niemieckie miały możliwość podchodzenia do
oddziałów polskich na najbliższe odległości i przenikania na
obszar zajmowany przez ugrupowania polskie nieledwie wcho-
dząc na czołgi. Kilkakrotnie walka toczyła się wręcz tak, że
załogi czołgów strzelały z pistoletów, karabinów maszynowych
i jednocześnie z dział. Piechota walczyła na bagnety. W bitwie
brali udział wszyscy żołnierze, nie wyłączając sanitariuszy, kie-
rowców samochodów i majstrów czołówek operacyjnych. Wy-
obrażenie o tym co się działo może dać fakt, że kapelan 10 Puł-
ku Dragonów z kierowcą swego jeep'a wziął do niewoli 72 jeń-
ców.

Po drugie czołgi walczyły cały czas na miejscu, ciasno sku-
pione, mając lufy zwrócone we wszystkich kierunkach kompasu
na podobieństwo taboru broniącego się w średniowieczu przed
Tatarami.

Ranni, ani jeńcy nie mogli być ewakuowani. Przez cały czas
walki pozostawali wewnątrz walczących zgrupowań masakro-
wani przez własne i nieprzyjacielskie pociski. Tak np. jeńcy na
wzgórzu Cudehard leżeli na p r z e d p o l u pomiędzy
oddziałami polskimi, a nacierającymi niemieckimi. Zaopatrze-
nie jednostek polskich było całkowicie niemożliwione. Kilka-
krotnie groziło widmo braku amunicji. Lufy dział i karabinów
maszynowych, czerwone od strzałów, zużyły się do tego stopnia,
że stały się niecelne.

Walka toczyła się w wszystkich zgrupowaniach polskich
według prawie jednakowego schematu. Oddziały znajdowały
się pod stałym straszliwym ogniem niemieckich dział i móż-
dzierzy, głównie móżdzierzy. Najgorszy był ogień móżdzierzy
rakietowych. W jednej sekundzie spadała lawina koszących
pocisków, wpadających drobnymi odłamkami do wież czołgów.
Leżąca piechota nie miała przed nimi żadnego zakrycia.

Natężenie ognia było wprost fantastyczne. Normy z okre-
su pierwszej wojny światowej dwunastu pocisków na hektar i
minutę ognia "obezwładniającego" są w porównaniu z tym
dziecinną zabawką. "Obezwładniało" nie 12 pocisków na hek-

tar, ale dosłownie setki. Na stanowiska Polaków waliła jak w kaczy kuper wszystka będąca do dyspozycji artyleria i moździerz 7-ej Armii i Grupy Pancерnej coś około 1500 dział i to bez przerwy, w pierwszym dniu walki dn. 20 sierpnia. Później to natężenie nieco zmalało.

Natarcia czołgów i piechoty niemieckiej wychodziły nieregularnie w odstępach od godziny do kilku godzin w sile od kilkudziesięciu ludzi z wewnętrznej strony worka do kilku batalionów piechoty bądź kilkudziesięciu czołgów z zewnątrz kotła. Zdziśiatkowani polskim ogniem Niemcy poddawali się lub wycofywali pozostawiając na przedpolu dosłownie masy trupów. Stoki wzgórz miały barwę "feldgrau". W gorącym sierpniowym powietrzu trupy szybko się rozkładały i smród był taki, że nie można było absolutnie nieczego przełknąć. Śmierdziała również woda. Ranni Niemcy nieopatrzni dogorywali wśród swoich zabitych towarzyszy lub cierpieli męki Tantalą. Los ich był straszny.

Prawie wszystkie oddziały polskie spały po raz ostatni kilka godzin w nocy z dn. 16 na 17 sierpnia. Żołnierze byli piekielnie zmęczeni. Siedem dni bezustannych walk i pięć nocy bezsennej czuwania i marszów musiały zrobić swoje. Dowódcy nakazali użycie pastylek benzedrynowych na podtrzymanie bezsenności. U niektórych żołnierzy wywołało to efekt oszalałający zupełnego ośpienia, u innych — odwrotnie nerwowego podniecenia. Wszyscy wyglądali jak upiory. Czarni od kurzu. Zapadnięte policzki. Czerwone, zaognione oczy. W kombezonach poplamionych krwią własną i rannych kolegów. Tak wyglądało to fasonowe wojsko, znane z szyku i elegancji na ulicach Edynburga, Glasgow i zamków szkockich jeszcze sześć tygodni temu. Ale im więcej zmęczenia, im więcej nieprzespanych nocy, im więcej ognia, im częstsze ataki Niemców, tym większa zaciętość i determinacja żołnierzy 1-szej Dywizji Pancерnej na Cuderhard i pod Chambois.

— Nie przejdą sk. r. . s. . y! — mówili po każdym odpartym ataku.

I może w całej tej walce to było najważniejsze: stanowisko każdego strzelca i każdej załogi czołgu, od tych bowiem poszczególnych ludzi zależał los zgrupowania. "Pęknięcie" pojedynczego stanowiska, opuszczenie go, a nawet brak czujności mogły spowodować klęskę całości. Była to walka indywidualna o własną skórę i satysfakcję mordy, doprowadzona do końca przez obie strony.

Z dwóch zgrupowań polskich, biorących udział w walce, tego pod Chambois i tego na Cudehard, jedynie zgrupowanie w Chambois i pod Chambois dowodzone było przez właściwych dowódców oddziałów. Na Maczudze nie było dowódcy nadrzędnego wskutek odcięcia obydwóch dowódców brygad. Oddziały grupowały się na wzgórzu tak jak wchodziły na nie według potrzeby i sytuacji w danej chwili i tak rozpoczęły walkę, właściwie każdy na własną rękę.

Nie było to dobre, ale nie było na to rady, gdyż żaden z dowódców pułków nie miał technicznych możliwości objęcia całości dowodzenia. Doprowadziło to w rezultacie do wielu nieporozumień i zwiększenia strat. Tak np. 1-szy Pułk Pancерny stracił w ciągu kilku sekund 7 czołgów zniszczonych przez "ty-

grysy" niemieckie ze wzgórza 140, ponieważ brakło z tej strony osłony. Wskutek tego również Niemcy wdarli się pomiędzy ugrupowania polskie i zostali odrzuceni jedynie dzięki kosztownym stratom w ludziach przez przeciwnatarcia batalionów strzeleckich.

Walka nie miała w sobie nic z egzaltacji ataku czołgowego i właściwie żadnej egzaltacji normalnej bitwy, którą znało się przedtem i później. Dlatego nie lubiło się jej wspominać. Była to walka parszywa, pozbawiona okazji do wykonania indywidualnego czynu męstwa, wyróżnienia się pojedynczego żołnierza, owego dopingu działania, zakorzenionego głęboko w duszy rasowego żołnierza pancernego, spadkobiercy tradycji kawaleryjskich Grunwaldu, Kircholmu, Samosierry, Rokitny, Krechowiec i Komarowa. Jedynym czynnem było tu trwanie, zachowanie życia przez zabijanie przeciwników.

56 godzin spędzonych w czołgu lub, jak w piechocie, w niewielkiej jamie w ziemi, w duszącym smrodzie gnijących trupów i gazów powybuchowych, bez możliwości zrywu, w gorącu więz rozgrzanych pracą silnika (dla utrzymania pracy radia) i w upale sierpniowym, często z trupem kolegi w czołgu, którego następnie wyrzucało się jak psa nazewnątrz, aby rozkładał się na ziemi — oto warunki tej piekielnej walki.

Całą pracą było obserwowanie przedpola i strzelanie, zabijanie jak w rzeźni. Trwanie i trwanie. Wydawało się ono wówczas bez końca. Towarzyszyło mu przeświadczenie, że Niemcy wyduszą Polaków jak szczury, jeżeli nie nadejdzie pomoc 4-tej Kanadyjskiej Dywizji Pancerniej, którą można było widzieć gołym okiem, zatrzymaną przez Niemców na północy.

56 godzin napięcia nerwowego, obawy, że każdy następny pocisk wleci do wieży, że jakiś Niemiec wrzuci granat do czołga, że sąsiad się załamie, że zabraknie amunicji, że pęknie działo, a karabin stanie się nieużyteczny, że można się spalić żywcem. Podobne myśli nie nawiedzają żołnierza w czasie normalnej akcji ruchowej. Zbyt dużo wówczas czynności; silniejszy, niż strach — dreszcz podniecenia, przygody i poczucie siły.

Walka na wzgórzu Cudehard i pod Chambois była obca naturze żołnierza czołgowego. Nie znał on siły nerwów i odporności przeciwnika, ale też nie miał wycucia granic własnej odporności, stąd przeżycia duchowe — w sumie ciężkie i nieprzyjemne. Ponad tymi przeżyciami górowała jednak absolutna pewność: Niemcy nie przejdą zanim nie wybiją wszystkich obrońców Maczugi i Chambois. Aby zwyciężyć musieli przedtem zabić: wszystkich.

W walce tej nie było sportu myśliwskiego, sprytu, ani wyższości taktyki. Było to zmaganie się dwóch pytonów, które objęły się wzajemnie w duszącym uścisku, dopóki jeden z nich nie straci oddechu i nie skapitułuje. Trwało to dwa dni i dwie noce.

* * *

Kryzys bitwy na Maczudze nastąpił po południu dnia 21 sierpnia. Pamiętam ten moment jak dziś...

Drugi Pułk Pancerny ugrupowany był na północnych stokach wzgórza w formie litery L, przy czym długie ramię sta-

nowiły dwa szwadrony pancerne i dowództwo pułku (pierwszy i drugi szwadron), a ramię krótkie— jeden szwadron (3-ci). W długim ramieniu czołgi wbite na głębokości 10 m. w młody las tak, że każdy czołg strzelał jakby przez duchtę leśną. W środku litery L i na przedpolu czołgów leżało ok. 1.500 jeńców pilnowanych przez kilku strzelców z pistoletami maszynowymi. Czołgi strzelały więc poprzez nich i jeńców. Wszyscy znajdowali się pod tym samym ogniem niemieckim przy czym jeńcy, nie posiadając praktycznie żadnego zakrycia, ponosili duże straty od swoich, większe może, niż oddziały polskie. Nie było na to rady.

Około godz. 15.30 rozpoczął się silniejszy, niż normalnie ogień niemiecki. Biło m. in. jakieś potężne zgrupowanie wielolufowych moździerzy raketowych tzw. "organów Stalina". Zdawało się, że świat się kończy i wytluką nas teraz bez reszty. Było to przygotowanie nowego ataku z kierunku północno-wschodniego.

Zameldowałem dowódcy Dywizji, że wychodzi nowe natarcie 2-go Korpusu SS.

W pewnym momencie ogień zmalął, za to u podnóża wzgórz ukazały się dwie linie tyralieri niemieckiej. Niemcy ci szli wolno w naszym kierunku. Wszyscy mieli zatknięte białe chustki na karabinach i powiewali białymi płachtami. Kazałem dwóm plutonom 1-go szwadronu wysunąć się naprzód i wziąć poddających się. Wyszło 5 czołgów, ale gdy zbliżyły się na odległość 200-300 metrów do posuwającej się tyralieri piechota niemiecka padła na ziemię, a spoza niej wysunęło się z sadów kilka "panter", które otworzyły ogień. Trzy nasze czołgi zostały rozsiekane i stanęły w płomieniach, dwa rzuciły świece dymne i zdołały się wycofać. Pułk otworzył ogień na "poddających się" Niemców, strzelając na linię białych płacht.

W tym samym momencie druga grupa Niemców w sile 2-3 kompanii weszła w nasz zagajnik, zaskakując pluton czołgów, który ubezpieczał wierzchołek L i zaatakowała nas z tyłu. Zajęci strzelaniem na przedpolu spostrzegliśmy tę sytuację, kiedy Niemcy zaczęli rzucać granaty na czołgi i kiedy kilku śmiałków zaczęło dosłownie wdrapywać się na Shermany 1-go szwadronu. Szwadron ten zaczął samorzutnie zwracać czołgami do tyłu. Niektórzy dowódcy strzelali do tyłu z przeciwlotniczych karabinów maszynowych, a strzelcy do przodu z dział. Kiedy przeciwlotnicze karabiny maszynowe nie miały więcej obstrzału dowódcy wyciągnęli rewolwery i odpierali z tych rewolwerów włączących na czołgi zasrańców z Hitlerjugend.

Pluton czołgów dowódcy pułku stał pomiędzy 1-ym, a 2-im szwadronem. Wołam dowódcę kompanii 8 batalionu Strzelców i każę mu uderzyć i wyrzucić piechotę niemiecką z lasu.

Odpowiada:

— Mam 27 ludzi.

Wołam drugiego dowódcę kompanii.

Odpowiada:

— Mam 16 ludzi.

Nakazuję uderzyć obu z tym co mają.

Tymczasem piechota niemiecka na przedpolu, widząc pa-

łącę się czołgi 1-go szwadronu, podrywa się i biegnie skokami na zajęte strzelaniem do tyłu czołgi tegoż szwadronu.

Pomyślałem:

“No, teraz to już koniec!” i kazałem oficerowi pośredniczenia nadać meldunek do Dywizji:

“Niemcy atakują nas z przodu, a od tyłu wchodzą na czołgi w lesie. Zdaje się, że jest to mój ostatni meldunek.

Tak nadałem. Nie powinienem był nadawać podobnego meldunku.

Naraz w chwili, gdy rozmawiam z ppor. B., widzę czołg z rombowa wieżą i prostokątnym czarnym krzyżem w mojej duchcie o 10 kroków przed lufą działa. Za nim słyszę idące drugi i trzeci. Czołgi te posuwają się **wzdłuż** frontu czołgów 1-go szwadronu również o 10 metrów **przed** ich lufami. Nie są one chwilowo widoczne ze stanowisk 3-go szwadronu w krótkim ramieniu L. Są to z pewnością czołgi współdziałające z piechotą, która weszła do lasu i atakuje nas od tyłu.

Mój strzelec — radiooperator, Kuba Zemlik, krzyczy coś do słuchawek radia.

— Kuba, — wołam — Niemiec przed nami. Ognia!

Kuba odpala. Pociśk jednakże rykoszetuje i rozrywa się nad głowami jeńców. “Pantera” odcięła nogi strzelcowi, który ich pilnował. W tej samej chwili wybucha gwałtowna strzelanina z krótkiego ramienia L. 10 czołgów 2 szwadronu i bateria artylerii przeciwpancernej zauważyły niemieckie czołgi. W ciągu kilku sekund zostały dosłownie rozdarte ich pociskami. Ani jeden człowiek nie zdołał wyskoczyć.

Mój Kuba strzela teraz z karabinu maszynowego przed siebie. Ja strzelam do tyłu z przeciwlotniczego karabinu maszynowego, w las i myślę, że jeżeli karabin mi się teraz zatnie to Niemcy wejdą mi na wieżę.

Niesamowita sytuacja. Strzelają jednocześnie wszystkie działa pułku, wszystkie wieżowe karabiny maszynowe i wszystkie karabiny przeciwlotnicze — w dwie strony świata. 44 działa i około 90 karabinów maszynowych. Od huku naszego ognia wyraźnie odbijają się serie niemieckich Szmeisserów.

Szalone napięcie nerwowe. Czuje się to napięcie biegnące jak prąd od wszystkich załóg. Nie może to trwać długo. Jest to kulminacyjny punkt bitwy, wojny, życia, czegoś zasadniczego. **K t o ś t u m u s i p ę k n ą ć!** Nikt teraz nie dowodzi, każdy działa na własną rękę. Cierpnę na myśl, że jakaś załoga wystawi białą płachtę z czołga. Widziałem to w r. 1940 we Francji i nie w takiej sytuacji.

Jakby wywołane moją myślą widzę białe płachty, ale z czołgów... Powiewają nimi Niemcy. Przywarci w lesie ogniem do ziemi wyciągają chustki i odrzucają broń. Najpierw ci w lesie, następnie piechota leżąca przed nami w otwartym polu. Miazdżeni niesamowitymi nawałami granatów i spostrzegając zapewne grupę tych, którzy poddali się wcześniej, również rzucają broń.

Jeden z przeciwników nie wytrzymał nerwowo w ostatniej dosłownie minucie, kiedy wystrzeliliśmy ostatnie granaty z dział i ostatnie taśmy z karabinów maszynowych, kiedy rozpalone lufy groziły rozerwaniem, kiedy zaczęły gasnąć silniki z braku benzyny i stacje radiowe z powodu wyczerpania baterii.

Ile było czasu na prowadzenie dalszej walki? Ile minut? Pięć, dziesięć i bitwa mogła się skończyć w sposób całkowicie odmienny. Wynik walki na wzgórzu Cuderhard i w Chambois był zwycięstwem lepszego, waleczniejszego żołnierza tak jak mecz bokserski wygrywa silniejszy i zručniejszy przeciwnik.

Po tym epizodzie walka właściwie ustała. Artyleria niemiecka prowadziła jeszcze przez noc z dnia 21 na 22 sierpnia ogień nekający, ale nie wyszło żadne nowe natarcie. Coraz liczniejsze grupy Niemców rzucały broń u zachodnich stoków wzgórza, wdrapywały się na Maczugę i poddawały śmiertelnie wyczerpane i ogłupiałe od ognia.

Byliśmy i my u kresu sił. Pokryci kurzem, o oczach zaognionych z bezsenności, ogłuchli od wystrzałów, nieprzytomni ze zmęczenia, ślanialiśmy się na nogach jak duchy.

Gromadkami obsiedliśmy czołgi i rozpalili ogniska. Nikt nie zdawał sobie sprawy z roli, odegranej przez naszą Dywizję Pancerną w całości operacji alianckiej. Nie było radości zwycięstwa. Kosztowało ono wiele krwi, wysiłku i nerwów. Nastąpiło jedynie odprężenie i jakby pustka, może z żalu za poległymi przyjaciółmi. Straty były olbrzymie. Na cmentarzu w Langennery leży 350 szeregowych i 70 oficerów, w tym dwóch dowódców pułków oraz siedmiu dowódców szwadronów i kompanii.

W ostatniej fazie bitwy było coś ponurego, jak rzeźnia. Żołnierz 1-ej Dywizji Pancernej nienawidził Niemców. Relacje o zbrodniach Gestapo i obozach koncentracyjnych w Polsce, śmierć bliskich — wszystko to docierało codziennie do żołnierzy i karmiło ich nienawiścią. Wyładowano ją w dziesięciodniowej bitwie, której punktem kulminacyjnym były trzy dni na Maczudze i pod Chambois, wyładowano tak całkowicie, że kiedy w nocy z dn. 21 na 22 sierpnia żołnierz odjął oczy od lunetki czołgowej, zdjął słuchawki radiowe, wyrzucił w wieży wystrzelone łuski i wyszedł wreszcie z wozu, miał uczucie pustki i obrzydzenia.

Nad pobojowiskiem wisiał niesamowity smród rozkładających się trupów ludzkich i końskich. Podmuchał wiatru zwiąwał go niekiedy, aby za chwilę przynieść silniejsze fale ckiego, obrzydliwego powietrza z pobojowiska. Bez poetyckiej przesady dokoła nas i pośród nas leżały zwaly trupów, wiele o rozdętych brzuchach pękających pod naciskiem zbierających się gazów. Na drodze z Chambois leżało znów setki koni zabitych w zaprzęgach. Widać było jak niektóre z nich rzucały się przed zgonem, cisnąć się jedne na drugich, z kopytami w powietrzu. Nieszczęsne konie!

Wszędzie walał się sprzęt i ekwipunek wojenny; hełmy, broń ręczna, strzaskane działa i działka, plecaki, wozy taborowe, samochody i biedki konne. Nie wiem co się działo pod Chambois — na Maczudze leżały spalone kadłuby 11 naszych i 7 niemieckich czołgów, nieledwie dotykając się lufami.

Z t. zw. "Zameczka" fermy Boijos dochodził jęk rannych. Znajdowało się tam setki Polaków i Niemców, wśród których większość nie była opatrzona przez dwa dni. Trzech księży rozdawało tam ostatnie sakramenta.

Rano dn. 22 sierpnia wjechał na Maczugę pierwszy czołg

4-ej Kanadyjskiej Dywizji Pancernej. Był to czołg obserwator artyleryjski, a w nim mjr. P. Sevigny. Gapiła się na ten czołg obojętnie i bez ciekawości grupa brudnych oberwańców, zwycięzców i panów pola bitwy. Wyszedł mjr. Sevigny z czołga. Widziałem... leciały mu łzy z oczu. Podszedł do gromady brudasów, stanął na baczność i zasalutował. Widocznie zagrała w nim rycerska krew przodków francuskich.

Powiedział:

— **What a bloody spetacle! This is real polish Battlefield. My God**"

Spojrzał na niego strzelec z 8-go Batalionu, wypluł papierosa z zębów i rzekł bez emocji do kolegów:

— Czemu ten cyrkowiec nie przyjechał tu trzy dni temu, — a do mjr. Sevigny: — **Thank you major! 1)**

WNIOSKI

22 sierpnia walka zamariła całkowicie. W zmęczonych i skrwawionych oddziałach odbyły się apele strat, wysłano opóźnione raporty bojowe, żołnierze legli tam gdzie stali na parę godzin snu.

W świat poszedł okrzyk: **z w y c i ę s t w o !**, wielkie zwycięstwo aliantów w Normandii! Tysiące jeńców, tysiące zdobytych i zniszczonych dział, czołgów i sprzętu wojennego nieprzyjaciela. Resztki 7-ej i 15 Armii niemieckich uciekają za Sekwanę.

Tak, to wszystko absolutna prawda. Nie mniej jednak zároveň wówczas, jak i obecnie — po latach nasuwa się refleksja: **"J a k i e zwycięstwo?"**

Zwycięstwo bez wątpienia duże. W bitwie pod Falaise uległa zniszczeniu duża część 7-ej i 15 Armii oraz Grupy Pancernej Eberbacha. W worku pozostało ok. 15.000 zabitych i rannych i ok. 45 do 50.000 jeńców (w tym Polacy wzięli do niewoli ok. 150 oficerów i 5.500 szeregowych), oraz niezliczona ilość sprzętu wojennego (sama tylko polska Dywizja Pancerna zniszczyła 70 czołgów, ponad 100 dział i ponad 500 pojazdów mechanicznych).

Uszły za Sekwanę niedobitki pięciu **c a ł k o w i c i e** rczgomionych dywizji piechoty, z których nie można było odtworzyć żadnych związków taktycznych. Inne 18 dywizji były tak zdziesiątkowane, że sformowano z nich zaledwie 4 niepełne dywizje. Ze wszystkich dywizji pancernych można było stworzyć zaledwie 11 grup bojowych o sile mniej więcej pułku, ale rozporządzających zaledwie 5 do 10 czołgami, podczas, gdy przed walką dywizja pancerna liczyła 220, a pułk ok. 50 czołgów. Ilość wyprowadzonego sprzętu była więc zupełnie znikoma, natomiast liczba sił żywych w jednostkach pancernych stosunkowo wysoka.

Zaważyło to poważnie na późniejszych losach wojny, gdyż aczkolwiek bitwa pod Falaise otworzyła drogę do Renu zniszczone zasoby ludzkie jednostek pancernych pozwoliły Niemcom na jeszcze jeden poważny zryw zaczepny w grudniu tegoż roku w Ardennach i **p r z e d ł u ż y ł y w o j n ę o p ó ł r o k u**. Czy mogło być inaczej? Czy można było

całkowicie zniszczyć armie niemieckie w Normandii i nad Sekwaną i w ten sposób właściwie zakończyć wojnę?

Odpowiedź na to pytanie wydaje się pozytywna. Alianci mogli całkowicie zniszczyć 7 Armię i Grupę Pancerną w czasie od 8 do 17 sierpnia, gdyby tego zdecydowanie chcieli.

Połowiczne zwycięstwo było wynikiem przede wszystkim braku "czapki" tj. nadrzędnego dowództwa nad dwoma równorzędnymi grupami armii, dowództwa, które kierowało by całością operacji od początku do końca, koordynowało wysiłki w czasie i przestrzeni.

Nie było śladów takiego dowodzenia. Odwrotnie — przebieg akcji wskazuje, że dwaj dowódcy grup armii Bradley i Montgomery działali jakby każdy na swoją rękę. Eisenhower nie ingerował. Wydawało by się, że otoczenie Niemców w regionie Trun-Falaise powinno być dla obu tych dowódców działaniem zasadniczym tj. takim do którego używa się maximum sił i środków. W praktyce zastosowano znikomą jedynie ilość tych sił i środków.

Gros sił Montgomery'ego działało na "dno i boki" worka. Do przełamania frontu Monty użył zaledwie 4 dywizje, a do zamknięcia Niemców zaledwie dwie dywizje pancerne (Polacy i Kanadyjczycy).

Gros sił Bradley'a rozproszyło się we wszystkich kierunkach, a do akcji w kierunku Trun-Chambois użyto zaledwie jeden korpus.

Niemcy wykorzystali maksymalnie te błędy aliantów, wykonując pełny i olbrzymi wysiłek, aby wyjść z matni, w którą Hitler wpakował osobiście 7-mą Armię i Grupę Pancerną. Ten wysiłek, zreczność wykazana przy wyprowadzaniu z kotła wielu jednostek, zdecydowana walka oddziałów broniących wycofywania się innych jednostek i osobisty przykład dowódców, którzy wytrwali do końca z otoczonymi oddziałami — zadecydowały, że Niemcy chociaż przegrali bitwę i ponieśli klęskę, ale uniknęli pogromu w stylu Kann, Grunwaldu lub Stalingradu, który mógł zadecydować o końcu wojny już we wrześniu r. 1944.

Polacy spełnili swe zadanie z nadmiarem. Mówię — z nadmiarem, — gdyż będąc słabsi liczebnie ponieśli cały ciężar furii przebijającego się przeciwnika. To co "nadziało się" bezpośrednio na polskie oddziały zostało zmasakrowane lub poszło do niewoli. Przez pozycje polskie nie przeszedł n i k t, ani jeden żołnierz niemiecki.

Niestety, kocioł, w którym znaleźli się Niemcy, nie był szczelnie zamknięty od wschodu, był hermetyczny właściwie tylko w trzech punktach. Te punkty, polskie fortece, zajmowały każda kilkaset metrów do trzech kilometrów przestrzeni. Pomiedzy nimi znajdowały się luki i martwe pola obstrzału, przez które Niemcy mogli uchronić prawie bezkarnie. I tak podczas, gdy jedne grupy bojowe zostały zniszczone napotkały bowiem Polaków inne wyciekły szczęśliwie jak przez dziurawą sieć. Wydostali się w ten sposób prawie wszyscy wysocy dowódcy, jak np. Hausser, Kurt Mayer, Ditrlich, Funck. A

mogli zostać w worku. Gdyby zamiast jednej Polskiej Dywizji Pancерnej działały dwie lub trzy wielkie jednostki inaczej wyglądałby los 7-ej Armii.

Wreszcie czy sumaryczny rachunek zbiegów okoliczności błędów i głupoty jednych, natchnienia drugich — nie jest czasem po prostu ręką p r z e z n a c z e n i a ?

1. Major P. Sevigny, mimo, że pewien strzelec nazwał go cyrkowcem, nie miał w sobie nic z "cyrkowca". Był to bardzo dzielny żołnierz i prawy człowiek. Spotkanie z Polakami na "Maczudze" wywarło na nim duże wrażenie. Stał się zażartym rzecznikiem polskich spraw i jest nim w dalszym ciągu jako czynny polityk i poseł do parlamentu Kanady.

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Para leitores da revista "SKARPA" 10% de desconto

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 S A O P A U L O

SPOKOJNY ZAKĄTEK

Sam wygląd pana Przewornego budził zaufanie w każdym człowieku, który się do niego zbliżył. Na jego czerstwej, księżycowej twarzy malował się zawsze wyraz spokoju i pełnego zadowolenia z siebie. Wydatny brzuszek udekorowany złotą dewizką od zegarka, trząś mu się w spazmach śmiechu, kiedy mówił o swoich znajomych, którzy niczego nie przewidzieli dzięki swojej głupocie i znaleźli się w końcu w położeniu podobnym do mojego położenia. A sytuacja moja podczas pobytu w Rzymie nie była godna zazdrości.

Pan Przeworny był przelotnym gościem w Collegium Pontificum Polonum na Piazza Remuria, gdzie odbyłem z nim pierwszą rozmowę.

— Ja, panie szanowny, — mówił, dmuchając mi dymem cygara prosto w oczy, — przewidziałem wszystko. Jak Hitler zajął Sudety sprzedałem 40 krów. Jak wszedł do Pragi posłałem 200 świń do rzeźni. Jak przyśniły mi się zęby wypuściłem folwark w dzierżawę biorąc porządną kaucję. Wyprzedałem meble, ile mogłem pożyczyć w bankach i u prywatnych ludzi to pożyczyłem i kupiłem w Gdańsku sztabki złota. Zostawiłem sobie tylko samochód, który widzi pan tu przed domem. Mogę żyć, panie szanowny, spokojnie, choćby wojna miała trwać trzydzieści lat.

Ile razy wracałem wieczorem do Collegium i zapytywałem o pana Ignacego tyle razy mówiono mi, że zastanę go w bibliotece.

Dziwiło mnie to głęboko, gdyż można go było podejrzewać o wszystko tylko nie o zainteresowania literackie lub naukowe.

Któregoś wieczoru poszedłem do biblioteki, aby się nacocznie przekonać jakim to studiom pan Przeworny oddaje się z takim zapalem.

Zastąpiłem go przy wielkim stole zasłanym mapami.

— Studiujecie pan postępy wojsk niemieckich? — zapytałem.

Złota dewizka na brzuszku pana Ignacego zaczęła fikać kozły.

— Co mnie to obchodzi, panie szanowny! — zaniósł się śmiechem. — Niech ich wszystkich diabli wezmą. Ja już o tym przestałem myśleć.

— A więc co znaczą te mapy?

— Widzi pan ja szukam spokojnego zakątka.

— Co?

— Ano tak. Pieniędzy mam w bród, mogę wybierać. Niech się oni wszyscy wymordują, niech obróćą ziemię i niebo w popioły ja się chcę temu widowisku przyglądać z daleka.

— Ze spokojnego zakątka?

— Właśnie, szanowny panie.

— No i co, znalazł pan taki zakątek?

Pan Przeworski poglądził się po wygolonym, tłustym podbródku.

— Znalazłem — szepnął, pochylając się nad stołem z mapami.

Jego wskazujący palec przesuwiał się po Oceanie Spokojnym, wreszcie zatrzymał się.

Spojrzałem przez ramię.

Palec pana Przeworskiego spoczywał na wyspach Hawajskich.

— Hawaje?!... — wykrzyknąłem zdumiony.

Pan Przeworski osunął się na fotel i wznosił rozmarzone oczy ku górze.

— Hawaje, panie szanowny, — mówił, wpatrzony w jakiś punkt w przestrzeni — słońce, palmy, czyściutka plaża, dziewczyny przybrane girlandami z kwiatów, mandoliny tirlu-tirlu, raj na ziemi, panie szanowny...

— Porobił już pan jakie starania?

— Naturalnie. Właśnie wczoraj dostałem list od jednego hotelarza. Pokój mam zamówiony.

Wyjął z kieszeni list.

— Cena przystępna, swoboda kompletna, blisko portu, śliczny widok na morze. Zna pan angielski lepiej ode mnie, niech pan sprawdzi.

— Miejscowość nazywa się Pearl Harbour — Zatoka Perłowa.

— Zatoka Perłowa... — powtórzył pan Ignacy i po namyśle poczęstował mnie cygarem.

8 grudnia roku 1941, żeby już zacytować ściśle, o godzinie 7-mej wieczór siedziałem w jadalni pensjonatu polskiego w Londynie i czytałem gazetę. Byłem przemęczony bezsennymi nocami, umysł mój nie pracował prawdopodobnie zupełnie normalnie. W pewnej chwili, zapominając o otoczeniu, krzyknąłem na całą salę:

— Jak ciocię kocham znaleźli go w cichym zakątku. Pearl Harbour. Na maczek, na drobną kaszkę, panie szanowny. Ban-zaj! Wiwat Nippon!

Siedzące obok dwie panusie, prawdopodobnie maszynistki "prac zleconych", podniosły się z krzesel.

— Chodźmy, Złotko, — powiedziała jedna z nich — jeszcze ci ucho odgryzie.

Koleżanka panny Ziutki, zrywając się z miejsca, zrzuciła na ziemię talerz z nędznym falsyfikatem polskiego barszczu. Zacząłem się śmiać histerycznie. Ktoś mnie szarpnął za ramię.

Obejrzałem się.

Koło mnie stał kapitan, znany mi tylko z widzenia i słyszenia. Nie strzyżone od tygodni włosy spadały mu na czoło; wzrok, błędny bez przesady, wlepił we mnie. Trzeba tu rzec, że ręka trzymająca mnie mocno za ramię, należała do pianisty. W czasie największego nasilenia nalotów na Londyn kapitan kupił za psie pieniądze kolosalnych rozmiarów fortepian. Potworne pudło zajmowało cały pokój. Nie było już miejsca na krzesło albo stołek. Pianista siedział na łóżku i wygrywał pięciopalcówki. Od rana do trzeciej w nocy. Mimo, że miał słuch, jak becinka po kiszanej kapuście, uparł się na *alegre com fuoco*, *allegretto* i *fortissimo* — że zostanie Rubinsteinem.

Stał teraz nade mną i dźgał mnie sztyletami oczu.

— Nie pozwolę byle komu wycierać sobie gęby generałem Maczkiem! Jak pan śmiał powiedzieć o najlepszym naszym dowódcy — nicpoń!?

Przeżegnałem się bez słowa.

Siedzący przy moim stoliku trzydziestoletni porucznik i pięćdziesięcioletni podchorąży zaprotestowali zgodnie:

— Powiedział tylko: Nippon — oświadczyli, dając świadectwo prawdzie.

Wstałem i wyszedłem.

Okrzyki, dochodzące z sali jadalnej: "Nippon, Nippon!" gnały mnie po schodach na górę.

Tej nocy fortepian pode mną grzmiał ze zwojoną siłą: mistrz zrobił olbrzymie postępy — mordował gamę "Sol".

A pan Ignacy?

W okresie pierwszego japońskiego nalotu uciekł "w góry" w jednej tylko piżamie i w pantoflach.

W liście, wędrującym za mną po obu półkulach, czarnym od pieczętek, tak kończył swoją relację:

"Pokój zastałem ograbiony, panie szanowny. Dom jakimś cudem ocalał, tylko wszystkie szyby wylecieli i przez te wybite okna te łobuzy hawajskie weszli do środka. Opylili, panie szanowny, wszystko na glanc — pętałki bez wstydu i sumienia.

Niech pan szanowny nigdy się nie da nabrać na pokój na parterze. Ja wzięłem taki, bo muzykę hawajską chciałem słyszeć i przez te cholerne gitary zostałem w samej piżamie.

Ale trochę się już odbiłem i chce pociągnąć do Nowego Jorku. Podobnież i tam są gangsterzy, jednakowoż trochę cywilizowani.

"Co pan szanowny o tym myśli?"

"Myślę — odpisałem panu Przewornemu. — że w drapaczu chmur nie będzie pan bezpieczniejszy, niż na parterze".

NIEDALEKO RÓWNIKA

6

Sławny daleko poza granicami Zjednoczonego Królestwa prof. Magnus Clayton zwykł był mawiać z tryumfem po otwarciu brzucha pacjenta i znalezieniu tam guza wielkości pięści:

— Tego się właśnie spodziewałem!

Podobnie Willy Ewans na widok szczątków garderoby Mary Lancaster:

— A jednak to jest zemsta!

Siedzieli oboje, on i Claire Fuld, na łóżku milionerki. W kabinie unosił się zapach ulubionych perfum Mary. Zdawało się, że za chwilę otworzy drzwi i powie z uśmiechem:

— Nie spodziewałam się was tutaj...

— Przypuszczasz, że to O'Connor? — zapytała Claire.

Nie mogła oderwać oczu od stosu podartych sukien, walających się na podłodze, błyszczących złotem brokatu i wszystkimi kolorami tęczy wykwitnych jedwabii francuskich. Nie była by kobietą, gdyby nie odczuwała żalu patrząc na tyle zmarnowanych łaszków.

— Ale jeśli to zemsta dlaczego w takim razie zniknęła kasetka?

— To właśnie podważa moją teorię — wyznał Ewans — a jednak czuję w tej całej historii robotę O'Connora. W naszym fachu, Claire, intuicja odgrywa pierwszorzędną rolę. Naturalnie, poco O'Connor miałby zabierać kasetkę? Może spodziewał się, że znajdzie w niej jakieś dokumenty lub fotografie? Nie wiem. Ba, — dodał, wstając gwałtownie z łóżka, — co bym dał za to, gdybym mógł zrobić odbitki odcisków papilarnych. Muszą tu ich być tysiące w tej kabinie. Niestety, z braku laboratorium musimy zapomnieć o daktyloskopii.

— Tak sądzisz? — powiedziała z uśmiechem Claire. — Wyjeżdżając zabieram ze sobą, wszystko co może być potrzebne do śledztwa. Mogę też, oczywiście, zrobić odbitki odcisków papilarnych.

Ewans pociągnął się za ucho.

— Nie żartujesz, mała?

— O, — wybuchnęła z nagłą zgryźliwością, — nie jestem dla ciebie żadna mała!... Nie stosuj wobec mnie wyrażen wy-

jętych ze słownika uwodziciela. Nie życzę sobie tego, zrozumiano?

Ewans spojrział na nią ze zdziwieniem. Ale w jego szarych, dobrych oczach można było wyczytać rozbawienie.

— Przepraszam, — powiedziała, opuszczając głowę, — uniosłam się niepotrzebnie. Chciałam po prostu zaznaczyć, że w tej sprawie, jak i w każdej innej współdziałamy ze sobą wyłącznie jako koleżdy. Bez wprowadzania momentów uczuciowych. Zgadzasz się chyba na to, Willy?

— Jak najbardziej.

Zdawało się jej, że powiedział to nazbyt skwapliwie. Niespodziewanie dla samej siebie rozplakała się.

Ewans podał jej swoją chusteczkę. Nie miał pojęcia co się stało. Claire była zawsze taka zrównoważona. Przyciągnął ją do siebie, pogładził po włosach. Czuł jak łyż zalewają mu koszulę. Obejmując go łkała coraz głośnie. Oderwała się wreszcie od niego, wytarła oczy.

— Wstyd mi, że zrobiłam scenę — szepnęła zdławionym głosem. — Uważasz mnie pewno za histeryczkę.

— Nie, — odparł — ani mi to pozostało w głowie. Jesteś fajna dziewczyna, Claire. Mówię ci to z całą odpowiedzialnością.

Przypatrzyła mu się spod mokrych jeszcze rzęs.

Uchwyciła ciepło w jego wzroku.

— Och, Willy... — powiedziała. — Jestem taka nierozsądna. Wyciągnęła puder z torebki i przeciągnęła puszką po twarzy.

— Możemy mówić o dochodzeniu... Jakie masz plany?

— Przede wszystkim chcę ci dać kieliszek koniaku. Mary Lancaster ma tu gdzieś nienajgorszy koniak, próbowałem wczoraj.

Otworzył bar i od razu trafił na właściwą butelkę.

— Myślę, Claire, że wypijemy za naszą wspólną pomyślność. Co o tym sądzisz?

Uśmiechnęła się blado.

— Chodzi ci pewno o pomyślność domu Ewans i Burton?

— To także.

Roześmiała się.

— Dobrze mi z tobą, doprawdy. I wcale nie żałuję, że osiem lat temu wstąpiłam do firmy Ewans i Burton. Chcesz pewno, żebym porozmawiała z O'Connorem?

— Chciałem cię o to właśnie prosić. Nie potrzebuję ci tłumaczyć, że musisz zachować jak największą ostrożność. Ten człowiek jest na pewno bardzo niebezpieczny i chytry. Wie, że pracujesz ze mną i będzie się starał wyprowadzić cię w pole. Spotkasz się z nim niby przypadkowo... Chodzi o to...

— Żeby wydostać jakiś przedmiot z odciskami jego palców...

— Brawo, Claire, to miałem powiedzieć. Ja tymczasem pójde pogadać z Mac Cormack'iem. Spotkamy się na obiedzie. Acha i wychodząc stąd poprosz na chwilę stewardesse.

— Pomaluję tylko rzęsy. Zrudziały od łez. Odwróć się, nie lubię jak mężczyzna przypatruje się kiedy robię makijaż. No już. A więc zawołaj stewardesse?

— Tak. Powodzenia!

— Tobie też.

Ewans przeszedł do salonu. Z zamiłowania do porządku podniósł rozrzucone po podłodze i kanapie sztuczne kwiaty i włożył z powrotem do wazonu. Potem podniósł fotografię ojca Mary Lancaster, oczyścił ze stłuczonego szkła i wyjął z ramek.

Na odwrotnej stronie fotografii widniał na wpół wyblakły napis, wykonany ółwkiem kopiowym. Ewans przeczytał go z trudem.

“Mojej małej Mary na pamiątkę spędzonych wspólnie czarownych chwil od kochającego ponad życie Pata”.

— Hm, — mruknął Ewans — jak na ojca jest to co najmniej niestosowna dedykacja. Coś mi się w tej całej sprawie zaczyna nie podobać. Kompleks Edypa? Nie przypuszczam. Czyżby Mary zelała bez reszty rzewną historyjkę o poświęcającym się tatuńciu? Tatuńcio był to po prostu stary kochanek nadziany pieniędzmi.

Pełen wątpliwości położył fotografię na stole.

W tej chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi

— Wejść!

Ukazała się stewardessa.

— Pani się nazywa Phillips?

— Zdaje się, że pan już słyszał moje nazwisko, sir. Tak, nazywam się Rozamunda Phillips, z domu Clarck. Mam lat... Ale czy to konieczne?

— Nie, pani Phillips, nie jestem ciekaw pani wieku. Proszę tylko odpowiedzieć na kilka pytań, które zadam.

— Z przyjemnością.

— Uprzedzam, że musi pani odpowiadać zgodnie z prawdą

— Wiem — przerwała stewardessa. — Reprezentuje pan kapitana.

Czarne jej oczy rzucały błyskawice.

— Pracuję na tym statku osiem lat i nikt mi jeszcze nie zarzucił, że kłamię.

— A czy ja to powiedziałem? Nie wątpię wcale, że należy pani do istot jak najbardziej prawdomównych. A więc pierwsze pytanie.

— Słucham.

— Czy w czasie pomiędzy godziną dziewiątą trzydzieści, a dziesiątą rano znajdowała się pani w korytarzu w pobliżu kabiny pani Lancaster?

— Owszem byłam w tym czasie w pobliżu ale mam do sprzątnięcia dziesięć apartamentów nie mogę więc wiedzieć co się w tym czasie działo w apartamencie pani Lancaster, czy ktoś tam wchodził i co tam robił. Nie należę, proszę pana, do policji kobiecej.

— Z wolna, z wolna, pani Phillips. Zechce pani odpowiadać ściśle na pytania i bez komentarzy. A więc nie widziała pani, czy ktoś wchodził lub wychodził z apartamentu pani Lancaster. A gdybym dopomógł pani pamięci?

Mówiąc to Ewans wyjął z kieszeni 20 dolarów, złożył baknot w pół i pomachał nim w powietrzu.

— Bardzo piękny widok — uśmiechnęła się. — Ale ja go mogę tylko podziwiać. Powiedział pan przecież, żebym nie kła-

mała, a sam mnie namawia do kłamstwa. Cokolwiek bym wyznała było by zmyśleniem. Wolę więc ograniczyć się do stwierdzenia, że nic nie wiem.

— Ładnie to pani wyrecytowała. Z tego wynika, że nie sposób liczyć na pomoc z pani strony. Szkoda.

— Niezmiernie żałuję, sir. Czy mogę już odejść?

— Za chwilę. Pani pochodzi z San Francisco, tak? Otóż przypominam sobie, że 15 lub 16 lat temu toczył się w tym mieście proces handlarzy heroiny i kokainy i że między innymi zamieszana była w tę sprawę niejaka pani Phillips. Nie ma pani z tą osobą nic wspólnego?

— Nie mówiłam wcale, że pochodzę z San Francisco i dzięki Bogu nie byłam za nic karana. Czy to panu wystarczy?

— Najzupełniej, pani Phillips, najzupełniej. Porozmawiamy jeszcze kiedyś w przyszłości, ale na razie nie jest mi pani więcej potrzebna.

Stewardessa skłoniła się z godnością. Przez cały czas wyraz jej twarzy był niezmiennie taki sam: pełen ugrzecznienia i służalczości, ale spojrzenie, które rzuciła na detektywa wychodząc, nie miało w sobie bynajmniej słodyczy.

— Ba, — pomyślał Ewans, gdy drzwi się za nią zamknęły — po tym spojrzeniu poznałbym ją wśród tysięcy. To napewno ta sama.

Wzrok jego błądził po banalnym urządzeniu salonu, nic jednak nie spostrzegał, a umysł powracał z uporem do obrazu sprzed lat: ponurej sali sądowej, promieni słonecznych przenikających jak przez sito przez wąskie i zakurzone okno i gromadki oskarżonych, którym powietrze więzienne nadało jednakowy jak gdyby wygląd szarości i smutku. Było tam sześciu, czy siedmiu mężczyzn i jedna kobieta, młoda jeszcze o pełnej twarzy i szerokich ustach. Nie miała wcale tremy. Śmiała się do reporterów ukazając mocne zęby, równe i białe, nazbyt równe i nazbyt białe, aby mogły być prawdziwe. Zachowanie jej odbijało od zachowania innych oskarżonych, przegaszonych i apatycznych.

— Tak, — powiedział Ewans sam do siebie — to napewno ona. Na Boga, daje mi to wiele do myślenia.

Wstał, poszukał butelki z koniakiem i nalewając złocisty płyn do kieliszka, wymamrotał:

— Tak, czy inaczej, ale gra zaczyna być interesująca. Tylko, do diabła, za dużo wątków. Czuję, że się gubię. Kochany Geraldzie, teraz na ciebie kolej.

Idąc schodami w dół na niższą kondygnację, gdzie mieszkał Mac Cormack, Ewans zastanawiał się w duchu co Mary Lancaster mogła widzieć ciekawego w opasłym bankierze. Nie był przystojny, ani inteligentny, jedno go mogło tylko wyróżniać w tłumie podobnych typów — to, że miał dużo pieniędzy. Przypomniawszy sobie powiedzenie pięknej Mary, które uważał do tychczas za bon mot, a które teraz urastało do wyznania wiary:

— Pieniądz daje poczucie wolności.

Mac Cormacka nie było w kabinie. Ewans nie znalazł go również w palarni, ani koło basenu kąpielowego. Schodząc na rufę statku natknął się na marynarza, który już od dawna zwrócił jego uwagę swoją oryginalną powierzchownością. Był to krępy człowiek, o krótkich nogach, niewspółmiernie wielkich

stopach i olbrzymich barach. Można by go było wyobrazić sobie na statku korsarskim — miał złamany nos, a ramiona pokryte tatuażem. Każdy centymetr skóry lśnił czerwoną, niebieską i zieloną farbą.

Ewans zatrzymał się w pobliżu marynarza i przypatrywał chwilę logowi biegnącemu za statkiem, tańczącemu wśród fal. Tłumaczono mu kiedyś, że przy pomocy logu mierzy się szybkość posuwania się statku. Nigdy nie był ciekaw jak się odczytuje szybkość z tej głupiej linki, ale przecież ludzie się na tym znali i ów marynarz także ponieważ odezwał się:

— Idzie jak zegarek, proszę pana.

Ewans nie wiedział co odpowiedzieć więc skinął tylko głową.

— Myślę o naszej łajbie, — rzekł marynarz, — ona nas wszystkich przetrzyma.

Pogładził delikatnie mosiężną poręcz jakby to była ręka ukochanej kobiety.

— Dobry statek — mruknął. — Czy wie pan, że przywiązałem się do niego jak do żywego stworzenia? A pracuję na "Pensylwanii" zaledwie rok. Gdyby tak jeszcze ludzie...

Ewans przyjrzał mu się uważnie.

— Ma im pan coś do zarzucenia?

Marynarz odwrócił się (mówił dotychczas nie odrywając wzroku od morza). Teraz Ewans mógł się przekonać, że domniemany korsarz ma otwartą twarz i jasne oczy, spoglądające jakby ze zdziwieniem na świat. Przy spojrzeniu tych oczu nikła brzydota oblicza, nie raził nawet złamany nos.

— Załoga, jak załoga — powiedział marynarz. — Są wśród niej niezłe chłopaki. Ale...

Machnął ręką.

— Dużo by o tym mówić. I nie o wszystkim można.

— Pan musi ich dobrze znać, prawda? I wolno wiedzieć co pan robi na statku?

— Jestem bosmanem. Nazywam się Samuel Adams, ale wolają mnie powszechnie Sammy. Co do pana to nie potrzebuję się pytać. Pan jest ten słynny detektyw z Nowego Jorku.

Ewans przytaknął. Milczeli chwilę. Latające ryby porywały się z fali, morze było ciemno zielone, butelkowego koloru, drobne baranki ukazywały się na jego wiecznie ruchliwej powierzchni.

— Może pan pójdzie do mnie — odezwał się bosman. — Zobaczy pan jak mieszkam i napijemy się brandy.

— Z przyjemnością.

Do kabiny bosmana było kilka kroków. Przez niewielki iluminator wpadało do jej wnętrza światło. Pod iluminatorem znajdował się wmontowany w ścianę stolik, koło niego krzesło. Umeblowanie uzupełniała szafka na rzeczy i koja. Nad nią wisiała przymocowana pluskwkami fotografia nie starej i nie brzydkiej kobiety.

— Żona?

— Niezupełnie. Poznałem ją w barze, dotąd nie wiem co za jedna, a żyjemy już ze sobą trzy lata. Czeka na mnie z walizką kiedy wracam do portu, zabieram ją ze sobą do domu. Te kilka dni pomiędzy jednym, a drugim rejssem mieszkamy razem, dobrze się zna na gotowaniu, wie pan marynarzowi potrzeba trochę ciepła rodzinnego. Chodzimy do kina, wypić też potrafi. Dobry kompan. Potem kiedy kończy się urlop odprowadza mnie

na statek, macha chusteczką... Do następnego rejsu. Zostawiam jej zawsze trochę pieniędzy na odjeźdźnym. Co robi kiedy mnie nie ma nie dochodzę. W gruncie rzeczy mało mnie to obchodzi. Niech pan siada na koi, tak wygodniej. Zaraz wyciągnę brandy. To naprawdę dobre, angielskie brandy. Może trochę lodu?

— Poproszę.

— Nie piję nigdy dużo, ale szklaneczka przed obiadem nie zawadzi. Kiedy nie jestem na służbie siedzę tu u siebie, pociągam łyk za łykiem i czytam książkę. Z ludźmi się nie zadaję. Tak bezpieczniej.

— Bezpieczniej?

— A co pan myśli? Nie jest tak spokojnie na "Pensylwanii" jak się niektórym wydaje. Słyszał pan pewnie co się stało z poprzednim bosmanem?

— Opowiadał mi trochę kapitan.

— A, opowiadał... To pan wie, że znikł ze statku pewnej ciemnej nocy w pobliżu Southampton? Noc była burzliwa, jak cholera, woda zalewała najniższy pokład. Nikt nic nie słyszał, ani nie widział. Chłop ulotnił się jak kamfora. Było śledztwo, ale kto by tam doszedł co się stało. W końcu policja uznała, że to było samobójstwo. Samobójstwo, che, che!

— A pan co o tym sądzi, bosmanie?

— Nic nie sądzę. Napijmy się lepiej brandy. Nie należy nigdy wsadzać nosa w nieswoje sprawy. Niech pan zapomni prędko co panu mówiłem. O, dzwonią już na lunch. Do widzenia! No, a gdyby pan był w tych stronach proszę zajrzeć na szklaneczkę.

W drodze do jadalni Ewans myślał nad znikomością tego świata. Wokoło był komfort, światło elektryczne, łazienki, wykwintne jedzenie, a zaraz o krok piekło wodne. Wyobraził sobie jak musi się czuć człowiek wyrzucony za burtę. Oświetlony rzęście statek oddala się. W górze ciemnej niebo, jeżeli się umie pływać tym gorzej. Rozpaczliwe szamotanie do niczego nie prowadzi. Lepiej iść od razu na dno.

8

Przed lunchem Ewans przeglądał zawsze komunikat poranny zestawiany przez stację radiową "Pensylwanii". Tym razem z boczny również do czytelni. Nie było tam nikogo prócz Claire Fuld.

— Czekałam tu na ciebie — powiedziała. — Musimy się porozumieć.

— Czy stało się coś ważnego?

— Właściwie nie. Rozmawiałam z O'Connorem. Był bardzo grzeczny i ostrożny. Odniosłam wrażenie, że nie ufa mi.

— Nie dziwię się wcale. Wszyscy wiedzą, że jesteś moją sekretarką. Ale świadczy to o tym, że O'Connor nie ma czystego sumienia.

— Hm, być może. Chciałam ci coś zaproponować...

Ewans przyjrzał się Claire spod oka.

Z lekko zmarszczonym czołem, zaróżowiona, jak po śnie, wyglądała uroczo. Założyła nogę na nogę, i spod krótkiej sukienki widać było rąbek białego uda.

“Gdzież ja miałem oczy u licha! — pomyślał. — Przecież dziewczyna ma bajeczne nogi”. “Właściwie to jest idiotyczne — skarcił się zaraz. — Widziałem Claire setki razy w basenie kąpielowym i na plaży i jak przystało na dżentelmena nie spostrzegalem jej nagości. A teraz wystarczyło, żebym zauważył kawałek uda spod sukienki... Williamie Ewans, przywołuję cię do porządku!”

— Więc co mi chciałaś zaproponować?

— Żebyśmy zerwali ze sobą. Nie dosłownie, oczywiście, ale na czas śledztwa.

— Doskonała myśl. Aprobuję. Kiedy zrywamy?

— Jak najprędzej. Dziś jeszcze w czasie lunchu.

— Ba, ale trzeba to zrobić w ten sposób, aby wypadło naturalnie.

— Już ty się o to nie martw, Willy. Tak to zainscenizuję, że sam będziesz zaskoczony. Przyszło mi jednak na myśl, że musimy komunikować się ze sobą dla wymiany informacji. Spotykać się nie możemy, było by to zbyt ryzykowne.

— Trzeba założyć w jakimś miejscu skrzynkę pocztową. Co byś powiedziała, żebym zaproponował czytelnici jako najwłaściwsze miejsce? I współczesną literaturę amerykańską jako skrzynkę. Nikt do niej nie zagląda — to gwarantowane.

— Zgoda. Zaczniemy od laureatów Nobla. A teraz do widzenia. Pierwsza usiądę przy stoliku w sali jadalnej. Przyjdź za dziesięć minut.

Kiedy wyszła Ewans zapalił papierosa i pograżył się w czytaniu komunikatu radiowego. Nie przejrzał jeszcze połowy komunikatu, nie ciekawego zresztą, kiedy wyczuł, że ktoś mu się przygląda. Upuścił niby niechcący papierosa i podnosząc go ujrzał w oknie niewielkiego mężczyznę o niezwykle cienkim nosie i wąsiku a la Adolf Menjou. W następnej chwili poczuł lekkie uderzenie w skroń. Była to kulka papierowa.

Ewans zerwał się, dopadł drzwi czytelnici, ale nieznajomy przepadł, na całej długości pokładu nie było nikogo.

— Co za dziecinnada!

Zawrócił do czytelnici. Kulka leżała na dywanie. Podniósł ją bezwiednie i wyprostował. Nie był to zwykły kawałek papieru tylko list.

“Drogi Panie Ewans!” — przeczytał. — “Piszę z kajuty, w której mnie uwięziono. Traktowana jestem dobrze, ale znajduję się w niebezpieczeństwie. Niech mnie Pan ratuje! Człowiek, który zwrócił się do Pana wskaże miejsce... Można mu całkowicie zaufać. Reszta zależy całkowicie od Pańskiego sprytu i umiejętności. Mary Lancaster”.

Dziwny list! Ewans przejrzał go jeszcze raz, a następnie schował do portfela. Nasuwał mu wątpliwości, węszył w nim jakiś podstęp. Przede wszystkim, czy istotnie pisany był ręką Mary Lancaster. To zresztą można było łatwo sprawdzić przez porównanie podpisu w paszporcie, znajdującym się w kasie ogniotrwałej “Pensylwanii”. Po drugie — nie wierzył we wskazanie miejsca, w którym uwięziono Mary... Wydawało się to zbyt łatwe, aby było prawdziwe. Chciano go być może zwabić w pułapkę. Jeżeli list pisała Mary zmuszono ją zapewne do niego pod groźbą śmierci. A gdyby zaryzykować? Zawód, w którym pracował, związany był z niebezpieczeństwem, wymagał ryzyka.

Ale i rozsądku zarazem. Żadnej brawury, każdy krok powinien być z góry przemyślany. Ha, trzeba się będzie naradzić z Claire.

Od czasu, gdy rozstał się z dziewczyną minęło już nie dziesięć, lecz dwadzieścia minut. Pospieszył do sali jadalnej. Wszystkie miejsca były zajęte, kończono już trzecie danie.

Skłonił się Claire. Zauważył, że była rozgniewana.

— Każę pan na siebie długo czekać, panie Ewans — powiedziała chłodno. — Straciłam apetyt. Wszystkie potrawy będą na pewno zimne.

Usiadł i zaczął zawiązywać serwetkę dookoła szyi.

— Mówiłam ci tyle razy — odezwała się porywczo, — żebyś nie zawiązywał serwetki jak dzidzius. Nie znoszę tego. Nie wiem kto cię wychowywał. Dobrze wychowany człowiek kładzie serwetkę na kolanach.

Zmilczał i tym razem.

Steward podał przystawki.

— O, Boże, — jęknęła — czy mam ci stale zwracać uwagę? Jesz jak typowy Amerykanin. Najpierw krajesz mięso, a potem przekładasz widelec do prawej ręki.

— Wydaje mi się — powiedział, — że jesteś również Amerykanką.

Rozumiał, że mają się poróżnić, ale przytyki jej były zbyt osobiste i przy tym wypowiedane podniesionym głosem. Wywoływało to poruszenie przy sąsiednich stolikach.

— Tak, jestem Amerykanką, ale umiem się zachować w towarzystwie. Nawet, gdybym była wychowana w preriі w rodzinie kowbojskiej...

— Nie pochodzę z rodziny kowbojskiej.

— Tym gorzej. Im dłużej przestaję z panem, panie Ewans, tym gorzej dla mnie — to chciałam powiedzieć. Wstąpiłam do biura Ewans i Burton, po to aby stracić najlepsze lata młodości, nie zyskując w zamian nic. Bo nie powie pan przecież, że otrzymuję królewską gażę! Moje dziewczęce marzenia! Jaka byłam głupia!

— Przepraszam bardzo — przerwał — ale nie wiem o co chodzi. Już po raz drugi odkąd jesteśmy na "Pensylwanii" powracasz do tego tematu. Może powiesz, że zwichnąłem ci karierę? Może przeszkodziłem ci, żebyś została gwiazdą filmową? Nie ma nic straconego, niektóre gwiazdy rozpoczynały karierę w późniejszym wieku.

— I co jeszcze powiesz przyjemnego, Willy? Że jestem ruda i mam krzywe zęby? Pracujemy razem osiem lat i przez cały ten czas nie powiedziałeś mi ani jednego miłego słowa, nie spostrzegłeś nawet, że jestem kobietą. Traktowałeś mnie jak rzecz, jak maszynę do liczenia. Chciałam dawno powiedzieć, co myślę o tobie. Zbierało się to we mnie od dawna, ale wreszcie muszę wszystko wygarnąć. Ty potrafisz tylko ocenić kobiety lekkiego prowadzenia!...

— Proszę cię, Claire, mów nieco ciszej. Ludzie nas słyszą.

— Chcę właśnie, żeby słyszeli. Kiedy zobaczysz jakąś malowaną lalę to zaraz zaczynasz się do niej umizgać, a ona cię nabiera na forse i puszcza kantem, może to nieprawda? Sto razy się to zdarzało i sto pierwszy raz zaczynasz na nowo. Wygląda to w końcu na zboczenie: jasne to są twoje osobiste sprza-

wy i nie powinny mnie obchodzić. Ale mówię co myślę — zbrzydłeś mi, nie mogę na ciebie patrzeć. I dlatego — zrywam z firmą Ewans i Burton ostatecznie i bezzwłocznie. Bądź zdrow!

— Ależ Claire...

— Steward, proszę przenieść moje nakrycie do stołu kapitańskiego. Spodziewam się, panie kapitanie, że nie zrobi panu różnicy, jeżeli zakończę lunch przy pańskim stole.

— Skądże znowu, panno Fuld. Niech pani siada.

Ewans pozostał chwilę przy swoim stoliku. Był czerwony z emocji. Claire aż nazbyt dobrze zagrała swoją rolę. Miał nieodparte wrażenie, że wiele z tego co powiedziała wynikało z jej najgłębszego przekonania. Sądził, że rozmowa mogła mieć mniej dramatyczny przebieg. Awantura? Nie, był to raczej prawdziwy skandal. Pasażerowie przyglądali mu się z zaciekawieniem. Kobiety, te miały żer!

Podniósł się i nie czekając deseru wymknął na korytarz.

Szedł wolno. Po chwili usłyszał za sobą szybkie kroki. Obejrzał się. Wymachując rękami biegł mu na spotkanie Gerald Mac Cormack.

— Trzeba przyznać — powiedział z rozbawioną miną, — że nie masz szczęścia do kobiet, Willy.

Ewans przestanął i popatrzył na bankiera z wściekłością.

— Znikaj, pókim dobry!

— Chciałeś się przecież ze mną zobaczyć? Jestem do twojej dyspozycji. Pójdziemy może do mnie?

— O, — powiedział Ewans, — jak sobie życzysz. Chętnie porozmawiam.

Czuł jak krew odpływa mu z głowy. Uspokajał się powoli. Jedynie drapieżny wyraz jego twarzy jak gdyby pogłębił się. Mac Cormack tego nie zauważył, szedł pogwizdując filmową melodię.

— Proszę cię, Willy, wejźdź!

Pierwsze co rzucało się w oczy w apartamencie był to wiszący naprzeciw drzwi akt kobiecej naturalnej wielkości.

— Wożę ją zawsze ze sobą — powiedział Mac Cormack. — Jak ci się podoba? Mam też wspaniałą kolekcję fotografii. Chcesz zobaczyć? Część tej kolekcji zabrałem wczoraj do Mary, chciała obejrzeć. No, są tam prawdziwe cuda. Paryż, Berlin, India, Chiny — wszystkie dziewczynki świata... Wolisz whisky czy dżin?

— Daj dżin z lodem.

— A może trochę heroiny?

— Co?

— Heroiny.

— Skąd ją masz?

— Przywiozłem z domu. Ale na statku dostaniesz ile tylko zapragniesz, choćby kilo. Tobie, oczywiście, nie powiem od kogo się kupuje. W takie rzeczy nie wtajemnicza się policji, ani detektywów prywatnych. A więc tylko dżin?

— Jak najbardziej. Powiedz mi, Gerald, dlaczego pani Lancaster, żeby obejrzeć kolekcję nie wstąpiła raczej do ciebie? Było by to przecież znacznie wygodniej.

— I ja tak sądzę. Ale ona miała jakieś spotkanie. Ktoś kogo dobrze znasz powinien był ją odwiedzić w nocy. Dlatego umó-

wiliśmy się warunkowo. Jednak ten ktoś nie został u niej. Zająłem jego miejsce.

Ewans potrząsnął głową. Nie był bynajmniej purytaninem. Swoboda, jego zdaniem, powinna się rozciągać również na obyczaje. Do pewnego stopnia, oczywiście. Do pewnego stopnia. To co słyszał przed chwilą przekraczało dozwolone granice.

— Jeżeli się mogę domyśleć — powiedział — spędziłeś noc z panią Lancaster?

— Podziwiam twoją domyślność — odparł sarkastycznie Mac Cormack. — Tak, przespałem się z nią.

— O której godzinie opuściłeś jej apartament?

— Nie patrzyłem na zegarek. Było już nad ranem. Mary powiedziała, że nie będzie mogła zasnąć i że poczyta książkę.

— Nie zdradzała niepokoju?

— Nie. Wydawała się wesołą i zadowoloną.

Ewans dopił dzin i postawił pustą szklanke na stole.

— Na razie nie mam więcej pytań.

— Nie jesteś nawet ciekaw, Willy, z kim umawiała się Mary na noc?

— Na noc? Jeżeli myślisz, że mnie zaskoczysz to się bardzo mylisz. Przypuszczasz pewno, że się zleknie, jeżeli powiesz, że to ja odwiedziłem panią Lancaster wieczorem. Muszę cię wprowadzić z błędu: nie miałem wcale zamiaru zostać u niej na noc.

— Nie udawaj takiego świętoszka. Mary powiedziała żeście się całowali i że tę noc przeznaczyła dla ciebie ale ty jesteś gapa.

— Co powiedziała?

— Że jesteś gapa.

Ewans poczerwieniał. Chętnie posłał by bankiera jednym uderzeniem pięści w krainę snów. Powstrzymał się wszakże. W końcu Mac Cormack powtórzył tylko epitet, którym obdarzyła go Mary.

— Przypuszczam, że teraz zachowasz przy sobie moje wyzwania — uśmiechnął się bankier. — Nie było by to zdrowo, ani dla mnie, ani dla ciebie gdybyś postąpił inaczej. Może dla odmiany szklaneczkę whisky?

9

Po południu Ewans poszedł najpierw do czytelnicy i zostawił tam dla Claire odpis listu Mary Lancaster. List zaopatrzył następującą adnotacją:

“Jak mi radzisz postąpić?”

Następnie, udał się do kapitana, aby dowiedzieć się jak wypadła kontrola działalności służby okrętowej, w których, mianowicie, kabinach nie sprzątno rano na wyraźne życzenie pasażerów. Kapitan oznajmił że stało się to jedynie w dwóch kabinach. Jedną z nich zajmowana była przez starsze małżeństwo; pasażerowie nie opuszczali od kilku dni kajuty, gdyż pani prawie od wyjazdu z San Francisco niedomagająca na chorobę morską. Tę kabinę Ewans wykluczył z rachuby. Druga natomiast kabina wydała mu się godną zainteresowania. Mieszkała tam ludzie, których znał potrosze z widzenia i ze słyszenia. Jeden z nich był to dygnitarz pakistański, doradca prezydenta

Mohameda Ayub Chana; dzielił z nim kabinę młody Anglik tak świetnie władający bronią, pamiętny z incydentu w barze w czasie wczorajszego balu.

Detektyw postanowił odwiedzić obu młodych ludzi. Zastanawiał się tylko jakiego użyć pretekstu, aby upozerować wizytę. Postanowił wreszcie, że zapyta, czy nie grają w bridża. Ostatecznie jest to taki sam dobry pretekst jak każdy inny. Nic innego nie przyszło mu zresztą do głowy.

Gdy zapukał do drzwi kabiny usłyszał z początku wypowiedziane pośpiesznie: "Zaraz, zaraz", potem zaś zdawało mu się, że rozlega się przesuwanie mebli lub walizek. Trwało to dobrych kilka minut zanim otworzono drzwi. Stał w nich młody Anglik ubrany w jedwabną niebieską piżamę i chińskie wyszywane pantofle. Było coś dziwnego w jego wyglądzie czego w pierwszej chwili Ewans nie mógł zrozumieć.

Dopiero w następnym momencie nawiedziła go myśl tak nieprawdopodobna, że sam się jej przeraził:

— Ależ to kobieta!

Nie miał konkretnego dowodu na poparcie tego twierdzenia, ale było coś nieuchwytnego w zachowaniu się młodego człowieka co skłaniało do podobnego mniemania.

— Pan sbble życzy?

Pytanie nie było wygłoszone tonem zbyt przyjaznym.

— Powód mojej wizyty jest dość idiotyczny — powiedział Ewans. Chciałbym się, mianowicie, dowiedzieć, czy panowie grać w bridża.

Anglik zmarszczył brwi, zaraz jednak roześmiał się.

— Rozumiem, brak panu czwartej ręki.

— Trzech par rąk, proszę pana. Nie mam na tym statku dostatecznych znajomości i aczkolwiek nie zostaliśmy sobie formalnie przedstawieni ośmielam się wystąpić z propozycją wspólnej gry. Jest to zresztą zupełnie luźna propozycja. Wystarczy, żeby pan zamknął mi drzwi przed nosem...

— Cóż znowu!... — odparł żywo Anglik. — Niech pan wejdzie. Nie będziemy przecież rozmawiali w korytarzu. Solejman, przyprowadzam gościa.

Ewans wszedł do kabiny z pewnym wahaniem. Niezbyt często doświadczał podobnego uczucia niemal uchwytnego niebezpieczeństwa, jakby usiłował wtargnąć do legowiska tygrysa.

Pakistańczyk podniósł się na spotkanie. Na głowie nosił biały turban, na którym dwie zielone wstążeczki wszyte w tkaninę świadczyły, iż ich posiadacz odbył pielgrzymkę do świętych miejsc Mekki i Medyny.

— Rad jestem poznać pana.

Zółta twarz nie wyrażała niczego poza obojętną grzecznością. Tylko w oczach zapalał się od czasu do czasu ognek tak właśnie jak w brązowych oczach tygrysa.

Mary Lancaster nie było, oczywiście, w pokoju i Ewans nie spodziewał się tego wcale. Nie ukryto jej chyba w jednym z olbrzymich metalowych kufrów, stojących pod jedną ze ścian. Do podniesienia podobnego kufra trzeba było co najmniej czterech tragarzy. Żywy człowiek, umieszczony w tej trumnie, musiał by się w krótkim czasie zadusić. Stanowiły natomiast idealne miejsce do przechowywania trupów, lub skarbów. Ewans uśmiechnął się do siebie, wysuwając te supozycje; wiedział, że

są nieprawdopodobne. Mimo to miał wielką chęć, żeby dowiedzieć się co zawierają kufry i postanowił, że odwiedzi kabinę tajemniczych dżentelmenów w czasie ich nieobecności z pękiem podrobionych kluczy. Nie gardził metodami włamywacza, gdy było to konieczne.

Prócz kufrow znalazło się w kabinie kilka okrągłych koszy, zaopatrzonych u góry w niewielkie otwory. Może z tych koszy, a może od czego innego wydobywał się szczególnie ostry odór.

— Muszę pana zmartwić — powiedział Anglik — ale gramy bardzo źle w bridża. Mój towarzysz ma zresztą prawdziwą awersję do kart. Jak wszyscy ludzie wschodu odnosi się z pogardą do zabaw białych ludzi.

Ewans skłonił się.

— W takim razie bardzo przepraszam.

— Niech pan nie odchodzi — zawołał Anglik. — Nie gramy wprawdzie w bridża, nic jednak nie stoi na przeszkodzie, abyśmy dotrzymywali sobie towarzystwa. My również nie znamy nikogo na statku. Czasem wydaje się nam, że znajdujemy się w wielkim hotelu, gdzie wszyscy są sobie obcy.

— Bo też statek jest właśnie hotelem — zauważył milcząco dotąd Pakistańczyk. — Dla ludzi lubiących samotność, jak na przykład dla mnie, nie ma nic miłszego.

Ewans spodziewał się, że człowiek ten będzie miał głos chrapliwy i nieprzyjemny. Tymczasem było odwrotnie. Mówił dźwięcznie i łagodnie i w jego ustach język angielski brzmiał niezwykle melodyjnie. Można się było poddać całkowicie czarowi tego głosu, posiadał niebezpieczne właściwości magnetyczne, jak śpiew syren, które chciały strącić w toń morską wędrowca z Itaki.

— Świat — powiedział Pakistańczyk — mieści się w nas samych. Wszystko co się znajduje poza naszym ja stanowi jedynie tło, mniej lub więcej barwne. Ludzie nie znający swojej jaźni próbują gwałtownie rozrywki, zgiełku i gwaru, jak gdyby mogło to zapęłnić pustkę ich duszy. Biedni, nie wiedzą, że nieprzebrane bogactwa drzeją właśnie w nich i że jedynie kontemplacja zdolna jest przybliżyć ich do nirwany.

Wyrzekłszy to Pakistańczyk zamarł w fotelu w pozie hieratycznej przypominającej pozę Buddy. Anglik, który słuchał go z namaszczeniem i z pietyzmem ucznia wobec mistrza, uważał za stosowne wyjaśnić:

— Solejman Kothar Chan jest jednym z najświetlejszych interpretatorów Koranu. Nie wykłada wprawdzie na uniwersytecie, ale uważany jest w swej ojczyźnie za największego filozofa.

— Nie ośmielił bym się zaprzeczyć — powiedział Ewans — jeżeli jednak się nie myłę w tym co powiedział wielce szanowny pan Kothar Chan widzę raczej kwintesencję buddyzmu i nie byłoby się do godzi z zasadami wiary mahometańskiej.

— Bóg — wyrzekł Pakistańczyk, budząc się z letargu — jest światłem i wszystkie religie prowadzą do niego. Kto umie czytać Koran wie, że wyrósł on z judaizmu, chrześcijaństwa i buddyzmu, przetworzonych boską ręką Proroka.

— Oto słowa prawdy! — zawołał, rozkładając ramiona, Anglik.

Ewans przypatrywał mu się bacznie od dłuższej chwili, i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ma przed sobą kobietę. Na bladej zazwyczaj twarzy wykwitły rumieńce. Promień słońca, wpadając przez odsłonięte okno, oświetlał tę twarz ukazując na niej delikatny puszek, którego nigdy nie dotknęła brzytwa.

Nastała chwila milczenia. Był to najstosowniejszy czas na zakończenie wizyty i detektyw podniósł się.

— Do zobaczenia wieczorem — powiedział. — Proszę mi wierzyć, że przeżyłem jeden z najprzyjemniejszych momentów w moim życiu.

— Nie przedstawiliśmy się jeszcze sobie — uśmiechnął się Anglik. — Nazywam się Daniel Brown.

“Daniel!...” — pomyślał Ewans. — “Jak najbardziej stosowne imię. Daniel w jaskini lwów”.

— Ja zaś nazywam się William Ewans i jestem detektywem, ale pragnę to zaznaczyć z całym naciskiem — obecnie na urlopie i...

Od dłuższego czasu do uszu detektywa dochodził syk przypominający świst gazu wydobywającego się z butli. Teraz spostrzegł źródło owego syku. Z jednego z okrągłych koszy wyrastał obły kształt zakończony płaską głową.

Kobra!

— Niech pan się nie przeraża — powiedział Anglik. — Wiziemy ze sobą kilka tych gadów. Są zupełnie niewinne. Kothar Chan uczy je tańczyć przy dźwięku fletu.

— O ile wiem jest to jednak jeden z najbardziej jadowitych gatunków węży.

— Owszem są jadowite. Ale dla ludzi, którzy potrafią się z nimi obchodzić nie stanowią większego niebezpieczeństwa, niż psy i koty. Zazwyczaj nie opuszczają swoich koszów. W każdym razie nie pozwalamy służbie sprzątać w naszej kabinie.

— Nie zazdroścę złodziejowi, który chciałby się dobrać do panów! rzeczy.

— Pod tym względem ma pan rację — roześmiał się Anglik.

10

Ewans opuścił kabinę nowych znajomych z mieszanym uczuciem przerażenia i ciekawości. Kobieta, która umie się obchodzić z bronią jak kowboj i filozof mahometański, wygłaszający sentencje buddyjskie i w dodatku nie gardzący trunkiem, zakazanym przez Proroka. Pił przecież Martini w barze w czasie awantury z Mac Cormackiem i zdawał się to czynić z dużym zadowoleniem i bez wyrzutów sumienia. W każdym razie ci dwoje nie wydawali się zamieszani w zniknięcie Mary Lancaster. Mieli dostateczny powód, aby nie pozwalać sprzątać służbie w kabinie.

Idąc zamyślony nie zauważył zdążającego mu naprzeciw oficera.

— Nareszcie pana spotykam, panie Ewans. Kapitan...

— Co się znowu stało?

— Stało się coś bardzo niedobrego. Umarł jeden z marynarzy.

— Umarł?

— Tak. Była to gwałtowna śmierć. Sądźmy, że zabójstwo.
— Och, — mruknął Ewans — tego tylko brakowało. Gdzie to się zdarzyło?

— W luku.

Oficer zatrzymał się i demonstrując położenie zmarłego przykucnął, oparłszy plecy o ścianę.

— Znalaziono go w takiej właśnie pozycji. Zresztą kapitan panu wszystko wyjaśni. Spieszmy się, stary odchodzi od zmysłów.

Kapitan był istotnie bardzo wzburzony.

— Dobrze że pana widzę! — wykrzyknął, padając raczej, niż siadając na krześle i wskazując detektywowi miejsce naprzeciw siebie. — Słyszał pan co się stało? To przechodzi wszelkie wyobrażenia! Przekłęty statek! Przekłęte sprawy! Zapytuję się pana w końcu, czy jestem kapitanem, czy też mam pełnić obowiązki komisarza policji?

Ewans przeczekał, aż kapitan Wilkinson się uspokoi i zapytał:

— Proszę mi opowiedzieć dokładnie o kogo chodzi, gdzie znaleziono delikwenta, przy jakiej okazji, słowem wszystko.

— Nie wiem, czy będę w stanie zdać panu sprawozdanie z przebiegu wydarzeń w sposób rzeczowy. Jestem roztrzęsiony nerwowo. Na Jowisza, cios ba ciosem wali mi się na głowę! To przechodzi wszelkie wyobrażenia! — (Kapitan powtarzając to wyrażenie, użyte już poprzednio, chciał jak gdyby podkreślić wagę wypadków). Wielkie nieba! A więc dziś po południu kazałem sprawdzić, czy w prawym luku nie rozluźniły się bagaże. Wozimy trochę towaru, niedużo, kilka tysięcy ton, a tym razem jest to towar sypki, worki z mąką, który łatwo ulega przesuńcioniom. Posłałem czterech marynarzy i ci zaraz zauważyli po zapaleniu światła, że jakaś postać przykucnęła w kącie pod ścianą.

Już był zimny, proszę pana, mówię o Tomie Hutchisonie.

— A kto to był taki ten Hutchison?

— Hutchison? Stary marynarz. Na "Pensylwanii" służył prawie od jej wodowania, człowiek porządny, wdowiec, lubił trochę wypić, ale nie za bardzo, nie było z nim nigdy kłopotu.

— Skąd to przypuszczenie, że zabity? Może umarł po prostu na atak serca?

— I ja tak myślałem z początku. Nie wykryto żadnych śladów gwałtownej śmierci. Pod lewym okiem ma jedynie dwie małe ranki, jak od zadrapania. Zresztą lekarz się nim teraz zajmuje, robi sekcję. To ten przekłęty eskulap wysunął twierdzenie, że Hutchisona zamordowano. Zaraz tam pójdziemy. Nie boi się pan krwi i trupów? Na mnie robi to/ zawsze wrażenie.

— Czy ktoś posyłał Hutchisona do luku?

— Pytałem się o to oficerów i bosmana. Nikt. To mi nasuwa podejrzenie, że on tam poszedł w jakiejś tajemniczej sprawie. Nie mam też pojęcia jak się dostał do luku. Trzeba przecież otworzyć go i zamknąć. W biały dzień to trudna historia, jeżeli się to chce zrobić niepostrzeżenie. I potrzeba do tego co najmniej dwóch ludzi.

— Może istnieje jakieś nieznanne przejście, o którym pan nie wie?

— Zartuje pan chyba, panie Ewans! Mogę panu zaraz po-

kazać plany wszystkich poziomów "Pensylwanii". Nie ma takiego przejścia.

— Hm, — mruknął Ewans — nie będę na razie podważał pańskiego twierdzenia, kapitanie. Może jeszcze wrócimy do tej sprawy, ale później. Obecnie chodźmy. Mam nadzieję, że dr. Aldwych zakończył już swoje czynności i będziemy mogli wysłuchać jego opinii.

Kapitan włożył czapkę i sumitując się, że nie poczęstował detektywa "nawet szklanką whisky" poprowadził go do szpitala okrętowego. Szpital był obszerny, lśnił czystością, ale jak wyjaśnił dr. Aldwych przebywała w nim, niestety, tylko jedna pacjentka — stara dama, chora na grype. Doktor, młody człowiek, w okularach, chudy, o krótko przystrzyżonych blond włosach pochwalił się, że nie zawsze tak bywało. Pewnego razu wybuchła na statku epidemia świnki — wtedy miał pełne ręce roboty. "Co jest smutne — mówił —, że tak trudno tu o ciekawe wypadki". Raz tylko musiał przeprowadzić trepanację czaszki i raz miał do czynienia ze skomplikowanym porodem.

Wśród tej pogawędki zaprezentował detektywowi siostrę szpitalną, ładną szatynkę o pełnych kształtach, nie omieszkał przy tym powiedzieć: "to moja prawa ręka", wreszcie otworzył drzwi do sali operacyjnej.

Hutchison leżał na wózku, twarz miał pokrajaną i sklejoną plasterami. Był to człowiek w średnim wieku, łysawy o krzaczastych brwiach, nie odznaczający się zresztą niczym szczególnym.

— Co pan wykrył, doktorze? — zapytał kapitan, którego paplanina eskulapa zdawała się z lekka niecierpliwic. — Byłbym rad, gdyby się okazało, że Tom zmarł naturalną śmiercią.

Dr. Aldwych uśmiechnął się. Zacierając duże, kościste dłonie powiedział z nieukrywaną satysfakcją:

— Niestety, tak nie jest. Denat z całą pewnością zginął w okolicznościach podejrzanych.

— Chce pan może zasugerować, że został zabity?

— Tego nie umiem stwierdzić.

— A więc co pan przypuszcza w końcu, doktorze, do stu tysięcy sztormów?

Dr. Aldwych zamyślił się, zdjął okulary i przecierając je ręką nienagannie białego fartucha, wyjaśnił:

— Gdybym nie wiedział, że znajdujemy się na statku, nie zaś w głębi dżungli afrykańskiej to bym ośmielił się postawić dość niezwykłą diagnozę. Istnieją bowiem wszelkie objawy, że Hutchison zmarł wskutek zatrucia organizmu jadem węzowym. Zdaje się o tym świadczyć zarówno charakterystyczny wygląd ranki pod okiem, jak i stan serca — paraliż mięśnia sercowego.

Kapitan Wilkinson wruszył ramionami:

— Trzeba przyznać, że jest to dość bezsensowna diagnoza.

— Toteż zastrzegłem się od razu, że nie traktuję jej serio.

Bądź co bądź i to mogę powiedzieć z czystym sumieniem, Hutchison został otruty.

Ewans, który przysłuchiwał się milcząc rozmowie, wtrącił teraz swoje trzy grosze.

— Przypuśćmy, że przyjmiemy na chwilę pańską hipote-

zę, doktorze, i zakładając, że do luku zakradła się zmija (ostatecznie, nie jest to takie niemożliwe, panie kapitanie) jak pan sobie wyobraża, że ukąsła ona Hutchisona na wysokości oka? O ile wiem historyjki o skakaniu węży należą do bajek. Wąż nie skacze tylko rzuca się tułowiem naprzód, opierając się na ogonie. Hutchison mógłby być ukąszony pod okiem, gdyby wędrował przez las, gdyż niektóre gatunki węzów kryją się wśród gałęzi drzew.

— Zupełnie słusznie — przytaknął dr. Aldwych — ale nie należy zapominać, że worki z mąką leżą w luku na wysokości człowieka i że w miejscu w którym znaleziono Hutchisona znajduje się przejście. Wąż mógł się wślizgnąć w szparę między workami.

Ewans spojrział na lekarza z uznaniem.

— Wyjaśnił to pan jak najbardziej logicznie. Brawo!

— Z tego co panowie mówili wynika, że wąż przebywa w dalszym ciągu w luku — powiedział kapitan Wilkinson. Przyznam się, że jestem tym przypuszczeniem zaniepokojony.

— Ach, nie, — odparł Ewans — to jest tylko czysto teoretyczne zagadnienie. Nie ma żadnych obaw.

Mówiąc to detektyw nie był tak bardzo pewien słuszności swego poglądu przypomniawszy mu się bowiem kabina Kothar Chana. Jedna z kobr mogła uciec i zakraść się do luku. Nie zdradził się jednak ze swoimi podejrzeniami.

Wyszli przed szpital. Dr. Aldwych pożegnał się z nimi wymawiając się obowiązkami zawodowymi.

— I co pan sądzi o tym wszystkim? — zapytał kapitan.

— To co powiedziałem podejmując się tej sprawy: nie wiem jeszcze nic.

Kapitan Wilkinson zmarszczył czoło i chciał właśnie zwrócić uwagę na temat kunktatorstwa niektórych detektywów, gdy podszedł do niego porucznik Brown.

— Przeszukaliśmy ubranie Hutchisona, panie kapitanie, i w kieszeni spodni znaleźliśmy kartkę, która, jak mi się wydaje, może mieć duże znaczenie. Skierowana jest do pana Ewansa.

— Do mnie? — zdziwił się detektyw.

Wziął podaną sobie kartkę i przeczytał:

“Drogi Panie Ewans,

Człowiek, który odda niniejszą kartkę jest godny zaufania. Zaprowadzi on pana, tak jak pisałam w poprzednim liście do miejsca, gdzie się znajduje. Czekam na pana z niecierpliwością. Na Boga, niech się pan spieszy!”

Mary

Ewans nic nie mówiąc podał kartkę kapitanowi.

— Nie rozumiem — powiedział kapitan Wilkinson, spoglądając podejrzliwie na detektywa. — Koresponduje pan z panią Lancaster, a ja o tym nic nie wiem.

— Tak, otrzymałam od niej dwie godziny temu list, w którym zawiadamiała, że jest uwięziona, i prosiła o pomoc. Jakiś człowiek miał mnie tam zaprowadzić. Nie ma zwyczaju w naszym fachu, panie kapitanie, żeby powiadamiać o szczegółach śledztwa w czasie jego trwania, nawet tak godne zaufania osoby, jak pan. Byle jaka niedyskrecja może kosztować drogo. Nie wiedziałem jak postąpić. Weszylem w tym liście pu-

łapkę. Teraz znam prawdę. Pani Lancaster udało się przekupić Hutchisona...

— Sądzi pan, że Hutchison był jednym z nich?...]

— Co do tego nie ma wątpliwości. Należał do bandy, ale zdradził ją dla pieniędzy pani Lancaster. Było by mu się udało i nam też, kapitanie, gdyby nie popełnił jakiejś nieostrożności. Zapłacił za to głową. Wszystko to mówię, oczywiście, na podstawie dedukcji. To co teraz powiem jest również oparte jedynie na domniemaniu. Otóż przypuszczam, że na "Pensylwanii" istnieje wśród części załogi jakaś mafia. Nie wiem kto do niej należy i jakie są jej cele, ale w każdym razie są to cele nieczyste.

— Pan mnie przeraża, Ewans.

— Niestety, kapitanie, nie mam w tej chwili dla pana nic pocieszającego. Co więcej gotów jestem się założyć jeden do stu, że w ciągu najbliższych 12 godzin popełniona zostanie na statku nowa zbrodnia. Może uda nam się jej zapobiec, jeżeli będziemy działać dostatecznie szybko. Czy zna pan człowieka o niezwykle cienkim nosie i lekko zarysowanym wąsiku?

Kapitan zamyślił się.

— Nie wiem, czy to ten, o którego panu chodzi, ale mamy na statku cieślę odznaczającego się rzeczywiście cienkim nosem i takim właśnie wąsikiem, który pan opisał. Nazywa się Eryk Lindquist i odbywa na "Pensylwanii" pierwszy rejs.

— Nieduży?

— Tak jest niewielkiego wzrostu i szczupły.

— To prawdopodobnie ten sam. Może go pan kazać zawołać?

— Teraz?

— Natychmiast.

— Chodźmy do mnie. Zaraz wyślę stewarta, żeby go poszukał. A w międzyczasie napijemy się whisky. Czuję, że jedna szklaneczka dobrze mi zrobi po widoku trupa i perspektywach dalszych trupów.

— Mnie też.

Kapitan Wilkinson otworzył drzwi do swojej kabiny i przepuścił przodem detektywa. Stewart kręcił się w pobliżu.

— Bill, → rozkazał kapitan — poszukasz cieślę Lindquista i przyprowadzisz go w trzy pacierze.

— Tak jest.

— Może pan będzie łaskaw — ciągnął kapitan — i wyciągnie z baru butelkę whisky, Ewans, a ja się tymczasem postaram o wodę sodową. Pół na pół?

— Może być.

— Co pan sądzi o Mary Lancaster? Grozi jej rzeczywiście duże niebezpieczeństwo?

— Niestety, wciąż jeszcze nie mogę sobie zdać sprawy dlaczego została porwana. Widzę jednak, rzecz prosta, niebezpieczeństwo. Jeżeli panu powiem, kapitanie, że nie umiem jak dotąd rozgryźć tej kobiety to właśnie stanowi największą przeszkodę w zrozumieniu dlaczego się wplatała w aferę "Pensylwanii" albo jeśli kto woli w sprawę stacji: "Niedaleko równika".

— W sprawę stacji radiowej "Niedaleko równika"? Nie tak dawno twierdził pan, jeżeli dobrze sobie przypominam, że nie

istnieje powiązanie pomiędzy porwaniem Mary Lancaster, a napadem na stację radiową.

— Zmieniłem zdanie.

— Ciekawe. Jeszcze jedną szklankę whisky?

— Dziękuję. Zdaje się, że ktoś puka.

Drzwi uchyliły się i na progu kabiny stanął steward.

Był wyraźnie zmieszany.

— Nie ma go nigdzie. Zresztą najlepiej to wyjaśni bosman.

On jest tutaj.

— Dawaj bosmana. Co tam, Sammy, nie wiesz gdzie się podziewa Lindquist? Niezbyt to dobrze świadczy o dyscyplinie na pokładzie, jeżeli bosman nie umie powiedzieć co robią jego podwładni. Wysyłałeś go gdzieś?

— Nie. Ten człowiek od dawna mi się nie podoba, panie kapitanie. Mam wrażenie, że wsadza nos w nieswoje sprawy, takie mam przekonanie.

— Co to znaczy, Sammy? Nie rozumiem.

Bosman nie odpowiadał. Stał jak wrośnięty w podłogę na swoich krótkich nogach, patrząc gdzieś w bok poza kapitanem.

— Zaniemówiłeś, Sammy?

— Można go będzie jeszcze poszukać w kajucie. Mieszka z drugim cieślą, Trevorem. Ale jeżeli go znajdziemy na biegunach ja za to nie odpowiadam.

— Nigdy nie słyszałem, żeby Lindquist pił.

— Od niedawna, panie kapitanie. Od niedawna...

— Bardzo mnie to martwi, bosmanie, że o czymś podobnym dowiaduję się dopiero teraz, przypadkowo. Czy nie należy to do waszych obowiązków, żeby mnie powiadamiać o niegodnym postępowaniu marynarzy?

Bosman pochylił głowę, twarz jego o złamanym nosie wyglądała zupełnie groteskowo.

— Dobrze, pogadamy o tym później. A teraz prowadźcie nas do kajuty Lindquista. Chciałbym, żebyście byli obecni, bosmanie, przy rozmowie z nim. Nie mam zamiaru rozpuszczać ludzi.

Ewans widział, że kapitan był wściekły. Wyrażało się to u niego w piorunującym spojrzeniu niebieskich, zazwyczaj łagodnych, oczu.

Pomieszczenia dla załogi znajdowały się na najniższym pokładzie, tuż nad waterlinią. Korytarz był tu wąski. Po ścianach i suficie biegły przewody oświetleniowe i centralnego ogrzewania. Co pewien czas ukazywał się prześwit krętych schodów prowadzących w dół do maszynowni lub magazynów. Pachniało ropą i olejami.

Drzwi do kajuty Lindquista były wpół przymknięte. Bosman otworzył je szeroko. Znajdowały się tam dwie koje jedna nad drugą, niewielki stolik i krzesło. Cieśla leżała na podłodze koło krzesła, cienka struga krwi spływała mu ze skroni, tworząc małą kałużę jak po zabiciu kury.

— Przybyliśmy o dwie minuty za późno — powiedział Ewans.

D. c. n.

para impressos de alta qualidade
— papel e cartão

SUPER WHITE

BEZKRESNE

HORYZONTY

Począwszy od niniejszego numeru rozpoczynamy druk na łamach naszego kwartalnika wyjątków z opisu wyprawy, która kilka lat temu przebyła trasę od Kordyliarów boliwijskich poprzez Kordyliery peruwiańskie i ekwadorskie, aż po granice Kolumbii, od źródła Amazonki w Kordyliarach peruwiańskich poprzez śnieżne szczyty-pieszko i na grzbietach mułów i koni, a następnie drogą wodną przez zdradzieckie kaniony na północy Peru wzdłuż Amazonki i jej dopływów jak: Santiago, Neva, Pastaza, Rio Branco, Rio Negro, Caobouri (po granice Wenezueli i Gujany brytyjskiej), Purus i Madeira i dalej aż do ujścia Matki Rzek w Oceanie Atlantyckim. Łącznie długość trasy wynosiła 40.000 km. ekspedycja zaś trwała dwa lata.

Na czele wyprawy stał znany filmowiec, Edmund Bielawski, były oficer Brygady Spadochronowej. Dziś, gdy organizowane są ekspedycje z trzech kontynentów, zaopatrywane i finansowane przez rządy i instytucje naukowe, dla odnalezienia źródła Amazonki, gdy wyruszają wyprawy w celu rozpoznania dziewiczych ziem Serra de Neblina, warto wspomnieć, że Edmund Bielawski był tam już dwa-trzy lata temu z własnej inicjatywy, finansując wyprawę bez żadnej pomocy oficjalnej.

W wyniku ekspedycji powstał film pod tytułem: "Bez-kresne horyzonty" (Horizontes Infinitos), który obecnie wykańczany jest pod względem technicznym i powinien ukazać się wkrótce na ekranach światowych.

Zadaniem ekspedycji było dotarcie do terytoriów zupełnie nieznanych lub zaledwie dotkniętych stopą białego człowieka, sfilmowanie obiektów geograficznych, fauny i flory, życia i obyczajów szczepów indiańskich, folklorystyki amazońskiej i "zielonego piekła". W czasie tej długiej podróży zdarzały się przygody, nie ustępujące najbardziej fantastycznym sekwencjom powieściowym.

Edmund Bielawski pisał w czasie wyprawy dziennik. Te zapiski, robione na gorąco, stały się podstawą opisu, który niniejszym przedkładamy naszym Czytelnikom. Jest to etap drugi wyprawy, składającej się z dziewięciu etapów.

Redakcja

Jedziemy roztrzęsionym autobusem, roztrzęsiony czuję się sam. Mdli mnie od godzin. W najbliższej perspektywie jazda do Rygi. W głowie tępy ból potęguje się w miarę wznoszenia — jest to następstwo gwałtownej zmiany wysokości. Siedzący w pobliżu Waldemiro, zazwyczaj czerwony, blednie coraz bardziej, oczy błędzą niespokojnie, czoło pokryte potem.

— Będę rzygać — zdążył wykrztusić.

Dodaję mu odwagi.

— Jeszcze trochę — mówię. — Cerro de Pasco już niedaleko. Zaciska zęby.

Waldemiro Guntzel, buńczuczny gaucho z Pôrto Alegre, zamieszkały stale na nizinach, niezbyt swojsko czuje się w górach. Z zawodu operator filmowy, jest członkiem ekspedycji ze zrządzenia losu... i jak twierdzi, ponieważ odczuwa chroniczny entuzjazm do wariackich planów i planujących wariatów.

Na tylnych miejscach autobusu, oddzieleni tobołkami bagażu, o minach: "po czorta tu wlażem" siedzą John i Francisco.

4.000 metrów... Obcy świat i obcy ludzie. W nieskończoność wlecze się drugi dzień jazdy do Cerro de Pasco, przejściowej bazy ekspedycji na drodze do źródeł Amazonki.

Cerro de Pasco, miasto - kopalnia, znajduje się w centrum olbrzymiego wężła górskiego o zawitym układzie, przecinającym pionowo biegące dotychczas równolegle Kordyliery środkowo-peruwiańskie. Z północnych krańców tego wężła wybiegają na północ trzy wyraźne pasma górskie, z których środkowe, Cordillera Blanca, dominuje nad innymi wysokimi szczytami pokrytymi wiecznym lodem. Wody, spływające z zachodnich zboczy, tworzą Rio Santa, która w wąskim korycie spływa w pierw na północ, później przedziera się przez Cordillera Negra i w okolicach Chimbote wpada do Pacyfiku. Z szeregu jezior położonych u stóp lodowców, na zachodnich zboczach Cordillera Blanca spływają Marañon i Huallaga. Rzeki te, zasilone w swym spadzie na północ przez tysiące strumyków i rwących potoków, tworzą początek olbrzymiego dorzecza systemu Amazonki.

Tu, z okien autobusu, w trakcie ciągłych wiraży, trudno rozpoznać teren tak drobiazgowo analizowany poprzednio na mapach. Zmieniają się widoki jak w panoramie, rosną przed nami szczyty, mijają, ukazują się bliższe i wyższe. Rezygnuję ze zgadywania, odkładam mapę. Fakt, że bliżej czy dalej, za tym, czy innym masywem górskim, leży cel naszej ekspedycji — źródło drugiej pod względem wielkości rzeki świata.

Autobus stęka tymczasem jak dychawiczny koń, pnie się z trudem pod górę, koła wpadają co chwila w jakąś dziurę na podłej drodze, pełnej wybojów. Po zachodzie słońca, ukazuje się gdzieś w dole kilka punktów świetlnych.

— Cerro de Pasco! — ryczy tryumfalnie szofer, jakby już trzeba było wysiadać.

W godzinę później wjeżdżamy w wąskie ulice osiedla, oświetlone gdzieś tam żółtym światłem latarni. Ponuro i zimno. U wlotu wita nas zgraja ujadających psów i nie opuszcza aż do przystanku na środku placu, zabudowanego starymi ruderami. Na miejscu, prawie na stopniach autobusu, ubijam interes z przedstawicielem hotelu, z tych o "większym komforcie". I rzeczywiście był to hotel z komfortem, o którym można by powiedzieć z obrazą psiego rodu... pod psem.

Jeszcze graty nie zostały złożone, a wołają nas już do kantoru. Najpierw formalności zapisu. Nazwisko, obywatelstwo itd. itd. Pierwszy — Waldemiro Guntzel, Brazylijczyk, drugi — Francisco Armada, Hiszpan, trzeci — John Kennedy, Amerykanin. Hotelarz podnosi głowę, rozjaśnia się puciołowata gęba, ukazują się wyszczerbione zęby.

— Che, che, che!... — śmieje się i wskazując palcem na mnie pyta sepleniąc: — A może ten jegomość to camarada Chruszczew?

John blednie. Robi krok do przodu, ale opanowuje się.

— Do you read English, you Lobster! — woła, podsuwając pod nos hotelarza dokument. Tamten czyta i wyraz twarzy zmienia się, topnieje jak masło; patrzy na Johna wybałuszonymi oczami, otwiera usta. Francisco, Waldemiro i ja krztusimy się by nie wybuchnąć śmiechem, ale Johnowi, urażonemu w dumie rodowej, daleko do farsy.

Następnego dnia składam wizytę burmistrzowi, poruszam cały system administracyjny, świecąc w oczy ministerialnym "ukazem". Jak się stąd można dostać do Lago Lauricocha, albo innymi słowy — do źródła Marañonu - Amazonki? Wkrótce z pytającego zamieniam się w wypytywanego. Tu ma być źródło Amazonki? Stąd do Lago Lauricocha? Ależ to jakieś nieporozumienie, Señor.

Hotelarz jest bardziej encyklopedyczny.

— Do Lago Lauricocha najbliższe z Janahuanca — obwieszcza.

Zapoznaje mnie nawet z jedynym w Cerro de Pasco właścicielem ciężarówki, don Anastasio Rodriguesem. Tłumacząc temu ostatniemu, że potrzebny mi jest wóz na jeden dzień w celu przetransportowania członków wyprawy do Janahuanca z tym, że jeżeli zechcemy filmować po drodze będzie się musiał zatrzymywać.

— Ależ naturalnie, Senor Gringo, wóz i ja jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

Targujemy się, ubijając wreszcie interes. Zdarł ze mnie 60 dolarów. 70 procent z góry. Zadowolony z szybkiego załatwienia sprawy transportu wychodzę "na miasto". Idąc wąskimi uliczkami przypatruję się ludziom. Są ruchliwi i hałaśliwi o typie mongoidalnym, niscy; o szerokich kłatkach piersiowych charakterystycznych dla mieszkańców gór. Noszą czarne kapelusze i ciemne ubrania, nakryte ponczami. Kobiety puciołowate, odziane w barwne bluzki, kloszowe spodnice i mnóstwo halek i kombinacji.

Wstaję wczesnie. Jakież jest moje zdziwienie, gdy przekonuję się, że ciężki bagaż, zostawiony pod opieką hotelarza, znajduje się już załadowany na ciężarówce. Jakież jest dalsze moje zdziwienie, gdy widzę około 20 pasażerów rozciągniętych wygodnie na workach ze sprzętem. Bierze mnie cholera. Na rogu ulicy odnajduję kierowcę, który gromkim głosem **urbi et orbi** obwieszcza, że ma jeszcze dużo wolnych miejsc po niżonych cenach. Na moje protesty, że zgodnie z umową wóz jest wyłącznie do mojej dyspozycji okazuje zdumienie, wznosi oczy do nieba i rozkłada bezradnie ręce.

— Jak to — mówię — ciężarówka ma pójść w połowie pusta? Sprzęt się potamie? Ależ, Senor Gringo, pasażerowie, któ-

rych zabieram to ludzie dobrze wychowani, ludzie z towarzys-
wa.

Argumentując dwustronnie wracamy do pojazdu. Zaglą-
dam do zarezerwowanej dla mnie kabiny i widzę tam trzy grube
baby indiańskie. Patrzę na kierowcę. A to co do diabła?
Ten wrusza ramionami. Baby siedzą jak kamienie i nie ma
siły, na świecie żeby je stamtąd usunąć. Macham wreszcie rę-
ką; staram się uspokoić, bo gdzie tu szukać sprawiedliwości, a
następna okazja transportu może się nadarzyć dopiero za kil-
ka dni.

Z powodu wczesnej pory nie jedliśmy jeszcze śniadania.
W przeczuciu dalszych kawałów ze strony kierowcy zostawiam
Francisca na warcie przy ciężarówce — trudno ktoś musi zosta-
tać. Idziemy w trójkę do najbliższej kafejki, jemy szybko śnia-
danie, parząc sobie usta czarną kawą.

W pewnym momencie Waldemiro, siedzący blisko okna,
wrzeszczy:

— **Por Deus**, ciężarówka zwiewa!

Wypadamy z kafejki z bułkami i jajkami w rękę i ustami
pełnymi jedzenia. Z daleka widać jak Francisco wali pięściami
w dach kabiny, ale szofer wydaje się głuchy, nie staje, śpie-
szy mu się, bo "autobus" już pełny. W końcu zwalnia. Dope-
dzamy wóz, ale nie ma gdzie wsadzić nóg. Wewnątrz siedzi po-
nad 50 osób. Wisimy z tyłu samochodu na klapie, a ciężarówka
już na pełnym gazie. Kurz nielitościwy, a twarży nie można
zakryć — ręce kurczowo obchwytuja krawędź wozu byle nie
spaść. Po kilku minutach jesteśmy oblepieni czerwonym py-
łem. Na którymś tam kilometrze udaje mi się wreszcie wgra-
molić do samochodu, a właściwie na skutek podrzutu i wstrzasu
wozu wpaść bezwładnie na głowy siedzących tam tubylców.
Nogi moje poplątały się z rękami flegmatycznej damy indiań-
skiej i podczas, gdy konwulsyjnie szukają twardego oparcia
zgięty jak znak zapytania całują w pośladek starszego tubyl-
ca.

Towarzyszom moim udaje się również w podobny sposób
wleźć na "pokład". Jedziemy pędem nad przepaściami w tu-
manach czerwonego kurzu. Szofer robi chyba zaprawę do wyś-
cigów samochodowych, pruje na wprost, nie omijając przeszkód.
Ciężarówka wpada w wyboje, podskakuje na kamieniach.
Pasażerowie jęcząc unoszą się czasem jak podrzucany na pa-
telni naleśnik by siłą grawitacji spaść z hukiem z powrotem.
Pchły mają tu idealne warunki, królują wszechwładnie.

Niekiedy samochód staje. Jedni wysiadają, drudzy wsia-
dają, dokładnie jakby komuś zależało na utrzymaniu wciąż te-
go samego stopnia zagęszczenia. Jazda trwa, a natura ludzka
domaga się zaspokojenia fizjologicznych potrzeb. Kilku pasa-
żerom zachciało się po prostu, siusiu. Spokojnie przepychają
się do burty, a potem nie ma już kłopotu. Lekki prysznic
oblewa bliżej siedzących. Nikt się tym nie przejmuje.

Brażowi i brudni od kurzu docieramy o 4 po południu do
pierwszych chat Janahuanca. Zaczyna się wyładunek. Mamy
16 pakunków, wszystkie ponumerowane. Na ciężarówce zaczy-
na się ruch. Wśród wrzasków i protestów przeciskamy się i ze-
kakujemy na ziemię. Pakunki lecą za nami. Waldemiro i

Francisco uwijają się jak żonglerzy cyrkowi, chwytając w powietrzu drogocenny sprzęt.

Orientuję się na pierwszy rzut oka, że brak największego aparatu. Wiążę z powrotem na ciężarówkę, macam po posadźce wozu szukając zguby. Jest! Niemłoda już dziewczica o opasłych kształtach rozsiadła się wygodnie na kufrze z aparatem i za nic nie chce się ruszyć.

— Podnieś d...! — wrzeszczę z wściekłością po polsku.

Zrozumiała! Uniosła się trochę, na nogach, zatrzymała w przysiadzie. Siłą wyciągnąłem jej tłumok spod siedzenia.

Szofer trąbi, spieszy mu się, tubylcy nie chcą czekać, buntują się. Wyją: "vamos, vamos", jakby ich obdzierano ze skóry.

Ledwo aparat szczęśliwie wylądował na ziemi, a już kierowca rusza na pełnym gazie. Liczymy pośpiesznie tobołki — brak numeru dziesiątego. John, odwraca się, krzyczy, ale ciężarówka, czyli zarezerwowany wyłącznie dla nas środek lokomocji, znika już w dali w tumanach kurzu.

W zaginionym pakunku znajdowało się 10 kocy i żywność: mięso, przetwory owocowe w puszkach, rodzynki i czekolada. Później, w górach, okazało się jak poważne następstwa miała utrata tego pakunku. O uzupełnieniu ekwipunku w Janahuanca nie było co marzyć.

Znajdujemy się na początku wioski około 500 metrów od centrum. Bierzymy dwóch chętnych wyrostków do pomocy. Wspólnie przenosimy bagaż na plac przed kościołem. Na nasz widok zleciała się połowa mieszkańców wsi. Stoją i gapią się, wymieniają między sobą uwagi na nasz temat, chichoczą. Pytam o hotel. Słyszę w odpowiedzi przeciągłe: "Eee"? Informuję się po raz dziesiąty. Zawsze to samo — "Eee"?

Wreszcie jakiś siedemnastoletni młokos występuje z tłumem; jest boso, w słomianym kapeluszu, w kozuchu i w narzuconym na ramiona wełnianym czerwono-brunatnym ponczo. Prowadzi mnie do sklepikarza, jednocześnie właściciela hotelu i restauracji. Wynajmuję cały hotel dla naszej grupy. Obywa się tu bez formalności.

Gospodarz wiezie nas na nowe locum. Przeciskamy się z tobołami przez jakieś mury, potem skrzypiącymi schodami dostajemy się do dużej izby poprzedzielanej zasłonami z worków na poszczególne pokoje — dla rodzin, dla osób samotnych, według życzenia. Każdy rozkłada się w swoim "pokoju". Podłoga dziurawa, łóżko zbite z desek od skrzyń, siennik wypchany słomą, koce. Hotel przypomina strych do wieszania bielizny i nawiasem mówiąc nie przedstawia nic innego. Grunt jednak to łóżko.

Myję się i ruszam na poszukiwanie przewodnika i koni. Nie ma koni jest przewodnik, są siodła nie ma koni, są konie nie ma siodła i przewodnika. Chłopi przyglądają mi się nieufnie, nie okazują chęci do pracy i do zarobku również.

Zachodzę z Waldomiro do baru. Stoi tam kilku mężczyzn, piją pisco. Gdy ukazujemy się robi się naraz cisza, wszyscy odwracają się w naszym kierunku, wlepiają oczy, zbliżają się. Czujemy się jak zwierzęta w menażerii, oglądani zza kratki.

Pytam barmana, czy nie wie gdzie można wynająć konie i przewodnika do fazendy Lauricocha. Aby go lepiej usposobić

kupuję cały towar, jaki ma do dyspozycji to jest kilka paczek świeczek i kilka puszek konserw z lososia. Płacę nie targując się co wpływa dodatnio na rozluźnienie języka barmana. Dodaje, wymyślając tę historyjkę na miejscu, że polecił mi go hotelarz z Cerro de Pasco. O, tak, to bardzo porządny człowiek ten hotelarz z Cerro de Pasco. Amigo od dziecka. A co do koni to niech się señor nie martwi. On, barman, wyśle zaraz gońca do fazendy położonej stąd o 15 km. a jutro przybędzie stamtąd człowiek upoważniony do zawarcia transakcji.

Nieprawdopodobne ale prawdziwe. Około 11 rano następnego dnia (30 lipca) pytają się o mnie. Przybył obiecany przez barmana człowiek. Gość wydaje się z sensem. Tak, da konie i przewodnika orientującego się świetnie w górach. Radzi nie zakupywać prowiantu, bo to dodatkowy balast, a fazenda ma pełny magazyn.

Idziemy zapić interes piwem i pisco.

Nazajutrz, 31 lipca, o godzinie 5 rano jesteśmy już na nogach. Przewodnik ma się zjawić o 6-ej. Chwile niepewności, czy w ogóle przybędzie. Ale o 8-ej wreszcie jest, konie również.

Przewodnik, mały czelczyca o dużej głowie, okręconej ciepłą chustą w kozuchu i w ponczu, nogi owinięte w masę brudnych szmat. Nazywa się don Certero. Zapewnia, że do źródła Amazonki tj. do jeziora Lauricocha jest nie więcej, niż 5 legw (około 25 km.) i że przebycie tego dystansu zajmie od pięciu do siedmiu godzin. Żywię pewne obawy i martwię się jak będzie wyglądało moje siedzenie po tej podróży biorąc pod uwagę, że jak dotąd znałem konie jedynie z widzenia.

Jest 10 rano. Wyruszamy. Od razu pniemy się w górę. Jedziemy najpierw ścieżką wydeptaną w lesie dość rzadkim i niskopiennym, aby po dwóch godzinach wydostać się na płaskowyż, zamknięty z obu stron górami. Przewodnik radzi zejść z koni, gdyż jak mówi cała dolina to jedno mokradło. Posuwamy się ostrożnie pieszo, ciągnąc za sobą konie. Don Certero i Francisco prowadzą ponadto po koniu jucznym, wiozącym ciężki sprzęt. Dochodzimy do podnóża gór i odąd droga wspina się coraz wyżej. Krajobraz goły, bez roślinności, postrzępiony zwaliskami skał spiętrzonych w formie gigantycznych budowli. Przeprawiamy się przez mnóstwo strumyków i rzeczek o wodzie kryształowej, mieniającej się tysiącami odcieni barw, pędzącej w dół w zwariowanym tempie. Zmieniające się co chwila widoki to wspaniały w kompozycji i w kolorze temat dla malarza i filmowca.

Na wąskiej ścieżynie dom Certero za skarby świata nie chce zatrzymać i rozkulbaczyć koni. W odpowiedzi na moje nalegania flegmatycznie wskazuje kilometrową przepaść pod nogami i potrząsa przecząco głową.

Schodzimy wreszcie w dół. Konie zmęczone, ledwo włączają nogami. Stajemy. Uprzejmy don Certero rozładowuje, o dziwo, bez polecenia ciężkie wory z aparatami. Żeby cię cholera! — pieni się moja filmowa dusza, za późno! Straciłem temat. Stąd góry przedstawiają się jak nędzne sylwetki, w dodatku są pod światło.

Dom Certero nie rozumie o co gringom chodzi. Jest jesz-

cze przecież do wyboru tyle skał i górów po drodze.

Wydobywamy puszki z lososiem, dzielimy się i jemy w milczeniu, popłukując rybę czystą wodą z pobliskiego strumyka.

Słońce stoi już wysoko. Konie pną się znowu w górę, dysząc jak miechy kowalskie. Po czterech godzinach jazdy pytam przewodnika ile jeszcze kilometrów pozostało.

Wskazuje ręką.

— Za tą górką będzie połowa drogi.

“Coś tu nie gra-myślę-do tej ‘górkę’ nie dobrniemy przed nocą. Okazało się rychło, że niewiele się myliłem.

Staram się popędzić konia, tłukę go piętami w boki, wrzeszczę. Zwierzę nie reaguje zupełnie na moje wysiłki. Spieszyć się nie ma zamiaru. Zostaję w tyle. Oto rezultat! Sam przecież chciałem spokojnego wierzchowca. Zadraśniętą moją ambicję kowboja ratuje jednak John. Dostał najniższego konika o flegmie tybetańskiego lamy. Patrząc z boku wydaje mi się, że koń zamiast czterech ma sześć nóg — długie kończyny Johna dotykają prawie ziemi, czynią go podobnym w sylwetce do dom Kichota, Rycerza Smutnego Oblicza. John klnie, złorzeczy. Jego wrzaski cichną z czasem, chrypnie, a odległość rośnie.

Dochodzi godz. 6-ta i chmurzy się.

— Jeszcze tylko dwa kilometry-pociesza don Certero.

Po 30 minutach ściemnia się. Ni stąd ni zowąd zrywa się mroźny wiatr, zatyka usta, przenika przez ubrania. Chwiejemy się w takt kroków końskich dalszych 8 km. już w kompletnej czerni. Wytrzeszczam oczy i na Boga! nic nie widzę. Wspinamy się coraz wyżej.

Godz. 10. Przewodnik zatrzymuje flegmatycznie konie i oświadcza:

— Nie wiem gdzie jesteśmy. Zabłądziłem. Musimy przeczekać tu do rana.

Ściągamy graty z koni. Ciemno, choć oko wykol.

— Niech diabli porwą za żywa do piekła tego durnia! — pieni się Waldemiro. — Ładny przewodnik! Każę nam nocować na lodowcu.

Francisco tylko jęczy, a John Kennedy nic nie mówi, stąpa w miejscu, ręce schowane pod pachą, widać, że wściekły. W zupełnych ciemnościach trudno się, rzeczywiście, zorientować gdzie się znajdujemy. Jest to niewielka płaszczyna w pobliżu szczytu. Na zmarzniętej ziemi, pokrytej częściowo śniegiem, rosną gdzieniegdzie kępki trawy. Wyrwywamy ją, otrząsamy ze śniegu, robimy legowisko. Na wierzch kładziemy brezenty w które opakowane były uprzednio aparaty.

Przewodnik siada na trawie, zakrywa się szczelnie ponczem, opuszcza głowę i nieruchomieje. Waldemiro doprowadza to do szału. Klnie. W jego przekonaniu do fazendy nie ma więcej, niż pół godziny drogi, pełno tam jedzenia, a on tymczasem musi sterczeć w śnieżnej pustyni o pustym brzuchu.

Pomimo wszystko jakoś mi lekko na duszy. Nie wiem dlaczego, być może na przekór wszystkim i wszystkiemu.

Legowisko gotowe. Kładziemy się jak śledzie na zmarzniętą ziemię, od której dzieli nas jedynie brezent, przytula-

my do siebie, aby się ogrzać. O zaśnieciu nie ma, oczywiście, mowy. Po godzinie temperatura obniża się gwałtownie. Trzęsiemy się każdy z osobna i wszyscy razem. Boże, co za piekielne zimno! Nogi mi zmarzły, szczęki latają jak w febrze. Noc ciągnie się w nieskończoność. Dalej nie wytrzymam. Do rana na pewno zamarzniemy.

Wstaje, każe przewodnikowi ruszać. Pójdziemy dalej, choćby do piekła. Lepiej wpaść w przepaść, niż zamarznąć. W ponurym nastroju kładziemy toboły na konie.

Szczyt. Znajdujemy się na wysokości ponad 5.000 m. Schodzimy w dół i przewodnik odnajduje naraz drogę.

— Jeszcze tylko dwa kilometry — powiada.

Istotnie, po dalszych pięciu godzinach jazdy gdzieś za górami i lasami głosy, choć psie, dają się słyszeć.

Natrafiamy najpierw na szałas, a potem na jakiegoś smolucha. W świetle latarek elektrycznych widać tylko jego kontury — człowiek. Baterie się wyczerpały, a przy okropnym zimnie i zeszywnieniu rąk nikomu nie przyszło do głowy szukać w tobołach zapasowych baterii.

— Dzięki Bogu — powiada don Certero — jesteśmy na fazendzie.

Fazenda okazała się na nieszczęście osadą pastuszą. Pastuch za żadne skarby nie chce nas wpuścić do szałasu, twierdząc, że śpi tam jego rodzina. Po wielu naleganiach pozwala wejść do komórki z narzędziami. Proszę, żeby ugotował coś ciepłego.

— Mam kawę w puszcze. Zrobię jak zapłacicie.

Pracę z góry.

Ci ludzie rodzą się z nieufnością do obcych i może dlatego są tacy niegościnni. Widzę tylko jego kapelusz i ponczo i czuję ostry zapach skóry baraniej i niemytego ciała.

W komórcie zimno, wiatr wieje przez szczeliny między deskami. Nie ma rady — trzeba jechać dalej.

Pastuch przeprowadza nas przez zamarznięte bagno, wskazując ręką ciemną nieskończoność i...

— Tylko dwa kilometry, — mówi.

Wchodzimy w wąski i bardzo stromy wąwóz i w ciemnościach, w lodowatym wicherze brniemy, potykając się co chwila o nierówności terenu.

Schodzimy w dół. Przedownik idzie przodem i latarka elektryczną oświetla drogę. Tuż za nim posuwają się konie w rzędzie jeden za drugim. Pochód zamyka nasza czwórka, złączona liną. Na dnie wąwozu odnajdujemy strumyk — "drogowskaz", o którym mówił pastuch. Wlecemy się tak kilka godzin. Wydaje mi się w końcu, że strumyk płynie w odwrotnym kierunku. Naradzam się z don Certero, który ma teraz stałe wątpliwości. Zawracamy. Wlazimy w wąwóz, potem drapiemy się z powrotem pod górę.

O godz. 5 nad ranem zaczyna padać śnieg tak gęsty, że nic nie widać, nawet w świetle latarek — ani poprzednika, ani zadu konia. Krzyczymy, aby utrzymać się jakoś w grupie. Ten pochód ma w sobie coś makabrycznego. Poruszamy się po to tylko, aby nie zamarznąć. Staje się nam zupełnie obojętne, czy dojdziemy do fazendy dziś, czy jutro.

O 7-ej rano zaczyna się rozwidniać. Wschodzi słońce.

Idziemy we trójkę na rekonesans. Z najbliższego szczytu widzimy z daleka pasące się w małej kotlinie krowy, czy owce.

O godz. 11 docieramy wreszcie do bram fazendy don Pedra Cadrich'a. Właściciela nie ma w domu, ale po wylegitymowaniu się przyjmują nas ze współczuciem. Nawet w oczach tych twardych pastuchów uchodzimy za męczenników. Rozcieramy zmarznięte kończyny oraz czerwone i nabrzmiałe po tatarskiej jeździe pośladki i kładziemy się po dwóch do łóżka, nie rozbierając się. Zасыpiamy natychmiast kamiennym snem. Po południu, na wpół zaspani, udajemy się w stronę jeziora, do którego dojście kosztowało nas tyle trudu.

Towarzyszy nam dom Dino, pomocnik nieobecnego administratora, powierzchownością i inteligencją wyróżniający się z otoczenia.

Idziemy zaległą doliną po zamarznętej trawie i po godzinie stajemy nad brzegiem jeziora. Płaska jego tafla wygląda jakby wciśnięto ją siłą między gołe, bez śladu wegetacji, góry. Nad okolicą dominuje olbrzymi masyw lodowca, wystający zaa bliższych garbów górskich.

— Amazonka wypływa zaa tamtego załamania terenu — objaśnia Dino.

Podchodzimy bliżej. Rzeka o leniwym prądzie wije się w płaskim terenie doliny i ginie później w dalekim wawozie. Przyglądam się uważnie krajobrazowi. Widzę na tle jednego ze zboczy wąską, białą wstęgę wody, łączącą się z jeziorem, po drugiej jego stronie.

Zwracam się o wyjaśnienie do Dina.

— To rzeczka wpadająca do jeziora — odpowiada krótko.

Zastanawiam się i dochodzę do wniosku, że owa rzeczka wpadająca do jeziora jest wobec tego również Amazonką, lecz w górnym jej biegu. Lago Lauricocha nie może więc być źródłem Amazonki. Jest ono częścią basenu "matki rzek" wbrew temu co mi mówiono w Peru przed wyruszeniem na wyprawę i wbrew poglądom wyrażonym w podręcznikach, mapach i rozprawach naukowych. Źródła Amazonki należało więc szukać dalej idąc pod prąd owej dalekiej rzeczki po przeciwnej stronie jeziora Lauricocha.

Dino jakby odgadł moje myśli.

— Niedaleko rzeki po drugiej stronie jeziora jest inna fazenda tego samego właściciela. Możemy tam jutro pójść — mówi.

— Jutro pójdziemy — postanawiam szybko.

Po powrocie na fazendę okazuje się, że nie ma co liczyć na don Certera. Dino obiecuje postarać się o 6 koni.

Zamiast sześciu koni znalazły się tylko dwa. Przeznaczamy je na przewóz bagażu. Następuje pożegnanie z don Certero, który ze względu na nieprzewidziane trudności związane z jego pracą domaga się zapłaty w potrójnym wymiarze. John, Waldemiro i Francisco zadrżeli z oburzenia. Załatwiłem polubownie sprawę. Później byłem świadkiem jak pouczano go jak ma wracać. Konferencja trwała godzinę. Wypytywał po dziesięć razy o jedno i to samo i wciąż nie był pewien.

Wyruszamy z Dino z fazendy około 10-tej rano po obiedzie składającym się z kartoflanki i małej porcji mięsa. Po siedmiodziesięciu godzinnym, dość monotonnym, marszu o godz. 5-tej po połud-

niu wpadamy nagle w objęcia administratora fazendy Socorro, który przyjmuje nas niezwykle serdecznie. Proszę o nocleg i wyżywienie, gdyż umieramy po prostu z głodu. Pełne kordialności zapewnienia sypią mu się z ust jak perły.

— Jasne, señor, jasne! To się samo przez się rozumie. Święte zasady gościnności...

Prowadzi nas zaraz do stajni i wskazując na kilka ździebeł słomy oświadcza:

— Będziecie tu panowie spać po królewsku. To nocleg przygotowany dla mojego brata, którego wyczekuję od miesiąca.

Oniemiałem ja i reszta towarzystwa. Czekamy, myśląc, że to nieporozumienie i z nadzieją na materace, koce itd. układamy graty w kątach.

Administrator tymczasem zaczyna mówić o ciężkich czasach w rolnictwie, o podatkach, pomorze bydła. Chce mnie widocznie zagadać, podejrzewam. Później ucina przemówienie i żegna się.

— Ach, ja tu papłę i papłę, a panowie na pewno zmęczeni. Dobranoc, przyjemnych marzeń!...

Zanim się obejrzelśmy jest już daleko.

Podniósł się wrzask.

— A gdzie kolacja, gdzie koce? Za darmo nie chcemy. Zapłacimy!

Nie obejrzał się nawet.

Wracamy do stajni wściekli.

Stajnię, jak wszystkie domy i zabudowania gospodarcze fazendy, skonstruowano z bloków suszonego błota. Właśnie w tej chwili kilku pastuchów mozoli się nad postawieniem ściany sąsiedniego budynku. Błoto ładują do skrzyń, ubijają w formach, a następnie suszą na słońcu. Po pewnym czasie skrzynie przewraca się i uzyskane w ten sposób olbrzymie cegły układa jedną na drugiej bez spoiwa. Przypomina to budowanie domków z drewnianych klocków, czym każdy z nas zajmował się w dzieciństwie.

Front naszej stajni jest zrobiony z desek, zbitych dość luźno. Przez szczeliny można się nawet przywitać z kimś na dworze, nie wychodząc na zewnątrz. Nie brak więc w pomieszczeniu świeżego powietrza, łagodzonego cokolwiek zapachem potu i moczu końskiego, aczkolwiek w tej chwili koni nie ma. Szkoda! Było by cieplej. Chłód przenika przez szpary. Zwłaszcza noce są cholernie zimne.

Złorzeczając kładziemy się spać, gdy administrator, widocznie skruszony, przysyła jeden koc i dwie skóry owcze.

Rano dostajemy gorącą kawę i placki kukurydzane tzw. **tortillas**. Poprawia to nam humor.

Idziemy na zwłady do ujścia dopływu jeziora. Nikt z tubylców nie zna nazwy tej rzeki. Mówią po prostu: "rzeka".

Brniemy przez szeroką dolinę, wpadając często po kolana w zarosłe trawą bagniska ku rozpaczki administratora, który doszedł zapewne do przekonania, że zbyt pochopnie zaofiarował swe usługi jako przewodnik i zaczynał żałować oglądając się ze smutkiem na zabudowania fazendy. Ubrany był w kolorowe ponczo i obszerne chusty i obuty w wyglancowane półbuty; zabłocił je i o mało nie pogubił na mokradle ku wielkiemu swemu niezadowoleniu.

Od ujścia posuwamy się w górę rzeki niskim brzegiem, starając się osiągnąć jak najdalszy punkt w miarę jak na to pozwoli teren. Woda w rzece płytka i czysta jak kryształ. Pływa w niej mnóstwo okazałych pstrągów tuż pod powierzchnią, jakby się prosiły, by je wyciągnąć. Zatrzymujemy się, oczy wylazą nam z orbit. Wśród krzyków i lataniny zaczyna się polowanie. W wyniku zostają złowione trzy kilkukilogramowe pstrągi. Rozanielony administrator odsyła je przez chłopaka na fazendę. Każdy z nas widzi już te piękne ryby jak we śnie, przyrządzone i podane na półmisku.

Po godzinie dalszej drogi natrafiamy na mały wodospad i dość ostre wzniesienie. Wdrapuję się na szczyt. Wąski pasek rzeki wije się zygzakami i ginie daleko w górach. To program przewidziany na jutro. Schodzę na dół. Moi towarzysze już się niecierpliwią. Chcą jak najprędzej wracać, pachną im ryby.

O, jakże złudne są marzenia ludzkie! Sen o uczcie rybnej rozwiął się. Owszem ryby zjedzono, lecz bez nas. Administrator przysłał nam na obiad... kartoflankę.

Łażę po południu po górach, filmuję mało, głód skręca mi kiszki. Jutro ruszamy dalej, gdyż źródło leży tuż za "górką". Administrator przyrzekł wypożyczyć, oczywiście za zapłatą, pięć koni, nawet bez nalegania z naszej strony. Zgodził się szybko — zmęczył się nami.

4 sierpnia. Na śniadanie dostajemy białą kawę i owsiankę. Towarzyszy nam administrator. Toczy się towarzyska rozmowa o polityce i o kobietach. Nie, kobiet nie lubi. Narzeka na zasrały los, który go tu ściągnął, wylewa obficie żółć. Opowiada jakim jest dobrym urzędnikiem.

— Ta fazenda — mówi — to największy producent sera w promieniu 500 kilometrów. Jestem tu tylko od 6 tygodni i zdołałem podnieść produkcję o 150 procent. Moi poprzednicy byli to złodzieje i oszuści.

Gratulujemy sukcesu. Bravo! Potem zapytujemy uprzejmie, czy nie mógłby nam odstąpić za zapłatą części tej wspaniałej produkcji, choćby w ostateczności 4 lub 5 kg sera.

Patrzy na nas przerażonym wzrokiem. Rozkroić bryłę sera, ważącą 18 - 20 kg? Ależ to strata, kryminał.

Waldemiro pyta z ironią czy w fazendzie ludzie nie jedzą sera. Administrator zbywa to milczeniem. Drugi raz w czasie rozmowy pada wyraz: Raura. Pytam co to jest. Kopalnia leżąca za "górkami" mniej więcej w kierunku naszego marszu. Komunikacja stąd przez góry? Niech pan da spokój, señor, też pomysły!

Brak dwóch koni. Wynajmuję "prywatnie" od pastucha, który ma być naszym przewodnikiem, dwa dobre muły. Konie wypożyczone z fazendy są wszystkie gniade o długich grzywach i ogonach, niskie, silne, typowo górskie.

Gdy zegnamy się z administratorem pyta się nas z niepokojem w oczach, czy tu wrócimy.

— Za skarby świata! — krzyczą chóralnie moi towarzysze.

Ja zaś dodaję, że po odnalezieniu źródła skierujemy się wprost do tajemniczej Raury

O godz. 10-tej rano opuszczamy wreszcie gościnną fazendę Socorro, udając się w górę poznanej wczoraj rzeki. Do źródła ma być nie więcej, niż 5 legw tj. około 7 godzin marszu.

Konie idą żwawo, teren nie jest trudny.

O 4-tej po południu zatrzymujemy się w napotkanej wiosce pastuszej, jeżeli trzy chałupy kryte słomą można nazwać wioską. Don Isidro, nasz przewodnik, informuje, że miejscowość nazywa się Antacallanca.

Źródła ani śladu. Rzeczka wiję się w dalszym ciągu środkiem doliny. Pytam pastuchów, czy można tu przenocować i kupić żywność. Dopomaga w rozmowach Isidro. Ofiarują nam nocleg wraz z utrzymaniem, jak w hotelu. Zgadzam się od razu.

Nasz "hotel" to stara rudera, która służyła poprzednio baranom lub koniom, ale — o, dziwo! — pośrodku izby (jedynej) stoi żelazny piecyk czyli tzw. koza. Opału nie ma. Każdy dostaje po kocu i parę skór owczych na posłanie, a chociaż te skóry są stare, wytarte i małe, wraz z pchłami, wydają się jednak luksusem.

Po zachodzie słońca zaczyna piekielnie dokuczać zimno. Próbujemy rozpalić ogień w piecyku. Mokre drzewo, znalezione na dworze, nie chce się palić; łajno owcze, czy krowie pali się jeszcze gorzej. Skupiamy się koło "kozy", która nie grzeje tylko dymi. Wkrótce całe wnętrze zasnuwa się chmurą gęstego dymu. Z oczu kapią łzy, kaszlemy, jak suchotnicy. Nie sposób wytrzymać. Wybiegamy na dwór. Ciemno i temperatura poniżej 10 st. C. Nie wiadomo co wybrać: dym, czy mróz. Postanawiamy w końcu zgasić "ogień" w piecu. Cholerne zimno. Wkrótce temperatura w izbie wyrównuje się z zewnętrzną.

Wołają na kolację. Wypadamy z baraku. Świeci księżyc. Dolina. W głębi szczyt pokryty śniegiem. Do wsi około 100 m.

Wchodzę do niskiej, ciemnej chałupy, której jedyne oświetlenie stanowi ognisko rozpalone na kominku. Siadam na honorowym miejscu na skórach i z początku nic nie widzę. Potem wzrok przyzwyczaja się do mroku i rozróżniam kształty ludzkie. Siedzą na ziemi frontem do nas. Pełno ich. Wszystkie oczy zwrócone w naszym kierunku. Stanowimy atrakcję, jesteśmy przybyszami z dalekiego świata.

Próbuję nawiązać rozmowę. Nie udaje się. Siedzimy milcząc naprzeciw siebie. Czuję się niezbyt swobodnie w otoczeniu tych półdzikich pastuchów. Przypomina mi to opis Harolda Lamba z jego pobytu u azjatyckich Mongołów. Tak samo cuchnie tu skórami baraniami, nieufność czai się w powietrzu. Siedzą w kucki, z kapeluszami naciśniętymi na oczy, okryci szczelnymi ponczami. Twarze o rysach mongolskich i lekko skośnych, żywych oczach, śledzących każde nasze poruszenie.

Ponurą ciszę przerywa jedynie płacz niemowlęcia. Leży w pobliżu kominka, owinięte w kożuchy, a obok zgraja prosiaków.

Podają wieczerczę. Nasz przewodnik Isidro wręcza każdemu talerz zupy, maczając brudne palce w i tak już brudnym płynie z kartoflami w łupinach. Wyobrażam sobie moją reakcję na podobną obsługę w bardziej kulturalnym środowisku (za górami i lasami) Teraz, gdy żołądek dopomina się o swoje prawa, higiena idzie w ką. Nie żrę, raczej jem łapczywie, gdyż słowo: "żreć" oznacza spożycie większej ilości jada w barbarzyński sposób. Różnica polega na tym, że jem barbarzyńsko małą ilość jada w barbarzyński sposób i w barbarzyńskim otoczeniu.

Po "kolacji" wracamy do baraku w niejasnym usposobieniu

jak psiaki z podwiniętymi ogonami. Gromadzimy się zaraz koło piecyka, chyba z nawyku, gdyż ogień dawno już wygasł.

Naraz wchodzi nasz przewodnik. Otwiera szeroko drzwi, taszczy jakiś worek.

— **Cerra la porta!** — wrzeszczymy zgodnym chórem.

Don Isidro stawia spokojnie worek na ziemi, nie przejmując się. Francisco tygrysim skokiem jest już u drzwi, trzasnął, zamknął, aż próchno sypie się z sufitu. Isidro wyciąga tymczasem z worka butelkę i pyta czy kupię. Oniemiałem. Oryginalne wino francuskie. Interes zostaje ubity błyskawicznie. Kupuję cały zapas — sześć butelek. Humory od razu podskoczyły jak krzywa na wykresie. Śmiejemy się jak wariaci, klepiemy czule po plecach "naszego największego przyjaciela" Isidra.

John robi słodką minę.

— Czy można coś kupić do jedzenia?

Isidro kręci głową przecząco. Pastuchy sami nie mają.

— A skąd się wzięło wino?

To produkt poboczny otrzymany przy jakiejś transakcji wymiennej, jako dodatek. Chcą się tego pozbyć, bo to ani **pisco**, ani woda.

Isidro zabiera pusty worek i po otrzymaniu szczodrej zapłaty odchodzi, a my, otuleni w koce, tupiąc nogami, popijamy wprost z butelek boski nektar.

Rozgrzany winem ściągam krawat i w "pełnym rynsztunku" lokuję się pod jedynym kocem. Na dworze temperatura spada poniżej 14 st. C.

5 sierpnia. Budzimy się o 5-tej rano i od razu jesteśmy na nogach bynajmniej nie z entuzjazmu do wczesnego wstawania tylko z powodu przeraźliwego zimna. Całą gromadą robimy dla rozgrzewki kilka okrążeń dokoła baraku w zupełnej ciemności. Księżyc już zaszedł, a na wschodzie jeszcze się nie rozwidnia.

Nie możemy się doczekać śniadania. Idą więc w ruch dwie butelki wina — pozostałość z poprzedniego wieczora. Przy okazji toczy się rozmowa o tym co się kiedyś jadło.

Nareszcie wołają nas. Podają taką samą kartoflaną jak wczoraj z tym, że otrzymujemy na dodatek po świeżo upieczonej tortilli. Z mojej tortilli wyciągam gruby czarny włos. Nie trudno się domyśleć czyj. Stojąc przy kominku nad dzieżą z ciastem rozczesuje właśnie tłuste, czarne włosy... gospodyni.

Po posiłku wyruszamy w towarzystwie Isidra na rekonesans. Idąc w górę rzeki docieramy do jeziora leżącego w niecce masywu górskiego o dominującym szczycie Torre de Cristal. Nazwa ta nadana została szczytowi przez tubylców w drodze porównania do wieży z kryształu. Rzeczywiście trudno znaleźć odpowiedniejszą nazwę. Szczyt, pokryty w całości śniegiem, jest foremnym stożkiem, razi ostrymi blaskami, wbija się w niebo jak ostrze.

W powrotnej drodze przewodnik wspomina o szałasie, zbudowanym u stoków szczytu i dobrze zaopatrzonym w skóry baranie. "Dobra nowina", — myślę. Może się przydać.

W baraku zastajemy kilku pastuchów. Proszą o wypożyczenie ostrego noża do pokrajania zabitej kozy. Pożyczam w nadziei, że dostaniemy kawałek mięsa na obiad. Jest to pierwsza wymiana grzeczności. Dotąd tubylcy unikali nas całkowicie. Nawet dzieci nie zbliżały się. Na przyjacielskie próby nawiązania

kontaktu nie odpowiadały. Ze strachem, czasem z płaczem uciekały szybko do matek.

Mam wrażenie, że to obojętne nastawienie do obcych nie jest odzwierciedleniem wrogości tubylców, czy też braku gościnności z ich strony ła raczej nieufnością, pozostawioną w spadku przez poprzednie pokolenia w wyniku gorzkich doświadczeń. Stanowi również samoobronę przed szerszym wtargnięciem białych w ich świat i przed niebezpieczeństwem odebrania im i tak już ubogich możliwości. W końcu stanowi to echo twardego życia w ostrych i wrogich warunkach terenowych i klimatycznych, gdzie człowiek bywa zdany na własne siły i nie może liczyć na pomoc innych. Przez okazywanie pasywnej bierności daje się do zrozumienia przybyszowi, że nie znajdzie tu sprzyjających warunków, do osiągnięcia swego celu bez względu na to jaki to cel.

Płonne okazują się nadzieje na lepszy obiad i kolację — tradycyjna kartoflanka.

6 sierpnia. Rano o wczesnej godzinie żegnamy się z Antacallanca, pokrzepieni gorącą kawą i świeżymi tortillami. Wyruszamy w kierunku Torre de Cristal. W odległości kilometra od Antacallanca zaczepia nas stara babina z workiem na plecach. Pyta, czy chcemy **churrasco**. Wielkie nieba, **churrasco!** Chłopaکی stają. W oczach pożądliwość. Choćby się ziemia miała rozstać nie ruszą dalej. Babina trzęsącą się ręką wyjmuje z worka kawałki mięsa. Nikt nie pyta co to za mięso: kozie, czy psie. W mgnieniu oka zostaje skonsumowane wraz z żyłami, zostają tylko kości, objedzone jak po mrówkach.

Mamy już odjeżdżać, gdy babina raz jeszcze sięga do worka i wyciąga kilkakilowy kawał pieczonego mięsa. Płacę z gestem co najmniej tyle co w luksusowej restauracji w São Paulo za 6 obiadów. Pieczeń, przeznaczoną na racjonowanie w czasie dalszej podróży, chowam do plecaka.

Idzie się nam teraz znacznie lepiej i szybciej. Podchodzimy do zbocza góry Torre de Cristal. Zaczyna się niezbyt trudna wspinaczka i o 12-tej w południe docieramy do szałas.

Wczorajsza rozmowa z Isidro nasunęła mi myśl sfilmowania wschodu słońca — wysoko, ze szczytu Torre de Cristal. Wydawało się to łatwe z względu na zapewnione schronisko u podnóża góry.

Na miejscu zastajemy dwóch pastuchów. Znamy się zresztą z Antacallanca. Umawiam się z nimi zaraz w góry. Chodzi o wybranie miejsca na ustawienie aparatów, o zapoznanie się z drogą. W górach, przed zmierzchem, znajdują idealne miejsce — tak się wydaje. Przyklepni do kamiennej ściany (w dole — przepaść) układamy stożek z kamieni, aby z rana dnia następnego można było w ciemności i po omacku rozlokować aparaty filmowe.

Po powrocie do szałas dzielimy się pieczenią i tortillami, ofiarowanymi przez pasterzy.

7 sierpnia. O godz. 2-giej w nocy jesteśmy już na nogach. Chłopy przeklinają pomysły filmowe szefa ekspedycji, który wyciąga ich spod ciepłych skór baranich na mróz na dworze. Jednak idą. W zupełnej ciemności i — wyżej — w ciężkich chmurach trudno rozeznąć drogę przebytą dnia poprzedniego. Posuwamy się krok za krokiem, za nami człapią dwa konie objuczone

sprzętem. Słychać stukot ich kopyt o skałę — jedyny dźwięk głuchej ciszy nocy. Zdajemy sobie doskonale sprawę, że tuż tuż za wąską serpentyną ścieżki ziele głęboka przepaść.

Przebijamy nareszcie zaporę chmur. Nad nami księżyc w pełni, niebo roziskrzone gwiazdami. Po godzinie marszu, już blisko celu księżyc zachodzi i znów zupełny mrok. W odległości 20 metrów nic nie widać. Orientuję się systemem wojskowym pod horyzont, jednak i to nawala. W końcu przy pomocy laterek elektrycznych ustawiamy ciężkie aparaty na kierunek wschodni według busoli. Zlodowaciałymi palcami operujemy soczewkami. Zimno. Tańczę w miejscu dla rozgrzania zmarzniętych stóp. Wreszcie trzy aparaty, jak karabiny maszynowe, z soczewkami wycelowanymi na przedpole, stoją na stanowiskach.

Efekt wschodu słońca jest największy w chwili ukazania się nad chmurami pierwszych konturów słońca. Aby ten moment uchwycić musztruję obsługę aparatów. Wszyscy mają wyznaczone funkcje, każdy ruch musi być przewidziany i obliczony.

Czekamy zmarznięci i źli, czas dłuży się okropnie.

— Wiecie, — powiada Waldemiro — nie chcę was martwić, ale wątpię, czy słońce wszędzie dziś w ogóle.

Krótko przed godz. 6-tą rozjaśnia się horyzont. Znajdujemy się tuż nad gęstym kobiercem chmur, a przed nami lekko zamglona przestrzeń nieskończoności. Po chwili na dalekim widnokregu przy styku nieba i chmur ukazują się pierwsze smugi światła. Światło to rośnie, przybiera z czasem kształt łuku. Nagle żarząca się tarcza słoneczna wychyla się z mgły, złote promienie strzelają coraz wyżej, barwiąc obłoki, przedtem czarne, wszystkimi kolorami tęczy. Cały widnokrag płonie, podczas gdy w tyle na północy czai się jeszcze mrok.

Kończy się filmowanie. Temperatura podnosi się, opada mgła, rozgrzewamy się pomału. Patrzę na wierzchołek Torre de Cristal, który z tego miejsca rysuje się w czystym powietrzu smukłą, wąską sylwetką. Waldemiro w lot odgaduje moją myśl, siada, macha ręką.

— O co chodzi? — pytam.

— Już wiem! Edmundo chce wleźć na tę górę.

Prawdę mówiąc jest to pomysł dość zwariowany. Nie mamy żadnego sprzętu wysokogórskiego, ani doświadczenia potrzebnego do wspinaczki. Z nas wszystkich ja tylko przeszedłem zaprawę w górach i to dawno temu w Szkocji jako spadochroniarz. Ale, o dziwo! nikogo nie trzeba przekonywać. Wszyscy godzą się z tym łatwo na pewno nie z zapału do filmowania, lecz powiedzmy, dlatego, że uśmiecha się im awantura.

Odsyłam Johna i dwóch pasterzy wraz z ciężkim sprzętem z powrotem do szałasu. John wraca niechętnie. Trudno, ktoś musi się zaopiekować sprzętem.

Wspinamy się we czwórkę na górę, opierając się rękami o zlodowaciałe skały. Wolno to idzie. Wchodzimy w śnieg. Wbijamy weń mocno nogi, gramolimy się krok za krokiem coraz wyżej. Blask słońca, odbity od śniegu, oślepia. Brakuje powietrza, oddech mam świszczący, serce bije jak młot.

Nie wiem już jak długo trwa wspinaczka. Sześć godzin? Osiem? Wreszcie w pewnym momencie wyrasta przed nami pionowa zupełnie ściana. Dalej bez haków i lin nie da rady. Do szczytu Torre de Cristal mamy nie więcej, niż 70 do 80 metrów.

Stoję, oparty plecami o ścianę, dyszę ciężko z wysiłku i przyglądam się widokowi, którego nie da się łatwo zapomnieć. Na wprost przede mną rozciąga się panorama Kordylierów, oświetlona bocznym światłem zachodzącego słońca. Wyniosłe szczyty, zatopione w cieniu głębokich wąwozów, wyrastają ostro z zagmatwanego węża górskiego, lśnią krystaliczną białością, konstrukcją jasnych linii odcinają się od granatowej przestrzeni nieba. Świat ciszy, zastygły jakby w śnieżnej martwocie, wielością lodowatych anten nastawiony na podsłuch, który nigdy nie dochodzi.

Godzina 4 po południu. Zaczyna dokuczać głód. Trzeba wracać. Schodzimy w dół, zjeżdżając w łagodniejszych miejscach na siedzeniu jak na sankach. O godz. 5-tej wchodzimy najpierw w mgłę, a potem w coraz gęściejsze chmury. W godzinę później ściemnia się zupełnie. Diabli wiedzą, czy idziemy we właściwym kierunku. Sądzę, że zabłądziliśmy w tym piekielnym mroku. Do serca zakrada się wątpliwość. Waldemiro wyraźnie słabnie. Zwalniamy by trzymać się kupy.

Nagle, w momencie, gdy tracę już nadzieję, spostrzegam w dole światło, i to w innym zupełnie kierunku, niż ten, w którym zdążamy. Bóg ci zapłać, Johnnie!

Jak się później okazało domyśliłem się słusznie, że John, zaniepokojony o nas, kazał rozpalić ognisko zaraz po zachodzie słońca, żebyśmy nie zabłądzili w ciemnościach.

Schodzimy przed świtem z podnóża Torre de Cristal. Następnie, już na grzbietach końskich, przekraczamy łagodne wzniesienie, aby po dwóch godzinach drogi zatrzymać się u progu rozległej kotliny nad brzegiem jeziora o płaskiej tafli, zastygłej w szklistej masie jakby odciętej w formie podkowy legendarnego konia. Ramiona podkowy wznoszą się początkowo łagodnie, później prą gwałtownie w górę by zwieńczyć się koroną gołych, ciemnych wierzchów skalnych. W sinoniebieskich wodach zamarłej powierzchni jeziora, nie zmałowanej grzebieniami fal, niby w czarodziejskim zwierciadle, utrwala się wieczny obraz ostrych grzbietów górskich. Ramę tego obrazu stanowią garby skalne, pokryte plastrami śniegu, iskrzące się w promieniach wschodzącego słońca. Na lewo, tuż u podstawy zwieńczenia podkowy, lśni biała wstęga strumyka, ginąca w załamaniach terenu, aby u stóp wzniesienia ukazać się na nowo i w formie ostrzy widelca zlać się z wodami jeziora.

Po krótkim postoju wspinamy się wąską ścieżyną nad brzegiem przepaści, pogłębiającej się coraz bardziej w miarę jak posuwamy się naprzód. Jesteśmy już przyzwyczajeni do dużej wysokości, nie robi to na nas wrażenia. Ale jeden nieostrożny krok, jedno poślizgnięcie się konia to... nieuchronny upadek w tysięczmetrową przepaść.

Przewodnik idzie pieszo, ciągnąc za sobą muły z bagażem. Następnie, gęsiego, konno, członkowie wyprawy i ja z podręcznym aparatem w rękę. Trasa staje się coraz trudniejsza. Ścieżyna zwęża się, czasem ginie zupełnie pod zwaliskiem usuniętych kamieni. Konie z ciężarem jeźdźca na grzbiecie, pracują bokami.

Chcę zejść z konia nie tyle dlatego, aby ulżyć zwierzęciu ile po prostu, żeby przerwać stałe kaleczenie nogi o nierówności

ściany. Jest to fizycznie niemożliwe, gdyż druga noga wisi nad przepaścią. Brak miejsca by zejść z konia. Przewodnik woła, żeby wyciągnąć stopy ze strzemion. Konie zaczynają się potykać niebezpiecznie.

Nagle słyszę nieludzki ryk, ciarki przechodzą mi po grzbiecie. W ułamku sekundy widzę, że koń Johna traci równowagę, zatrzymuje się w przysiadzie na jednej z tylnych nóg, gdy drugą kopie konwulsyjnie, szukając oparcia. John, przychylny, dwoma rękami próbuje się bezskutecznie uczepić załamań ściany.

Zywa tą masą człowieka i konia drży i bezwładnie na oczach grupy, sztywnej z przerażenia i bezsilności, zsuwa się w przepaść.

Skacze jednak Isidro, przesuwając się po krawędzi przepaści, dopada konia, chwytając go za lejce. W tym samym czasie Waldemiro zbliża się konno do Johna, łapie za pasy plecaka, ściąga jeźdźca z konia. John staje na nogach, koń zwolniony z ciężaru, ciągnięty za uzdę przez przewodnika, wdrapuje się z powrotem na ścieżkę. Boże, udało się!

John, wyczerpany, blady jak śmierć, zsuwa się na ziemię, odpoczywa. Inni, nie mając możliwości zejść z koni, odwracają wzrok od przepaści. Po chwili Isidro rzuca linę. John przywiązuje się, wstaje, idzie za koniem. Byle by nie patrzeć. Marsz z nonszalanckiego zmienił się na posuwanie się krok za krokiem z zamkniętymi oczyma. Bezpieczniej zdać się na instynkt zwierząt.

W dwie godziny potem zstępujemy w dolinę, a choć do zamierzonego celu — daleko, zotrzymujemy się jednak dla odpoczynku, zmęczeni nie tyle fizycznie co nerwowo. Każdy kładzie się tam gdzie zszedł z konia, gdzie popadło. Zapada kłopotliwe milczenie jakby nikt nie miał odwagi poruszyć sprawy wypadku.

— **Well it was a narrow escape** — mówię do Johna po pewnym czasie.

Wszyscy się ocknęli, schodzimy się razem. Zaczyna się z początku beżładna dyskusja, która kończy się śmiechem i klepaniem po plecach.

Isidro rozgląda się tymczasem; gęba zmartwiona.

— To trzęsawisko — mówi, zataczając łuk ręką.

— E dai? — pyta gaucho z Pôrto Alegre.

— Lá — odpowiada sucho Isidro, wskazując brodą wysokie pasmo górskie.

Padają jak na komendę przekleństwa w czterech językach.

Źródła ani śladu. Po pustej kotlinie tylko wiatr dmucha, roznosząc nasze głosy powtórzone kilkakrotnie przez echo. Środkiem trzęsawiska płynie leniwy dwumetrowy strumień, pokryty gdziegdzie taflą lodu i ginie daleko za załamaniem terenu.

Z wątlą nadzieją na nocleg pod dachem zbieramy się do dalszej drogi. Okrążamy najpierw trzęsawisko, podchodząc coraz bliżej do prostopadłej ściany, rozwalonej pionowo od szczytu w dół, jak ciasto przecięte nożem. U podnóża góry olbrzymie zwalisko — masa dżungli skalnej rozkłada się na kilkukilometrowej przestrzeni, w dole sięga mokradła. Przez wąską otwór, niby przez bramę, wkraczamy w labirynt zawalonych krużganek i balansujących brył. Idziemy ostrożnie całą grupą, każdy trzyma konia jak najbliżej siebie byle by nie dotknąć skał. Jed-

no potknięcie, jeden nieostrożny ruch może spowodować nieobliczalną w skutkach lawinę kamieni.

Wciąż w górę i w górę. Oddycham z trudem, staję i odpoczywam co kilka kroków. Po dwóch godzinach marsz staje się upiorny. Zatrzymuje nas w końcu zwarta masa odłamów skalnych, najęzona ostrymi stożkami jakby w obronie swej autonomii.

Przewodnik ściąga brudną czapkę, potrząsa rozczochraną czupryną, nie wiadomo, czy z zażenowania, że nas tu wprowadził, czy też z bezradności w obliczu przeszkody nie do przebycia.

— *No adianta!* — mówi zmęczonym głosem. — *Aqui no se puede passar*

Obliczam szybko w myśli. Jeżeli tędy nie da się przejść to nie wystarczy cofnięcie się o kilka kilometrów; zboczyć nie można, a ominięcie tego masywu to kilkudniowy dodatkowy marsz. Stąd trzeba by odbyć całą powrotną drogę, kto wie czy nie do fazendy. Na to nikogo z nas nie stać ani fizycznie, ani nerwowo.

Pomimo protestów przewodnika decyduję iść do przodu.

Zaczyna się mozolna, niebezpieczna wspinaczka. Człowiek i koń stąpają ostrożnie, analizując każdą przeszkodę, odmierzając dokładnie każdy krok, wybierając miejsce na postawienie nogi. Najpierw idzie człowiek, przesuwa się wolno, odwraca, ustępuje z drogi lub wspina się na skałę (jeżeli ta jest pewną), przeciąga zwierzę. Z czasem utrzymanie kontaktu z grupą staje się niemożliwe. Kluczymy, zmieniamy kierunek, gubimy się i tylko dzięki stałemu nawoływaniu utrzymujemy łączność.

Kończy się wreszcie przekłete zwalisko, otwiera się przestrzeń przed nami. Stoimy wysoko na stoku górskim przy długim pasie śniegu, łączącym się w górze w kształt olbrzymiej ośmiornicy, obejmującej dziesiątkami macek cały masyw górski. Daleko w dole po przeciwnej stronie kotliny — trzęsawiska, u styku masywów górskich, jawi się tafla jeziora i wąski sznur rzeki, ginącej za wzniesieniami.

Zapada zmrok. Znajdujemy się w zupełnym pustkowiu, na mroźnym wietrze, bez nadziei na dach nad głową.

— Sytuacja dość głupia, jeżeli się weźmie pod uwagę mróz dziesięciostopniowy — stwierdza z sarkazmem Waldemiro.

— *Don't feel sorry for your self* — odpowiada John.

Jest w zabójczym humorze.

Pytam don Isidra czy do Raury daleko. Przypuszcza, że przeszło dzień drogi.

— Jak to — mówię — przecież z fazendy miało być 5 do 6 legw?

— Z fazendy tak, ale nie stąd.

Humory obniżają się bardziej, niż temperatura. Gdzie tu zanoć? Oglądamy się na zwaliska. Można tam chociaż znaleźć ochronę przed wiatrem. Perspektywy noclegu układają się ponuro.

Naraz przewodnik krzyczy:

— *Luz!*...

Gdzieś w dole, daleko, w ciemnej przestrzeni błysło światło.

— Gdzie jest światło tam są ludzie, gdzie są ludzie tam są łóżka — stwierdza słusznie John.

Dopadamy koni. Z tyłu pozostaje John, który grzebie jeszcze przy siodle.

— Hej Sokratesie! — krzyczy Waldemiro — pośpiesz się bo światło ucieknie.

Istotnie, lęk, że światło zgaśnie staje się odąd zmorą każdego z nas. Wyjmują rewolwer, oddają trzy strzały.

— Może człowiek usłyszy i zostawi światło, — mówię.

Echo powtarza kanonadę.

— Jeszcze przestraszy się, pomyśli, że zbóje — martwi się Francisco.

Diabli wiedzą jak daleko do zbawczego światła! W górach, zwłaszcza w nocy, odległość to rzecz względna.

Wchodzimy w śnieg, konie ślizgają się po zlodowaciałej powłoce. Zjeżdżamy w dół i znów wspinamy się w górę. Czas się wlecze, a drogi jakoś nie ubywa. Światło latarek elektrycznych żółknie coraz bardziej, baterie są na wyczerpaniu, zamiast przedpola oświetlamy jedynie nogi końskie. Zaczyna padać śnieg, z początku drobny, później coraz gęściejszy. Tracimy z oczu światło, ogarnia nas zupełna ciemność. Jedziemy zdani całkowicie na instynkt zwierząt.

Nagle przewodnik staje. Nasłuchuje. Gdzieś z dołu z lewej strony dochodzą prawie niedosłyszalne, stłumione poprzez zapórę śnieżną głosy... szczekanie psów. Strzelam znów. Tym razem strzały wypadają głucho, bez echa. Wszyscy chcieliby jechać bezpośrednio w kierunku głosów, ale przewodnik sprzeciwia się — niech konie same wybierają drogę.

Dobrze około godz. 11-tej w nocy docieramy wreszcie do niewielkiej lepianki. Witają nas wściekłym ujadaniem dwa olbrzymie psy. Z lepianki wychodzi, opatulony kożuchami, mężczyzna. Twarzy nie mogę rozpoznać, zza kaptura widać tylko szeroki nos. Wytłumaczenie mu skąd i dlaczego zjawiliśmy się na tym odludziu pozostawiam przewodnikowi, jako "tutejszemu". Tamten słucha, kiwa głową, podnosi wysoko lampę, przygląda się każdemu z osobna. Zdecydował się wreszcie.

— Entra! — mówi, a sam z Isidrem prowadzi konie do szopy. Wchodzimy do chaty. Na kominku pali się ogień. Pod ścianami mnóstwo skór baranich. Jest tu stosunkowo ciepło.

Za chwilę wchodzi gospodarz. Zdejmuje kaptur. Twarzy śniada; małe, czarne oczy, fosforyzujące jak u kota. Mówi, że jest z kopalni Raura. Przychodzi tu raz na miesiąc, nawet rzadziej. Do Raura? Przeszło dzień drogi. Później dodaje, widocznie po rozmowie z Isidrem, że jedzenia nie ma, bo tu nikt nie zachodzi.

Pytam o rzekę. Jak płynie, czy daleko, gdzie źródło... Patrzy na mnie, a wzrok i mina dodają to czego nie chciał powiedzieć.

"Nie macie innego zmartwienia? Jakaś rzeka, czy źródło potrzebne wam do szczęścia? Po to tu jesteście, tego szukacie... naprawdę?"

— Jak Boga kocham!

Wybuchł śmiechem i śmieje się dłuży czas jak wariat, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową.

W końcu jednak tłumaczy:

"Do Raura przeszło dzień drogi. Nie, ta rzeka płynie w od-

wrotnym kierunku. O źródle tej rzeki tylko Pan Bóg wie i nie wszyscy święci, bo to ich gówno obchodzi”.

Jest niezwykle wymowny jak na ten kraj górski, kraj mruków. Wydaje się nawet aż nadto pyskаты. Taki też odtąd otrzymał przydomek.

Tymczasem Waldemiro gotuje wodę, wyspuje do niej resztek nieski. Kawa trochę nas pokrzepia.

Zastanawiamy się czy udać się najpierw do Raury, aby wypocząć, czy też szukać najpierw źródła. Jesteśmy wyczerpani na skutek forsownego marszu, głodu i zimna. Ale przeważa zdanie, aby wyruszyć do źródła, znajduje się bliżej.

Rozmawiam z gospodarzem, ofiaruję wysokie wynagrodzenie. Godzi się szybko. Będzie nam towarzyszył, pokaże i skróci drogę na osi biegu rzeki. W czasie tych pertraktacji krztusi się stale z uciechy, uważając, że ubija świetny interes. Forsa za darmo... jedynie za pokazanie zbzikowanym gościom jak płynie rzeka.

Zgodnie z umową mamy wyjść o 5-tej rano. Don Isidro z końmi pójdzie inną drogą i dołączy się do nas w jakiejś dolinie, o której wiadomo tylko jemu i gospodarzowi. Jeżeli do 12 w południe nie odnajdziemy źródła wrócimy tu z powrotem, gdybyśmy zaś odszukali je wcześniej do godz. 9 wyruszymy bezpośrednio do Raury. ?

Kładziemy się spać przykryci skórami owczymi. Zasypiam od razu snem sprawiedliwego.

Wstaję przed świtem i wychodzę na dwór. Ciemności zupełnie i mgła — nic nie widać. Informuję się u Pyskatego, czy w tych warunkach możemy ruszać. Draple się w głowę, wzrusza ramionami i nie bardzo pewny siebie — mówi:

— Vamos.

Zaraz po wyjściu zaczyna się droga na Sybir. Dmie silny wichur, śnieg kołuje w mroźnym powietrzu suchy i drobny. Idziemy tuż za Pyskatym trzęsąc się z zimna, senni, głodni i w pieskich humorach. Nikt nie sili się na rozmowę.

Wkrótce brody, brwi i rzęsy mamy oblepione szronem. Pancerz lodowy na ubraniach trzaska w ruchu jak blacha. Aparat i statyw ciężą jakby ważyły tony. Opuszczamy głowy, chroniąc się przed porywistym wichrem, wlecemy się bokiem nie frontem. Ślizgamy się na twardej skorupie śniegu. Koledzy klną mnie za wczesne wyciągnięcie spod skór baranich, ja klnę na los filmowca.

Nadchodzi świt. Bliskie sylwetki szczytów górskich ciemne i ponure nikną to pojawiają się w płaszczu skłębionej mgły lub ołowianych chmur.

Rozwidnia się coraz bardziej. Wychodzimy ponad chmury, wspinamy się wyżej po różowiejącym śniegu. Na lewo od osi naszego marszu rozjarza się niebo — wschodzi w czerwonych płomieniach czerwona kula słońca. Za chwilę idziemy już po białym śniegu. Pod nami chmury rozplywają się i giną. Zataczamy koło i po pięciogodzinnym marszu stajemy jakby na sztucznym tarasie skąd roztacza się widok na rozległą dolinę białą od śniegu.

Naprzeciw nas na krańcu doliny wyrasta olbrzymi mur lodu i wiecznego śniegu. Poniżej na płamie ciemnej ziemi lśni na nowo nitka rzeczki, zagubiony drogowskaz wyprawy. Scho-

dzimy zygzakami nie koniecznie na nogach, czasem zjeżdżamy na tylnej części ciała.

W pewnym momencie Waldemiro chwyta mnie za ramię.

— Spójrz tam!

Z początku nic nie widzę, potem rozpoznaję trzy czarne punkty. Z tyłu za nimi porusza się pojazd wielkości pudełka zapalek.

— Ależ to ludzie! — mówi prawie szeptem John.

Pyskaty wyjaśnia, że to na pewno inżynier z Raury. Przywołuje psa, wskazuje ręką, mówi coś do niego długo w niezrozumiałym języku. Pies podrywa się, leci w zawijasach, szczeka, przewraca się na lodzie, wstaje i biegnie dalej.

— Zajdzie szybciej od nas — powiada Pyskaty.

Mogę sobie teraz wyobrazić jak wygląda spotkanie w pustyni lodowej w pobliżu bieguna grup badaczy polarnych. Cieszymy się jak dzieci, skaczemy, krzyczymy i palimy na wiwat z rewolwerów jak kowboje.

Zaczyna się dwugodzinny wyścig. Schodzimy w dolinę zadyszani, ale w rekordowym czasie jak na górskie warunki. Nadjeżdża Land Rover. Wychodzi z niego trzech ludzi, też biegną na spotkanie. Jest to, istotnie, grupa inżyniera Martineza, prowadzącego w tych okolicach pomiary goniometryczne.

— Por Dios e Todos Santos, a wy skąd? — pyta, zdziwiony.

Tłumaczę w krótkich słowach cel ekspedycji.

— Przeszliście to? — mówi, wskazując na całkiem niezłe prezentujące się góry za nami. — Trzeba na to być wa...

Zatrzymuje się zmieszany.

— Wariatami... — kończy za niego flegmatycznie Waldemiro, a John zapytuje obcesowo:

— Nie ma pan czegoś do przegrzyzenia?

Inżynier biegnie do wozu, wyciąga paczkę z kanapkami i termos z kawą. Rzucamy się jak wilki na sandwiche, wypadło po dwa na łebek. Po chwili dopiero zorientowałem się, że zjedliśmy cały zapas żywności inżyniera i jego dwóch pomocników. Przepraszam zakłopotany, ale inżynier śmieje się tylko i mówi, że wieczorem w kopalni powetuje sobie stratę. Chce nas zawieźć od razu do Raury, upieramy się jednak, żeby pójść do źródła. Wobec tego inżynier ofiarowuje się podwieźć nas kawałek, ale tylko do rzeki.

— Dalej pójdziemy pieszo — powiada.

Mówi: "pójdziemy" nie "pójdziecie". Zaraził się od nas. Śmiejemy się razem. Pyskaty odłącza się, idzie naprzeciw niewidocznemu jeszcze Isidrowi. Dołączy się do nas już w Raurze.

Po godzinie jazdy docieramy do rzeki, a właściwie do strumyka dwumetrowej szerokości. Idziemy pod prąd i po dalszych dwóch godzinach pieszej wędrówki stajemy na granicy wiecznego śniegu. Przed nami wysoki mur lodowca. U stóp tej masy lodu leży małe, szare jezioro. Wydaje się ponure w porównaniu z oglądanymi poprzednio malowniczymi pejzażami. Z jeziora jak ze szczyby płaskiego spodka spada dwumetrową kaskadą struga.

Podchodzimy bliżej. Inż. Martinez wskazuje na szczyty i wyjaśnia:

— To Cordillera Blanca, z której wody z tamtej strony ściekają do Pacyfiku, a z tej — do systemu Amazonki lub do innych rzek, spływających do Oceanu Atlantyckiego.

Filmujemy. Później okrążamy jezioro, dochodzimy do lodowca. Szukam tzw. *close up* tj. największego zbliżenia źródła Amazonki. Ukryta w twardej masie lodu ukazuje się grot, z której zwisają sople błyszczące jak kryształ. Dalej spod okrągłej kopuły w wyciętym rowie lodu spływa wąski strumyczek i łączy się tuż z jeziorem. Stoimy chwilę w milczeniu i wiem, że każdy z nas myśli: "Oto źródło Amazonki, źródło matki rzek".

Ale nie jest to w ścisłym tego słowa znaczeniu "źródło".

Źródło tryska z ziemi, to zaś "źródło" powstaje z tysięcy kropel, spadających z lodowych sopli, i z tajania płaszcza lodowego Białych Kordylierów.

Cel etapu wyprawy — osiągnięty. Na zakończenie — pijemy niejako symbolicznie czystą, lodową wodę ze źródła.

Korci mnie jednak grot. Widząc, że chcę się do niej zbliżyć inż. Martínez chwyta mnie za ramię:

— Niech pan tego nie robi, na Boga! Nawet głośniej wypowiedziane słowo może wywołać obsunięcie się lodu i lawinę.

Protesty inżyniera na nic się jednak nie zdają. Odsyłam Francisca, który chce mi towarzyszyć, i z aparatem w ręku posuwam się powoli po zmarzniętym śniegu, aby zatrzymać się w końcu nad wgłębieniem, u podstawy którego szeroka szczelina, zasklepiąca w górze rzędami długich sopli, zaprasza do wejścia.

Z największą ostrożnością próbuję zejść i nagle potykam się i z hukiem i trzaskiem ląduję na tylnej części ciała. Trwam skurczony i nieruchomy i czekam na "trzęsienie ziemi", które jednak nie następuje. Po wiekach chyba, jakby w spóźnionej reakcji oderwany niewidoczną rękę spada sople i rozbija się na drobne cząsteczki, zamykając scenę nieprzewidzianej farsy.

Między krawędzią wejścia i wiszącymi soplami prześlizguję się do krótkiego krużganka, kończącego się wystającą platformą balkonu.

Stąd roztacza się widok jak z bajki lub jak obraz ze snów dziecięcych. Rażące bielą wysokie sklepienie, podparte zawijającymi kolumnami, lśni rzędami diamentowych kandelabrow. Oparty o mitologiczne kolosy wyrasta wykuty w czystym kryształe czarodziejski pałac, najeżony ostrymi basztami z alabastru; czeka z otwartymi podwojami na Królową Śnieżkę, aby powitać ją muzyką organów o tysiącu piszczałek. Z otworu ze szczytu sklepienia pada światło wprost na bryłę sarkofagu, ozdobionego przedziwnymi arabeskami — dzieło mistrza artysty. Cały ten świat czarów błyszczy milionami blasków, oślepia rażącym światłem.

Stoję opanowany dwoma sprzecznymi uczuciami: podziwem dla Budowniczego, który to stworzył i trachem, że w jednej chwili może się to zawalić jak domek z kart, że mogę zapłacić drogą za wtargnięcie do sanktuarium natury. Ciszę przerywają trzaski bliskie i dalekie, krótkie i długie, przypominające pomruki nadciągającej burzy. Skądciś, jakby z innego świata, słychać stłumione krzyki Francisca, nawołujące do powrotu. Świadomość powraca. Filmuję, choć ręce się trzęsą nie wiem, czy z zimna, czy z wrażenia.

Wydostaję się w końcu z groty i z wyrazu twarzy inż. Martíneza widzę, że nie jest bynajmniej zachwycony moim wyczynem.

W czasie dalszego filmowania lodu i wiecznego śniegu dla określenia granicy widoku podchodzę do lodowca, nawołując przy tym Waldemira. W tym momencie następuje trzask, jakby w pobliżu uderzył piorun, a później głuchy pomruk i ściana, pod którą stoję, pęka w zwolnionym tempie, rozsuwając się i ukazując rosnącą szczelinę na tle błękitnego nieba. Wieję aż się kurzy, a o 200 metrów przede mną wyrwywają, jak zawodowi szybkiegacze, moi towarzysze i inż. Martinez.

Z daleka, już z bezpiecznego miejsca, obserwujemy ciekawe i groźne zjawisko. Bryły lodu wałę się w dół w śnieżnej kurzarwie. Lawina wyje i zwija się w potwornych skrętach jak legendarny smok.

Inżynier wymyśla mi od niepoważnych pomysłów i oskarża o brak odpowiedzialności. Domaga się bezzwłocznego odwrotu. Nie mam zamiaru opierać się zbytnio. Nie czuję się nawet zdraśnięty w ambicji wodza wyprawy.

LISTY DO REDAKCJI

Rio Grande, 9 czerwca 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chcąc kiedyś zrobić upominek świąteczny córce zamówiłam "Przegląd Polski". Pismo to podobało nam się bardzo. Ciekawe opisy i opowiadania przykuwały uwagę czytelnika. Chcę, żeby dzieci nie zapomniały, że wychodzimy z Polaków i powinniśmy utrzymywać polskie pisma. Muszę dodać, że kwartalnik "Skarpa" również jest interesujący, np. powieść "Buki" wspaniała, wruszająca nawet. Życzę, aby to pismo utrzymało się jak najdłuższe lata, powiększając listę czytelników.

Pozdrawiam serdecznie

Rozalia Waśniewska — Rio Grande, RGS.

Szanowni Panowie,

Z mojej strony uważam, że powinno się włączyć artykuły traktujące tematy nie tylko literackie, lecz dotyczące również bieżącej polityki, jak to robi miesięcznik "Horyzonty" wychodzący w Paryżu, i z tutejszego kraju.

Życząc powodzenia kreślę się z poważaniem

Marian Hessel — Iratí - Paraná

D. c. na str. 91

**Se V. pensa que MASTER
é um cigarro
igual aos outros,
vai mudar de opinião
logo na primeira tragada.**

FABRICA DE CIGARROS FLORIDA S/A

(Porque **MASTER**
é um novo conceito
em cigarros.)



Książki?... Książki?...

Mam nadzieję, że mi Redaktor "SKARPY" wybaczy ten plagiatus tytułu jego działu jeśli się zapozna z treścią a głównie intencją która mną kierowała, zwłaszcza, że zmieniłem, że się tak wyrażę, melodię tych słów, stawiając poza kropkami znaki zapytania.

Kiedys ktoś powiedział, że gdzie jest dwóch Polaków tam wychodzą trzy wzajemnie się zwalczające pisma. Nie można tego zastosować, niestety, do mieszkających w Brazylii Polaków. Co by to oznaczało? Czyżby wyzbyli się swych cech narodowych? Byłoby to może i dobrze pod pewnym względem przynajmniej, jeśli chodzi o wzajemne zwalczanie się. Niestety, trwa ono nadal, tylko nie w prasie, bo wtedy miałyby przynajmniej tę dobrą stronę że musiałoby podlegać pewnej etyce prasowej. A tak sprowadza się jedynie do gadania, plotek, a nieraz i obmowy.

Liczba Polaków w Brazylii nie jest dokładnie znana z tej prostej przyczyny, że władze nie prowadzą ścisłej statystyki narodowościowej, zaś wszyscy tu urodzeni wg. prawa uważani są za Brazylijczyków. Dawni zaś emigranci polscy sprzed 1918 r. zapisywani byli wg. posiadanych przez nich paszportów jako Rosjanie, Austriacy lub Niemcy. Toteż podawane dziś cyfry są niedokładne: raz mówi się o 400 a nawet 500 tysięcy, innym razem zaś tylko o 200.

Weźmy cyfrę najniższą. I na te 200 tysięcy Polaków wychodzi poza "Skarpą" i parafialnymi "Ziarnami i Kłosami" w Brazylii tylko jeden, wydawany w Kurytybie tygodnik "LUD". I wydawcami "Ludu" nie są, jak w innych polskich skupiskach, czy organizacje społeczne, czy osoby prywatne, lecz Księża Misjonarze. Z natury rzeczy pismo musi mieć specjalny charakter, zwłaszcza, że przeznaczone jest dla starych emigrantów-osadników. Ma ono, jak mi mówiono, ok. 5 tysięcy abonentów, co oznacza że na każdym 400 Polaków brazylijskich przypada jeden abonent. W dodatku, wielu czytelników zalega latami z opłatą abonamentu, co zmusza Księża Misjonarzy do stałego dokładania do wydawnictwa. Tak więc, jeśli by nie księża, cała ta wielka gromada brazylijskich Polaków byłaby bez własnej gazety, czyli proces wynarodowienia się byłby znacznie przyspieszony.

Wszelkie próby wydawania tutaj innego pisma polskiego

skończyły się fiaskiem. Tak więc przez kilka lat ukazywał się "Przegląd Polski". I znowu paradoks: duża część prenumeratorków rekrutowała się ze St. Zjednoczonych, Kanady, Australii... Ci właśnie byli najsumienniejszymi, nie zalegającymi płatnikami prenumerat. Niestety, zwyżka cen papieru, druku i zaleganie subskrybentów z zapłatą zmusiły wydawcę do zlikwidowania pisma i z miesięcznika przejścia na kwartalnik. Ale i ten ostatni ma te same trudności: przy tak wielkiej ilości Polaków, tak mało czytelników!

Zdawałoby się, że w takim razie Polacy brazylijscy powinni abonować pisma polskie wydawane w innych, większych ośrodkach polskiej emigracji, Anglii, Francji czy St. Zjednoczonych? Nic podobnego. Oto nasze jedyne, największe i najstarsze, bo 40 lat liczące pismo literacko-artystyczne, "Wiadomości" ma w Brazylii aż... 81 abonentów! Jeszcze gorzej jest z drugim pisem polskim o tak wysokim poziomie, "Kulturą". Oto ilość prenumeratorków na całą polską emigrację w Brazylii wynosi zaledwie 65. Nie mamy, niestety, statystyki prenumerowanych tu innych polskich pism, ale wobec tak znikomej ilości tych najpoważniejszych i najlepiej redagowanych, bardzo wątpliwe czy mogą się one wyrazić w liczbach dwucyfrowych?

A jak wyglądają te sprawy w innych ośrodkach polskich? (Informacje czerpię z Rocznika Polonii", sprzed kilku lat, niestety). Argentyna: 120 tys. Polaków, 2 tygodniki; Australia: 2 tygodniki i 1 dwutygodnik przy siedemdziesięciu paru tysiącach Polaków; Włochy: 1.200 Polaków, 1 tygodnik i 1 miesięcznik; Chile: 1 miesięcznik przy 500 Polakach! Świadomie pomijam takie wielkie ośrodki polskie jak Anglia, St. Zjednoczone, Francja i Kanada, z którymi trudno porównywać Brazylię. Ale za to w Szwecji przy 2 tys. Polaków jest 1 miesięcznik a w takiej egzotycznej Kenii także 1 miesięcznik przy 300 Polakach! Jak więc wyglądamy my, brazylijscy Polacy?

A teraz z kolei książki? Tu należy przyznać, że na przeszkodzie ich sprowadzeniu do Brazylii stoi spadek naszej waluty, a co za tym idzie, wysoka cena dolara i funta ang. Taka więc książka wydana w Londynie, Paryżu czy w USA kosztuje na naszą walutę co najmniej 5 a nawet i do kilkudziesięciu tysięcy kruczejrów, co na kieszeń przeciętnego inteligenta (a tacy właśnie są potencjalnymi nabywcami książek) przy dzisiejszej drożyznie nie jest łatwe. Nie posiadamy żadnej statystyki w tej dziedzinie, ale wśród moich bardzo licznych znajomych znam zaledwie kilku co mają półki z książkami sięgającymi pod sufit i którzy kupują wszystkie niemal polskie nowości. I co najczęściej nie zaliczają się oni do tych wielu naszych rodaków co tu zrobili znaczne fortuny. A czy ci ostatni kupują książki? Wątpię.

Na szczęście pomyślano o tym aby udostępnić polskie książki również niezamożnym czytelnikom: w Londynie powstało wydawnictwo "Polska Fundacja Kulturalna", które daje czytelnikowi za pięć dolarów aż pięć estetycznie wydanych książek takich autorów jak Aleks. Bregman, Janusz Kowalewski, Józef Mackiewicz, Zyg. Nowakowski, S. Piasecki, Józef i Maria Czapscy, J. Łobodowski, Danuta Mostwin, St. Baliński, Irena Baczkowska, Marian Hemar, — że wymienię tylko niektórych. Zdawało by się, że książki te w naszej Polonii powinny być rozchwytywane?

Nie wiem jakie ma rezultaty mój "kolega w nieszczęściu", który, jak i ja usiłuje rozpowszechnić wydawnictwa P.K.F. Może nie jestem fachowcem, ale udawało mi się sprzedawać zaledwie po 7 kompletów z każdej serii i to z dużym wysiłkiem wśród dobrych znajomych, którzy zresztą pewnie krępowali się mi odmówić ale klęli w duchu. A na ogłoszenie o tych książkach, które od miesięcy wisí w pewnej polskiej kulturalnej organizacji "dobrowolnie" zgłosiło się... 2 nabywców.

Otrzymałszy dwie pierwsze serie tych książek, które kosztowały wówczas coś około 12 czy 13 tys. kruczejów, zaproponowałem nabycie ich spotkanej przypadkowo w Klubie 44 uroczej, wiecznie młodej pani. Zrobiła smutną minkę: "Pan myśli że nam się tak dobrze powodzi?..." Nie nalegałem, rzeczywistość musi być im ciężko bo co parę lat jeżdżą na dłuższy czas do Europy a mąż pija tylko oryginalną szkocką whisky!

Jak więc wobec tak smutnego obrazu naszego polskiego inteligentnego uchodźstwa w Brazylii można nazwać grupę ludzi, którzy noszą się z poważnym zamiarem wydawania tu dużego polskiego pisma? Optymistami? Fanatykami? A jednak taka grupa istnieje. I teraz nasza ilościowo i materialnie bogata brazylijska Polonia będzie miała okazję zdania egzaminu z poziomu swojej kultury, czy potrafi utrzymać to pismo tak jak to robią inne ośrodki polskiej emigracji, nie z jednym, ale często z kilkoma prasowymi organami? I to nie jako akcja dobroczynna ale z rzeczywistej potrzeby posiadania własnego pisma. Zależy to oczywiście w pierwszym rzędzie od poziomu projektowanego wydawnictwa. A ponieważ do współpracy w nim zamierza się przyciągnąć nie tylko najlepsze miejscowe siły lecz i mieszkających na całym emigracyjnym świecie literatów, dziennikarzy, poetów i publicystów, mamy nadzieję, że warunki ten da się utrzymać.

Logios.

PRÓBA WODY

Przed wielu laty byłem przejazdem w niewielkim miasteczku na południu Parany. Wskutek nieprzewidzianych okoliczności musiałem się tam zatrzymać kilka dni wstąpiłem więc do baru i zapytałem właściciela, czy nie zna jakiegoś porządnego hotelu.

Knajpiarz, sympatyczny grubas, którego jowialną twarz psu obustronny zez, uśmiechnął się.

— Zaraz widać, że senhor pochodzi ze stolicy. U nas wszystkie hotele są skromne i różnica polega tylko na tym, że w jednym jest trochę więcej, a w drugim trochę mniej karaluchów i pcheł.

Stojący przy szynkwasio starszy pan, wyglądający na zamężnego fazendera, poparł właściciela baru.

— Tak, to prawda. Ale jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu to zapraszam do siebie. Mogę zaofiarować niezłe łóżko i szklankę dobrego wina.

— Można powiedzieć, że ustrzelił pan **jahú** bez **espingardy** — powiedział knajpiarz. W domu doktora Tadeo mieszka się lepiej, niż u samego prefekta, a Consuela umie świetnie gotować.

Pocertowałem się dla przyzwoitości w końcu jednak przyjąłem propozycję starszego pana, który usłużność swoją posunął do przesady, chcąc mi wyrwać z ręki walizkę. Nie pozwoliłem na to. Zresztą walizka była lekka, nie wożę ze sobą zbyt wielu rzeczy.

Szliśmy wąskimi, nie brukowanymi uliczkami, po obu stronach których za ogrodzeniami z drutu kolczastego wznosiły się zakurzone bananowce i pokryte drobnymi owocami pomarańcze. W głębi ogródków kryły się drewniane, ubogie domy.

Dom mojego gospodarza wyglądał tak samo nieponętnie. Było to duże gmaszysko pomalowane na kolor oliwkowy o ganiku wspartym na dwóch kolumnach. Koło tych kolumn rosły róże herbaciane, olbrzymie, o konarach jak drzewa. Na metalowym płocie wisiał szyld. Wypisane tam było, że doktor Tadeo Czarnkowski, internista i akuszer, przyjmuje od godziny 9 do 12 rano.

— O, do diabła, nie przypuszczałem, że pan Polak i lekarz! W tym kraju każdego buchaltera nazywają doktorem.

Doktor roześmiał się.

— A ja od początku nie miałem co do pana wątpliwości. Zdradził pana akcent.

Weszliśmy do domu. W środku prezentował się przyjemniej, niż z zewnątrz. Ściany były jasnokremowe, a fotele i kanapy obite błękitną tkaniną o odcieniu porannego nieba.

Zastanowiło mnie mnóstwo figurek słoń, smoków i bóstw hinduskich i chińskich.

Gospodarz zauważył moje zdziwienie.

— Są to pamiątki z podróży, — wyjaśnił.

I dodał, że jako przestępca polityczny przebywał na zesłaniu w Syberii jeszcze przed pierwszą wojną światową. Udało mu się stamtąd uciec do Mandżurii skąd następnie wyjechał na południe Chin i do Indii.

— Nie jestem zbieraczem — powiedział. — Wszystkie te przedmioty to upominki od pacjentów. Dlatego też sądzę, że są autentyczne. Ten np. słoń, jak mnie zapewniano, pochodzi z IV w. przed Chr., a ta bogini hinduska, sturęka Kali, ma oczy zrobione z prawdziwych szmaragdów.

Przeszliśmy do jadalni. Kolacja, przyrządzona przez Consuelę, starszą już, ale jeszcze przystojną Faragwajkę, była rzeczywiście znakomita. Zapiliśmy ją dziesięcioletnią pingą z Santa Catarina i ciemnym winem riograndeńskim. Doktor okazał się znakomitym gawędziarzem, znał doskonale Parane i umiał opowiadać ciekawe historyjki z życia kabokli i Indian. Było już bardzo późno kiedy poszedłem wreszcie do pokoju gościnnego, dokąd Consuela przyniosła mi dzbanek z ciepłą wodą.

Zanim się rozebrałem i umyłem rozejrzałem się pobieżnie po pokoju. Zastawiony był niezbędnymi meblami, nie odznaczającymi się niczym szczególnym. Uwagę moją zwrócił jedynie stojący na biurku demon, rzeźbiony w drzewie sandałowym. Podniosłem go. Pachniał owym egzotycznym zapachem, który lubię. Ale nie mogłem na niego patrzeć bez zgrozy. Zza zaciśniętych warg wystawały długie, zakrzywione kły. Z pomarszczonej twarzy wyzierał szatański uśmiech; złe oczy spoglądały na mnie z takim okrucieństwem, że czym prędzej odstawiłem go na dawne miejsce na biurku.

Byłem taki zmęczony, że zasnąłem od razu. Nie pamiętam już co mi się śniło z początku, może nic. Ale po pewnym czasie z szarej, srebrzystej mgły wyłoniła się mroczna izba, ledwo rozświetlona palącym się słabo kagankiem. Na stole z czarnej laki leżała naga postać. Był to mężczyzna w sile wieku przywiązany do stołu cienkimi, jedwabnymi postronkami, żółty, o skośnych oczach i wystających kościach policzkowych. Dwaj inni Chińczycy, ubrani w tradycyjne niebieskie chałaty i pantofle z podniesionymi do góry noskami, w war-koczach, o coś go pytali na co nie odpowiadał. Włoczyli mu do ust wielki drewniany lejek. Jeden z nich podniósł wiadro pełne wody. Ujrzałem jak strumień wody wlewa się do gardła ofiary, jak brzuch jej powoli pęcznieje. Wyjęli lejek, znowu pytali, nie odpowiadał. Jeszcze jedno wiadro wody. Brzuch torturowanego napełniał się jak balon. Boże, jeszcze chwila i pęknie! Boże, on nawet nie mógł krzyżeć! Ale za to ja nie potrafiłem powstrzymać krzyku. I w tym krzyku przebudziłem się. Byłem złany potem, obolały. Przez okno wpadało światło księżycy, usiadłem na łóżku. "Nie, — pomyślałem — to był tylko głupi sen. Jestem taki zmęczony, taki zmęczony...".

Położyłem się i zaraz zasnąłem. I zaraz wrócił ten sam sen. W oczach torturowanego nie było nic ludzkiego, tylko

ból, ból nie do opisanía. Chciałem uciec i nie umiałem, chciałem zamknąć oczy i nie mogłem. Wiecie jak to jest we śnie, człowiek bywa wtedy bezsilny. Kiedy wreszcie ocknałem się pokój tonął w dalszym ciągu w poświęacie księżycowej i pierwsze co spotrzałem był to demon spoglądający na mnie, jak sądziłem, z uśmiechem pełnym okrucieństwa. Nie zastanawiając się co robię wstałem, złapałem go i wyniosłem do salonu. Resztę nocy przespałem bez żadnych specjalnych doznań.

Było już dobrze po 9 rano kiedy zbudził mnie doktor Czarnkowski.

— Jak się panu spało?

Opowiedziałem o swoim sennym widzeniu. Wysłuchał mnie milcząco i gdy skończyłem zauważył:

— To co się panu wyśniło stanowi wierne odbicie tortury chińskiej zwanej próbą wody. Musiał pan o tym kiedyś czytać. Wspomnienie pozostało w zakamarkach pamięci i powróciło tej nocy po obejrzeniu mojej kolekcji figurek wschodnich.

— Albo raczej pod wpływem demona.

— Demona? — powtórzył. — Ach, prawda, pozostawiłem tu przez zapomnienie kilka dni temu jedną ze swoich figurek. Nie widzę jej teraz.

— Wyniosłem ją do salonu.

— Otóż muszę sprostować — nie jest to demon, tylko chiński bóg deszczu, rzeźba mająca najwyżej 60 lat. Zrobił ją jeden z mandarynów za panowania ostatniego cesarza, człowiek niezwykle utalentowany: malarz, rzeźbiarz i subtelny poeta, ale siawę zdobył jako sędzia śledczy. Zadawanie cierpień stanowi w Chinach cenioną sztukę. Żaden naród nie wymyślił tylu tak różnorodnych tortur.

— A hitlerowcy?

— Och, to byli tylko nieudolni amatorzy, fabrykanci śmierci, ordynarni i brutalni modercy. Tylko stara kultura potrafi wznieść się na wyżyny, stworzyć z bólu symfonię. Ów mandaryn, nazwijmy go Li, umiał wycisnąć z człowieka cały ból, nie uśmiercając. Lubił zwłaszcza torturować ludzi zdrowych i pięknych. Upajał się ich krzykami i jękami. Wprost z katowni szedł do swego pałacu, rzeźbił i pisał piękne wiersze. Nawet lud chiński, taki cierpliwy i posłuszny, uważał go za wyjątkowego potwora. Toteż gdy nastąpiła rewolucja Kuo-Min-Tangu wywleczono go na ulicę, oćarto z odzieży i postanowiono poddać najwymyślniejszym torturom. Ale nie udało się tego zrobić, ponieważ gdy położono go w katowni na stole umarł ze strachu. Jeden z kulisów, mój pacjent, przyniósł mi w podarunku zrabowanego z pałacu boga deszczu.

— Za nic nie trzymałbym w domu podobnego paskudztwa — powiedziałem. — Spaliłbym to uosobienie zła albo oddał do muzeum.

— Niech to już zrobią moi spadkobiercy. Ale muszę panu przyznać trochę racji. W tym bogu deszczu zaklęta jest dusza twórcy. Rzeźbiąc go Li myślał intensywnie o próbie wody. To co mówię jest irracjonalne, zdaję sobie z tego sprawę. Cóż, mieszkając kilkanaście lat w Chinach stałem się mimo woli człowiekiem wschodu, wierzę w wiele rzeczy, w które nie wierzy przeciętny Europejczyk.

Zbigniew Stachowiak

Książki, książki...

PIOROPUSZ I SZPADA

W promieniach cudownej złudy wzeszedł ów pogodny letni dzień ludzkości, który nazywamy Grecją.

Jan Parandowski

Ici, main des Grecs a enfermé une âme...
La Méditerranée n'est qu'un reflet de chair dorée.

Robert Levesque

Do napisania o tej uroczej książce Władysława Günthera wprosiłem się sam. Nie tylko dlatego że jej autora znam dobrze i że łączyły mnie z nim przyjazne stosunki, że w ciągu kilku lat pobytu w Atenach nasza praca czasami zazębiała się ze sobą, ale, i to głównie dlatego, że łączy nas przede wszystkim miłość do tego cudownego kraju jakim jest Grecja, która po 10 latach mego tam pobytu stała się moją drugą ojczyzną. "W Atenach żyłem od rana do wieczora jakby wewnątrz cudownej panoramy stworzonej przez Boga ku radości ludzkich oczu" — pisze W. Gunther w rozdziale opisującym swój pobyt na greckiej placówce dyplomatycznej.

"Udając się do Aten — był to kwiecień 1936 r. — nie wiedziałem że pobyt w Grecji będzie mi nagrodą za surowe życie w Ankarze, belgradzkie utarczki z Warszawą i w ogóle za moje dyplomatyczne "zawody" — pisze autor w tym samym rozdziale. I ja, "toute proportion gardée" przeżywałem coś po dobnego kilka lat przedtem. Kryzys ekonomiczny który wstrząsnął całym światem, z dodatkiem nowej polskiej ustawy drogowej zachwiał mocno moje świetnie prosperujące przedsiębiorstwo samochodowe do tego stopnia, żeśmy się nieraz zastanawiali z żoną czy mamy kupić 5 papierosów "Płaskich" iść parę kilometrów do domu piechotą czy wyrzec się palenia, ale za to jechać tramwajem. I tu nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazłem się pod wiecznie błękitnym niebem Hellady, gdzie z mieszkania mego w Salonikach patrzyłem na błyszczący w słońcu szczyt ośnieżony Olimpu a w parę lat potem, siedząc w Atenach przy biurku widziałem zło-

te kolumny Akropolu. Dlatego też bez żadnej nadziei na powrót do Grecji pisząc te słowa, przypomnę raz jeszcze te jedne ze szczęśliwszych lat mego życia. Jak ta staruszka która od kilkudziesięciu lat spowiadała się stale z tego samego słodkiego, popełnionego w młodości grzechu przeciwko szóstemu przykazaniu. "Bo to tak przyjemnie przypomnieć".

Na wstępie nazwałem tę książkę "uroczą", bo ma ona swoją lekkością i łatwością czytania niemal jednym tchem, mimo traktowania szeregu spraw i zagadnień poważnych, jakiś dziwny urok któremu ulegli ci z moich znajomych którzy ją przeczytali. Jakże odbiega od nudnych i suchych wspomnień innych dyplomatów! Widać że autor jej jest przede wszystkim literatem, romanistą, wspaniałym "causeur'em" a dopiero w końcu dyplomata. Dyplomata z przypadku, do czego się sam zresztą przyznaje na wstępie. Był m. in. kierownikiem literackim prowadzonego wówczas przez Osterwę teatru polskiego w Kijowie, do którego jako student starałem się z kolegami dostać na gapę. Zresztą sam on, gdyby los inaczej pokierował, mógłby być, jak Zygmunt Nowakowski, doskonałym aktorem i literatem. Pamiętam że śmieliśmy się do łez, kiedy Günter po powrocie ze ślubu króla Albanii, Achmeta Zogu, opowiadał o tej trochę operetkowej uroczystości, "grając" sam jeden prawdziwy jakby wieloosobowy humorystyczny sketch.

Stąd też jego częste konflikty z urzędami warszawskiego MS Zetu. Kiedy przysłano mu z Centrali okólnik aby menu na oficjalnych śniadaniach i obiadach było pisane po polsku (w czyjej to głowie mógł się zrodzić taki szatański pomysł?) odpowiada z powagą podając takie oto próbki tłumaczenia: — "Consommé — Spożyte, Vol au vent aux champignons — Leci na wiatr z grzybkami. Culotte de boeuf — portki z wołu, Parfait — znakomite do zjedzenia etc. Kiedyś, pamiętam, przysłano z Warszawy do poselstwa, w szale patriotyzmu, kosztowne i bynajmniej nie ładne meble, co łącznie z drogim transportem kolejowym kosztowało "les yeux de la tête", kiedy piękne greckie meble można było kupić za połowę ceny, o czym niejednokrotnie pisał do Centrali Günter. Był to pomysł "dyktatora wnętrza", Warchałowskiego, o którym w szopce emeszetowskiej śpiewano": D... nie sługa, nie wie co to style, chce siedzieć wygodnie i tyle. Meble w dodatku były niewygodne, co groziło że jakiś dyplomata zagraniczny mógł łatwo wywalić się na podłogę. Poprosił mnie wówczas W. Günter o zrobienie szeregu zdjęć tych mebli, na których siedzieli członkowie poselstwa w ekwilibrystycznych pozach, markując niefortunnych gości, aby wysłać to do MSZetu. Nic więc dziwnego że w oczach emeszetowskich "rond-de-cuir" był on prawdziwym enfant terrible.

Ale były to drobne utarczki w porównaniu z wielkimi bojami jakie musiał staczać w swej karierze dyplomatycznej z Warszawą. Tak było gdy jako b. radca i chargé d'affaires w Rzymie miał przywitać w Katowicach min. spr. zagr. Italii, Dino Grandi i musiał mu jakoś wytłumaczyć nagły wyjazd z Warszawy do Druskienic marsz. Piłsudskiego, co wszechmocny wówczas i pełen grandezy mąż stanu gotów już był uznać jako afront. Wybrnął jednak z tej trudnej sytuacji tak dobrze, że Grandi nie tylko udobruchał się obdarzony Wielką Wstęgą Po-

lonia Restituta, ale zapragnął złożyć wizytę Marszałkowi w Druskienikach. Wszyscy pamiętają to zdjęcie Grandiego na werandzie druskienickiej w wesołej rozmowie z Marszałkiem. Oglądając je wówczas nigdy w najśmielszych marzeniach nie mogłem przypuścić iż w kilkadziesiąt lat potem w dalekiej Brazylii będę spotykał na ulicach S. Paulo Grandiego, już bez faszystowskiej bródki, jako takiego jak i ja politycznego emigranta!

Jeszcze bardziej dramatyczną sytuację miał W Günther jako poseł w Belgradzie kiedy min. Beck, mimo jego gwałtownych telegraficznych, telefonicznych i osobistych perswazji chciał zaraz po wizycie swej w Budapeszcie odwiedzić Belgrad, ignorując fakt, że na Węgrzech, w obozie Janta Pušta, pod opieką premiera Gömbosa trenują się kroaccy terroryści dla ich akcji wywrotowej w Jugosławii. Dopiero król Aleksander na specjalnej audiencji powiedział min. Güntherowi wyraźnie, że przyjęcie J. Becka jak brata jeśli się uda z Warszawy wprost do Belgradu, ale "nie uściśnie mu ręki wyciągniętej zza wrogich okopów". Mimo to nie zawahano się w Warszawie już następnego dnia po pogrzebie króla Aleksandra, zamordowanego przez jednego z wychowanków Gömbosa, przyjmować węgierskiego premiera z pompą i wylaniem. Skutkiem tych gaff dotychczasowy serdeczny stosunek Jugosłowian do Polski, wytworzony dzięki kilkuletniej pracy Günthera, zmienił się w wrogi i tylko osobista ich sympatia do posła, nie dopuściła do wrogich manifestacji. Gdy się dziś po latach czyta różne pamiętniki naszych dyplomatów trudno się powstrzymać od uczucia wstydu za traktowanie z "mocarstwowym" lekceważeniem i nonszalancją takich "państweczek" jak Rumunia, Jugosławia czy Czechosłowacja, przy jednoczesnej przesadnej i nie wytłumaczalnej miłości do innych. "Car tel est notre plaisir". I to na kilka lat przed największą w naszej historii klęską.

I nie usprawiedliwia nas to, że jedna z największych wówczas potęg, Wielka Brytania, miała za posłów takich ramoli jak belgradzki kolega W. Günthera, Neville Henderson "dziwak, skapiec i samotnik, **obcujący tylko z psami**, który dziewięć miesięcy na dwanaście spędzał poza Jugosławią lub jego ateński kolega M. Palairret. I pomyśleć że pierwszy z nich, po takim belgradzkim "stażu" był wyznaczony ambasadorem na tak ważną wówczas placówkę przy Hitlerze, przebywając na niej aż do wybuchu II światowej wojny! Trudno powiedzieć o nim, że był to "the right man on the right place".

Ostatnie rozdziały swych wspomnień poświęca Günther wypadkom w Grecji po wybuchu wojny światowej. Podziwiał bohaterstwo małej greckiej armii tego zaledwie 8-milionowego narodu, która potrafiła nie tylko wyrzucić ze swego terytorium uzbrojone po zęby o wiele liczniejsze wojsko Mussoliniego, ale wrzuciłaby je do morza gdyby nie pomoc Hitlera. I patriotyczną postawę całego, zjednoczonego wówczas pod wodzą króla narodu, który nie szczędził życia i mienia dla zwycięstwa nad włoskim napastnikiem.

Poselstwo stało przed trudnym zadaniem opieki i pomocy rzeszom polskich uchodźców którzy z Rumunii spłynęli do Grecji. I Günther był chyba jednym z niewielu, jeśli nie jedynym posłem R.P., który w zdecydowany i energiczny spo-

sób zajął się ich ewakuacją, kiedy niemiecka armia zbliżała się do Aten.

Żywo i barwnie opisuje autor swój wyjazd z Aten na Kretę, ostatni wolny skrawek ziemi greckiej, gdzie znalazł schronienie król Jerzy II z rodziną i rządem. Był on bowiem jedynym posłem zagranicznym który towarzyszył królowi na Kretę i dalej do Egiptu i Anglii, dokąd musiał się udać z bombardowanej i pozbawionej żywności wyspy. Przedzierał się król na tej wyspie nocą piechotą przez góry, ścigany przez samoloty niemieckie. Opisem pierwszej nocy w bombardowanym niemieckim "blitzem" Londynie autor zamyka wspomnienia swej kariery w służbie Najjaśniejszej. Książkę odkłada się z prawdziwym żalem, że to już koniec.

Wielka szkoda, że W. Günther, pisząc o stosunkach grecko-polskich, nie wymienił dwóch czynników, które przyczyniły się znacznie w Grecji do poznania Polski i zacieśnienia stosunków pomiędzy dwoma krajami. Były to przechodzące przez Grecję "Polskie Linie Lotnicze "Lot" i "Gdynia-Ameryka Line" której statek "Polonia" regularnie co 2 tygodnie zawijał do Pireusu. Zwłaszcza że to właśnie Günther przyczynił się do przedłużenia linii "Lotu", dochodzącej poprzednio tylko do Salonik, do Aten a następnie dalej do Rodosu, Palestyny i Bejrutu.

To przy placówce salonickiej "Lotu" powstała pierwsza Liga Grecko-Polska. To "Lot" spowodował przyjazd do Grecji z odczytami w języku nowo-greckim prof. Kazimierza Bulasa, przyjmowanego przez Greków z entuzjazmem. To "Liga" wysłała na kopiec marsz. Piłsudskiego w Krakowie w antycznej wazie ziemię z pobojuwiska w Peta, gdzie walczył i zginął niemal cały Legion Polski pod wodzą Mirzewskiego (?) w walkach o niepodległość Grecji. Stara, ale jakże miła "Polonia", cieszyła się wśród Greków powodzeniem dzięki uprzejmości personelu, wygodzie i zwłaszcza wysmienitej kuchni.

Miałem większe szczęście od Günthera, bo raz jeszcze wróciłem do Grecji, tym razem po raz ostatni. Było to pod koniec wojny, zaraz po wycofaniu się wojsk niemieckich. Zostałem Ateny w żałobie. Nie po ofiarach wojny ale po świeżym jeszcze powstaniu komunistów którzy zaleli cały kraj, a zwłaszcza Ateny obficie krwią, dopuszczając się najokrutniejszych zbrodni na starcach, kobietach i dzieciach. Przeżyłem tam blisko trzy lata, ostatnie szczęśliwe w moim życiu, przed pójściem na wygnanie. Byłem tam bowiem jeszcze oficerem dogorywającej już armii polskiej. Jeszcze raz zobaczyłem Akropol o którym pisze Camille Mauclair w swej pięknej, "Le pur visage de la Grèce".

"Akropol jest cały przede mną, podobny do śnieżnego pola, przybrany błyskotkami, iskrzący się, gdzie wznosi się Partenon. Srebrzysta świetlistość tej porannej godziny mieni się kolorami tęczy i jakby pokrywa szronem ziemię z porysowanej i nabrzmiałej skały, o nieregularnych rysach: prawdziwe śnieżne pole..."

J. P. P.

ASTEROIDY

Danuta Mostwin, autorka świetnej powieści: "Ameryko, Ameryko!...", obdarzyła nas ostatnio tomem opowiadań 1) poświęconych przeważnie losom emigrantów polskich w Północnej Ameryce. Opowiadania te, oparte na autopsji, posiadają wszelkie cechy autentyzmu. Będąc fotografią środowiska emigracyjnego, głównie robotniczego, stoją one na pograniczu reportażu. Pozbawia je to w pewnej mierze artyzmu, płynącego z nieskrępowanego zamyśłu twórczego i zbliża pod względem formalnym do zeszlówiecznego pozytywizmu.

Bohaterowie opowiadań amerykańskich Danuty Mostwin, oderwani od ziemi ojczystej, nie wrośli w obcą glebę i stąd, choć nie uzmysławiają sobie tego, są rozbitkami, lub jak chce autorka — "asteroidami". Życie Kramarza ze "Strycicia z Ameryki" i Twardowskiego z "Testamentu Błażeja", jako emerytów, jest vegetacją. To już nie są ludzie tylko wraki. Przed śmiercią, którą wyczuwają jak zwierzęta, budzi się w nich tęsknota do życia rodzinnego. Samotność przytłacza ich; chcieliby owoc całego żywota, pieniądze, przekazać krewnym. Nadało by to pewien sens ciułaniu dolarów, odmawianiu sobie wszystkiego przez długie lata. Nie są, uchowaj Boże, skąpcami. Dawanie sprawia im przyjemność. Kramarz pozwala bez wahania głupiej i wietrznej bratanicy trwonić swój majątek. Twardowski dalekiej kuzynce z Pittsburga, Frances, której kupuje palto na Gwiazdę, powiada: "...wybiraj. To ona sobie takie za 50 dolarów wybrała. A ja mówię, to to **cheap**, weź takie o tam, za dwieście!"

Mimo tej dobroci i bezinteresowności ani Kramarz, ani Twardowski nie wzbudzają w nas sympatii. Jeżeli stanowią odzwierciedlenie starej emigracji, a opis Danuty Mostwin zdaje się to potwierdzać, jakże to źle świadczy o środowisku emigracyjnym, o tępotcie tego środowiska, braku celu, poza oszczędzaniem dolarów; jakże w porównaniu z tym barwnie i ciekawie wygląda życie chłopca polskiego z jego głębokim przywiązaniem do ziemi, zbliżeniem do przyrody. I Kramarz i Twardowski nie mają, właściwie, nic z życia. Choćby raz przynajmniej popili sobie i pojedli uczciwie, powłóczyli z jakąś dziwką. Ale nawet do tego nie są zdolni. Czyżby to była wina technokratycznej atmosfery amerykańskiej?

Jezeli można czego życzyć Danucie Mostwin to — wyjścia z zaścianka emigracyjnego. Rozumiem, że każdy z nas ma jakąś obsesję. Taki np. Adolf Rudnicki nie potrafi się wychylić poza tematykę okupacyjną. W pewnym momencie zaczyna to już jednak drażnić.

Są w tomie dwa opowiadania nie emigracyjne, które stawiam najwyżej: "Oświadczyzny" i "Trzy kubła" (nawiasem mówiąc dlaczego nie kubły, toż to straszliwy prowincjonalizm to kubło!). Podziwiam w nich doskonałe dialogi, świeżość ujęcia, dojrzały styl, zwartość, świetną puentę i szczerze gratuluję autorce.

Na zakończenie mała uwaga co do tytułu książki. Otóż asteroidy, niewielkie planety krążące pomiędzy orbitami Marsa i Jowisza, nie powstały, jak twierdzi autorka, wskutek kolizji dwóch wielkich planet, lecz prawdopodobnie w wyniku

wybuchu planety wielkości mniej więcej naszej Ziemi. Planeta ta w chwili katastrofy miała jeszcze jądro składające się z silnie rozgrzanych gazów. Pod wpływem zbytniego zbliżenia jej do Jowisza ciśnienie w jądrze zwiększyło się gwałtownie, nastąpiła eksplozja i rozproszenie odłamków po przestrzeni kosmicznej (jednak w obrębie układu słonecznego). W wypadku kolizji katastrofa miała by odmienny przebieg: wobec dużej masy i prędkości obu ciał niebieskich w momencie zetknięcia została by wyzwolona ogromnie wysoka temperatura, która zamieniła by te ciała w jeden gorejący stos.

1. Danuta Mostwin. Asteroidy. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1965. Str. 240.

Seweryn A. Hartman

CZERWONA WIOSNA

Ukazanie się powieści "Czerwona wiosna" Józefa Łobodowskiego stanowi niewątpliwie zjawisko literackie 1).

Jest to druga próba prozatorska utalentowanego poety 2) (nie licząc wspomnień, ogłoszonych na łamach paryskiej "Kultury") i trzeba to podkreślić — udana. Inna rzecz, że i w tej powieści element wspominkarski góruje nad całością. Józef Zakrzewski, podobnie jak Łobodowski w młodości, jest aktywnym komunistą na terenie Lublina i autor chciał, niewątpliwie, pokazać na przykładzie swego bohatera dlaczego wystąpił z partii.

Dzięki temu zaś, że zna doskonale realia powieść ma wszelkie cechy dokumentu, nie tracąc przy tym walorów literackich. Szczególnie dobrze ukazuje Łobodowski lubelskie środowisko robotnicze i żydowskie. Wszystkie dramatis personae, nawet drugoplanowe, są kapitalnie ujęte. Razi jedynie, jak na mój gust, zbytnie przesycenie powieści erotyzmem. Zakrzewski wydaje się równie dobrym działaczem komunistycznym jak babiarzem. Co spódnica to nieprzyjaciel. Nie wyłazi prawie z kółka. Dlatego nie radziłbym dawać tej książki dorastającym panienkom, choć jak powiadają sceptycy — panienki wiedzą teraz znacznie więcej, niż my, stare byki.

Do szczegółowego omówienia powieści powrócimy jeszcze po wyjściu w niedługim czasie drugiej jej części: "Terminatorów rewolucji", a na razie ograniczamy się do tej krótkiej wzmianki, zalecając czytelnikom zapoznanie się z książką. Naprawdę warto.

1) Józef Łobodowski. Czerwona wiosna. Polska Fundacja Kulturalna. Londyn, 1965, str. 320.

2) Po ogłoszonej przed kilku laty na łamach "Orla Białego" powieści "Komysze", i drugiej jej części, której tytułu nie pamiętam.

Zbigniew Stachowiak

WOJNA I SEZON

"Im jestem starszy tym bardziej nie lubię autorów piszących literacko. Nudzą mnie także historie o miłości, o ambicji i w ogóle powieści. Przerzuciłem się na prawdę, oraz na mądrość w pigułkach. Mój pomysł: jak są książki dla dzieci, należy wy-

dawać i specjalne dla starców". Ten aforyzm Jean Dutourd'a (?) znalazłem przypadkowo w "Przekroju", kiedy, omawiając książki, chciałem to samo, mniej więcej, powiedzieć o sobie. Rzeczywiście już od dobrych kilku lat z trudem przychodzi mi przeczytanie powieści "pur sang", tj. tego co trafnie określa się po angielsku jako "fiction", fikcję czyli sztuczny wymysł autora. Czytam więc teraz prawie tylko (a czytam bardzo dużo polskich, francuskich i rosyjskich książek) wszelkiego rodzaju pamiętniki, wspomnienia, opisy podróży itd. itd. Wyjątek stanowią te powieści, które są właściwie autobiografią autora, występującego jedynie pod jakimś innym, przybranym nazwiskiem.

Taką autobiograficzną powieścią jest właśnie "Wojna i Sezon" Michała K. Pawlikowskiego, stanowiąca dalszy ciąg, jak by drugi tom "Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego". Jest bowiem sekretem poliszynela że pod tym nazwiskiem kryje się autor tej "powieści", opisujący w niej całe swoje życie, od wczesnego dzieciństwa, poprzez młodość i wiek dojrzały aż do wybuchu wojny 1939 r. i klęski wrześniowej kiedy to opuścił pewnie na zawsze Polskę i poszedł na tułaczkę. I wszystko to na tle życia polskiego, najprzód na dawnych kresach Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, w Mińszczyźnie, zarówno w jej stolicy, Mińsku, jak i w okolicznych majątkach przed rewolucją rosyjską, która doszczętnie wymiotła całą polską ludność z tych dawnych ziem polskich.

"Wojna i Sezon" jest także jakby krótkim konspektem wypadków w Rosji w czasie I wojny światowej, ze specjalnym uwzględnieniem sprawy polskiej, nastrojów Polaków po znanej odezwie w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, nadziei z nią związanych, następnie rozczarowania gdy się okazało że był to jedynie do niczego nie obowiązujący gest dla przyciągnięcia "buntowoszczaków" — Polaków na stronę rosyjską, co się zresztą doskonale udało na początku. Sam się muszę przyznać, że będąc w tym samym czasie studentem w Kijowie i należąc do tajnej organizacji niepodległościowej, a więc w założeniu wrogiej Rosji a w dodatku mając rodzinne tradycje powstańcze r. 31 i 63, — byłem przez jakiś czas entuzjasta wspólnej z Rosjanami walki przeciwko odwiecznemu wrogowi Słowiańszczyzny, Niemcom. Czyż można było się dziwić nastrojom w Kraju w pierwszych latach po tak strasznej niemieckiej okupacji?

Po pierwszych sukcesach, porażki rosyjskiej armii na frontach, szalone braki broni i amunicji, dworskie intrygi, Rasputin i fatalna rola cesarzowej, wszystko to w rezultacie doprowadziło do marcowej a wkrótce i październikowej, bolszewickiej rewolucji, "bezkrwawej" jak ją przedwcześnie nazwano. Przygody Irteńskiego-Pawlikowskiego w tym rozbijałym czerwonym morzu, jego dostanie się wreszcie do odrodzonej już Polski, pobyt i praca w kresowym starostwie a następnie w województwie wileńskim, daje mu powód do opisu wszystkich wypadków politycznych i nastrojów naszego międzywojnia. Jak widać z oświadczeń autora, nie leżą mu na sercu zbytnio pomajowe rządy sanacyjne. Rysuje on ostro sylwetki wielu postaci politycznych a także szeregu znanych na tamtejszym terenie osób, wśród nich takich oryginałów jak np. Bohdan Żalutyński, zresztą stosownie do zapowiedzi w I tomie, że: "Wszystkie postacie występujące w powieści są prawdziwe".

Osobny dział tej ciekawej "powieści" stanowią opisy polowań na pñ. - wsch. kresach. Tu nie ma wątpliwości, że autor jest zawołanym myśliwym i osobiście przeżył te łowieckie przygody a pięknym językiem i barwnością ich opisu nie ustępuje wcale Weyssenhoffowi. Należy mieć nadzieję, że M. Pawlikowski nie pozostawi niedokończonym żywot swego sobowtóra, Irteńskiego, i wyda trzeci tom swej powieści - autobiografii, opisując przeżycia w II wojnie światowej i pobyt w St. Zjednoczonych, gdzie jest lektorem na uniwersytecie w Berkeley w Kalifornii, a skąd przesyła bardzo ciekawe reportaże do prasy polskiej na emigracji.

J. P. P.

Z KRONIKI KULTURALNEJ SÃO PAULO

Z KLUBU 44

Tegoroczna działalność kulturalna "Klubu 44" została co-kolwiek zahamowana trudnościami administracyjnymi i kłopotami jakie z nich wynikły. Dotyczyły one, w pierwszym rzędzie, sprawy przedłużenia kontraktu lokalu klubowego (kiedy wreszcie będziemy mieć własny?) oraz gry w karty. Mimo to, jeśli ilość wieczorów w tej pierwszej części roku była mniejsza niż w latach poprzednich, to te co się odbyły stały na bardzo wysokim poziomie i odbiegały znacznie od zwykłego ich charakteru swoją nieszablonowością.

Tegoroczny sezon rozpoczął. Wieczór Sylwestrowy, obchodzony jako Jubileusz 10-lecia istnienia Klubu. W pięknie udekorowanej sali, gdzie białe oparcia krzeseł i czerwone obrusy na stołach z kwiatkami tworzyły z miejsca wesoly nastrój, zebrał się liczni członkowie z rodzinami i przyjaciółmi. Wieczór zagał prezes Klubu, Henryk Jonas, przemówieniem swym, które przytoczyliśmy w całości w nr 2 "Skarpy", dając przegląd 10-cioletniej działalności Klubu, po czym rozpoczęła się część artystyczna wieczoru, której program opracowali, jak zwykle niezawodni pp. E. Baderowie, M. Grabowski i Z. Nassalski, a wykonali z werwą i humorem pp. Baderowa, J. Pfefferowa, B. Sieradzka, L. Biłyk, M. Grabowski, Z. Nassalski i F. Piotrowski. Salwy śmiechu i rzesiste brawa były nagrodą dla autorów i wykonawców za świetnie podane, pełne humoru i satyry dowcipy na stosunki Polonii paulistańskiej, zwłaszcza na klubowe życie członków.

Po kolacji, o północy, obecni składali wzajemnie życzenia i pili zdrowie Klubu, przy "pokojowych" wystrzałach korków szampana, poczem przy doskonałej orkiestrze tanecznej zabawa przeciągnęła się niemal do rana.

* * *

Dnia 22 lutego w lokalu Klubu Stowarzyszenie Polskich Kombatantów podejmowało Dostojnych Gości, gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego z Małżonką. Wielka sala klubowa była przepełniona, gdyż przywitać drugiego po Marszałku Piłsudskim Żołnierza Rzpltej Odrodzonej oprócz kombatantów przybyli liczni członkowie Klubu, jak też i prezes Związku Francuskich. b. Kombatantów z małżonką. Dzięki urokowi Generała i jego bezpośredniemu żołnierskiemu podejściu do swoich b. podkomendnych atmosfera od początku stała się koleżeńską a i Generał czuł się w tym dobrze, co podkreślił w swoim przemówieniu wygłoszonym po udekorowaniu Złotym Krzyżem Zasługi trzech zasłużonych działaczy, prezesa SPK, W. Scipio del Campo, F. Piotrowskiego, w. prezesa SPK i Klubu 44, oraz Henryka Jonasa, prezesa Klubu. W swym przemówieniu gen. Sosnkowski podkreślił konieczność naszej emigracji zachowania swej polskości i pilnego baczenia, aby żadna międzynarodowa decyzja w sprawach polskich nie odbyła się bez naszego udziału i wiedzy. W koleżeńskim nastroju i przy wspomnieniach wojennych zebranie przeciągnęło się do późnej godziny, pozostawiając po sobie niezatarte wspomnienia spotkania z taką jak gen. Sosnkowski wybitną postacią.

* * *

W dn. 31 marca odbyły się w Klubie wybory nowego Zarządu i Rady. Na skutek nalegań i prób b. prezesów i Rady. dotychczasowy prezes, Henryk Jonas, zgodził się raz jeszcze objąć prezesurę, co stanowi niezwykle pomyślne zdarzenie w dziejach klubu, gdyż jako członek jego zarządów od chwili założenia i kilkakrotny prezes wykazał nie tylko wielkie zdolności organizacyjne, administracyjne i finansowe ale i, co najważniejsze, wielkie poświęcenie się tej społecznej pracy, często ze szkodą dla tak należnych mu po ciężkiej zawodowej pracy godzin odpoczynku. Skład Zarządu i Rady nie uległ większej zmianie, gdyż wielu ich członków pozostało na zajmowanych przez nich dotychczas stanowiskach.

* * *

W dn. 19 maja, w ramach współpracy z "Alliance Française" odbył się w Klubie wieczór p. t. "50 lat poezji francuskiej" w wykonaniu pani Maulde Christen i pana Bernarda Diez, profesorów "Alliance" i czołowych aktorów francuskiego teatru "Strapontin". Na program składały się poezje z okresu lat 1913-1963 takich poetów jak B. Cendrars, Jacques Prevert, Guillaume Apollinaire (Polak, Kostrowicki) Paul Fort, Jean Cocteau, R. Desnos, Charles Vildrac, Jean Tardieu, Jules Ro-

mains, Patrice de la Tour du Pin, Francis Jammes, Max Jacob, Paul Valery, Tristan Tzara, Louis Aragon i wielu innych.

Liczne grono słuchaczy, siedząc w półkoło, z zapartym oddechem słuchało kolejnej recytacji artystów, których wspaniała dykcja i modulacja głosu i mimika, począwszy od wejścia na estradę, stały na najwyższym poziomie i były związane ściśle z treścią wypowiedzanego wiersza. Toteż każdy z utworów wywoływał burzę oklasków słuchaczy. Należy też podkreślić, że nazwiska wyżej wymienionych poetów jak najlepiej charakteryzują pół wieku nowoczesnej poezji Francji, a całość wykonania świadczy o zbawiennym wpływie na recytatorów mistrza francuskiego teatru, Jean Louis Barrault, którego mieliśmy możność podziwiać w Brazylii.

"Alliance Française", która od kilku lat mieści się we własnym nowoczesnym gmachu, posiada w nim wielką salę teatralną z najnowszymi instalacjami technicznymi i kinowymi. Z odbywających się w niej przedstawień teatralnych, koncertów i pokazów filmowych mogą często korzystać członkowie Klubu 44. Ostatnim takim pokazem był w dn. 31 maja film J. P. Sartre'a "La p... respectueuse", wyświetlony dla członków i uczniów "Alliance". Przewidziane są również dalsze odczyty, pokazy i wystąpienia francuskie w naszym lokalu klubowym. Wobec powodzenia tego rodzaju imprez, zarząd ma zamiar nawiązać kontakty z kulturalnymi organizacjami innych narodowości, zamieszkujących S. Paulo. Taki kontakt i współpracę mamy już z Gener. Konsulem St. Zjednoczonych A. P., który wypożycza nam filmy ze swej bogatej filmoteki.

* * *

Tegoroczne "Uroczystości Majowe", zawierające rocznice Konstytucji Majowej — nasze Święto Narodowe — 30-lecie zgonu Marszałka Piłsudskiego, 25-lecie Zbrodni Katyńskiej i 21-lecie Monte Cassino, swoim inteligentnym opracowaniem, artystycznym ujęciem, i wykonaniem jak i zwięzłością, daleko odbiegły od zwykłych, nudnych i ciągnących się w nieskończoność akademii narodowych, przy których wykonawcy tylko dlatego nie zasypiają, że są... zajęci. Bezprzecznie jest to zasługa sekretarza Klubu, Alfreda Stroynowskiego, który był tego wieczora reżyserem, autorem i wykonawcą, komentarzy a jego słowa o bitwie o Monte Cassino brzmiały tym bardziej przekonująco że sam on był jednym z jej bohaterów (Virtuti Militari). Irena Kacówna ze zwykłym swym mistrzostwem i uczuciem odegrała 3 mazurki Chopina, a Krystyna Ciesielska mocno i melodyjnie wypowiedziała "Pogrzeb Kazimierza Wielkiego" Wyspiańskiego. Dwie krótkie (!) pogadanki wygłosili M. Lissowski i J. Piątkowski.

Z tego zwięzłego sprawozdania widać że Klub 44 nie jest jedynie miejscem rozrywek, ale odgrywa w życiu kolonii polskiej w S. Paulo rolę ośrodka polskiej kultury i języka. Należy więc życzyć, aby przetrwał nie jedno dziesięciolecie.

JOTA PI

W ostatnich kilku latach na czoło polskich organizacji społecznych w S. Paulo wysuwa się Koło "Stowarzyszenia Polskich Kombatantów" — Federacja Światowa. Dzieje się to, przede wszystkim ze względu na jego charakter apolityczny przy jednoczesnej ideologii niepodległościowej. Ma ono ponadto charakter uniwersalny, wszechświatowy, gdyż jednoczy tych wszystkich rozsiąanych po całym świecie dobrowolnych emigrantów-żołnierzy, którzy na tym czy innym froncie, w tej czy innej formacji walczyli o Rzeczpospolitą. Tym samym jest rzeczą naturalną, iż znajduje ono zrozumienie, poparcie i współpracę takich samych b. kombatantów tych wszystkich alianckich narodów, z którymi ramię przy ramieniu, członkowie SPK, polscy żołnierze, walczyli w dwóch wojnach światowych o te same ideały wolności i demokracji. Takie braterstwo broni, gorące poparcie i serdeczną przyjaźń znaleźli polscy, żołnierze w S. Paulo u swoich brazylijskich towarzyszy ze Związku b. Kombatantów Brazylii z Korpusu Ekspedycyjnego Armii Brazylijskiej, F. E. B. Stanu i miasta S. Paulo, w osobach prezesa pierwszego, prof. N. Pitan e Silva i sekretarza drugiego, Francisco dos Santos.

Związek b. Kombatantów (Anciens Combattants) powstał po raz pierwszy we Francji po I Wojnie Światowej i miał na celu obronę interesów tych milionów b. żołnierzy pierwszej w dziejach ludzkości strasznej, totalnej wojny, którzy po jej zakończeniu znaleźli się dosłownie na bruku, mając w swym gronie setki tysięcy inwalidów, chorych, zagazowanych, wykolejonych, bez pracy a przy tym obarczonych często rodzinami. Chodziło o nie dopuszczenie aby ci wszyscy, którzy walczyli latami w strasznych warunkach wojny okopowej, po minięciu niebezpieczeństwa i osiągnięciu dzięki ich poświęceniu zwycięstwa, nie zostali natychmiast zapomnieni przez społeczeństwo i wyrzyceni poza jego nawias, jak się to działo po poprzednich wojnach. W tym celu stworzone zostało wówczas nawet specjalne Ministerstwo b. Kombatantów, które przetrwało do dzisiaj. Za przykładem Francji poszły walczące z nią w sojuszu Anglia, St. Zjednoczone A. P. i inne mniejsze państwa alianckie, a wreszcie na końcu Niemcy. Niestety, o ile ci wszyscy mieli na celu zapobieżenie na przyszłość strasznej masakry niemiecki związek b. żołnierzy, jak np. Stahlhelm, hodował w swym gronie ducha odwetu i agresji, czego dał dowód w II Wojnie Światowej.

Los polskiego żołnierza był jeszcze bardziej opłakany, bo oprócz wszystkich skutków strasznej wojny stracił jeszcze dom i ojczyznę, a więc i normalną opiekę swego rządu, przeszedłszy Katyń, więzienia, łagry i zsyłki sowieckie, obozy niemieckie, hiszpańskie i inne. Zmuszony był emigrować do obcych krajów, bez środków i znajomości języka, często bez fachu... Dlatego też największa troska i cel zarządu SPK jest skierowana ku pomocy tym kolegom lub wdowom po nich, którzy na skutek chorób czy innych nieszczęść są pozbawieni środków do życia. Pod tym względem należy podkreślić zasługi prezesa Koła, W. Scipio del Campo i wiceprez. F. Piotrowskiego, którzy, nie zrażeni początkowym brakiem zainteresowania b. żołnierzy w S.

Paulo organizacją SPK, z uporem pracowali nad jego rozwojem. Toteż słusznie im się należały te wysokie odznaczenia jakie otrzymali z rąk gen. K. Sosnkowskiego, b. Naczelnego Wodza i najbliższego Marszałkowi Piłsudskiemu żołnierza.

Potrąfili oni zainteresować Kołem SPK szereg polskich firm, które opodatkowały się miesięczna pomocą, co pozwoliło na udzielanie w nagłych wypadkach czy to bezwrotnych zapomóg czy terminowych pożyczek. Niezależnie od tego Koło uzyskiwało dla swoich członków pomoc od zarządu Gł. SPK w Londynie lub od kół pułkowych lub organizacji specjalnych rodzajów broni. Niestety, byli tacy co uzyskawszy taką pomoc, odwdzięczają się Kołu prowadząc akcję... przeciwko niemu! Należy podkreślić, iż w całej Brazylii Polacy nie mają żadnej organizacji pomocy, wówczas, gdy np. inwalidzi rosyjscy z I wojny światowej mają dotychczas specjalną bogatą i doskonale działającą taką instytucję!

Ale na tym nie koniec. Wspomniani koledzy z Zarządu, korzystając z więcej niż przyjacielskiego stosunku brazylijskich kombatantów i za ich radą i poparciem uzyskali prawo korzystania z apteki i sklepu 4.° Strefy Lotniczej, gdzie ceny są o wiele niższe od rynkowych. A, każdy wie jaką pozycję w budżecie stanowią lekarstwa! Wystąpili też do Parlamentu Stanowego (Assembléia Legislativa) o przyznanie SPK statutu organizacji użyteczności publicznej (utilidade publica), a do Rady Miejskiej o zwolnienie jego członków z opłat podatku przy kupnie nieruchomości (sisa). Obie te sprawy są na najlepszej drodze i być może niedługo Koło będzie rozporządzać większymi środkami, co pozwoli skuteczniej przychodzić z materialną pomocą potrzebującym kolegom. A jeśli pozwolimy sobie pomarzyć, to i może i przeniesiemy się do własnego lokalu. Dziś bowiem gościny udziela bardzo dla nas życzliwy Klub 44.

To jest strona materialna, tak niestety ważna przy rosnącej stale drożźnie i... idących latach. Ale jest jeszcze jedna, ważna, kulturalna, ideologiczna. Jak powiedziano na wstępie, jest to organizacja stojąca ściśle na stanowisku niepodległościowym i pod tym względem ma ona gorące poparcie swoich brazylijskich kolegów i władz. Współpracuje też z Klubem 44, urządzając wspólnie z nim i w jego lokalu wszystkie uroczystości i obchody.

Koło SPK bierze też żywy udział we wszystkich przejawach życia ogólnie kombatanckiego w São Paulo, uczestnicząc ze swym sztandarem w brazylijskich rocznicach wojennych i uroczystościach na równi z kombatantami francuskimi, belgijskimi, angielskimi i pfn. amerykańskimi. Znacząca grupa naszych kolegów wzięła z solidarności udział w trwających prawie cały maj uroczystościach XX-lecia zakończenia II wojny światowej, pomimo iż data ta dla Polaków, walczących na wszystkich niemal frontach była raczej datą tragiczną utraty naszej niepodległości i okrojenia Polski.

Z bogatego programu tych uroczystości najliczniejszy udział wzięli Polacy w defiladzie 8 maja, maszerując z innymi alianckimi kolegami ze sztandarami na czele świetnie się prezentujących oddziałów brazylijskiego wojska federalnego i stanowego, przed trybunami na których, znajdowała się cała generacja z gen. A. Kruelem, dow. II Armii i władzami gubernator-

stwa. Niezwykle serdeczny koleżeński charakter miał "Obiad Zbratania" zorganizowany dla brazylijskich i alianckich kombatantów oraz specjalnie zaproszonych osobistości. W wielkiej sali klubu "Libano" zgromadziło się przeszło 300 osób, z dow. II Armii gen. Kruelem i generalicją, prefektem Faria Lima i licznymi przedstawicielami polityki, prasy etc. na czele. Siedzieli oni przy honorowym stole, na tle sztandarów państwowych, stanowych i wszystkich alianckich organizacji kombatanckich. W czasie b. wytwornego obiadu szereg przemówień wygłosili wybitni przedstawiciele władz i społeczeństwa. Wykonano wiele międzynarodowych piosenek wojennych, a doskonała orkiestra wojskowa uprzyjemniała czas muzyką. Obiad pozostawił po sobie niezatarte wspomnienie, pozwolił nawiązać szereg nowych znajomości i był rzeczywiście zbrataniem się b. wojskowych.

W tut. Kole S.P.K. mamy szereg wybitnych wojskowych, m. in. ppłk. dypl. S.P. Koszustkiego dow. pułku czołgów i bohatera walk pod Falaise, Maczugą itd., który w dywizji gen. Maczka zdobył Krzyż Virtuti Militari lub por. A. Stroynowskiego, o którego bohaterskich czynach pisze M. Wańkowicz w swej "Bitwie o Monte Cassino". Na jego piersi też widnieje błękitnoczarna wstążeczka Virtuti...

Za przykładem São Paulo, poszło Rio de Janeiro, organizując w ub. r. Koło SPK, bardzo czynne i dynamiczne, które wystartowało urządzając wspaniałe 2 sierpnia 20-tą rocznicę Powstania Warszawskiego, z udziałem Kardynała, władz wojskowych i cywilnych, alianckich attaché wojskowych, etc. Koło to cieszy się specjalną sympatią i opieką miejscowych władz wojskowych. Takie same Koło jest w stanie organizacji w Belo Horizonte, w st. Minas Gerais. Byłoby ze wszech miar pożądane aby we wszystkich miejscowościach, gdzie tylko zamieszkuje kilku b. wojskowych polskich powstały podobne Koła SPK, związane ze sobą i z Zarządem Głównym w Londynie, jak to ma miejsce w São Paulo i Rio czy Belo Horizonte. Bo wtedy przy istniejącym tak wielkim poparciu i pomocy ze strony władz brazylijskich tej idei kombatanckiej, będziemy mogli nie tylko sami korzystać z pomocy ale i dawać taką pomoc naszym potrzebującym kolegom i przede wszystkim, walczyć z powodzeniem o ideały Polski Niepodległej.

Jota Pi

MURZYN

(D. c. z n.º 2)

Wąs skurczył się jakby go kto żgnął nożem w bok. Nie wiedział co robić — odpędzić człowieka, czy pozwolić zostać. Ponieważ szczerłość wyznania wymagała równie szczerzego potraktowania, powiedział:

— Zostań.

Podziałało to na Murzyna jak magiczne zaklęcie. Plecy mu się wyprostowały. Spoglądał teraz normalnie, bez bojaźni, że zostanie potraktowany jak intruz. Wąs czuł się natomiast nieszczególnie, żałował odruchu litości. Wokół rozciągał się las, dzika puszcza, do ludzi daleko. Gdyby mu się coś przydarzyło nikt się o tym nie dowie. Nawet nie będzie komu powiadomić rodziny o nieszczęściu.

Poruszył się niespokojnie.

— Zabiłeś — twoja sprawa. Myślę jednak, że miałeś do tego ważne powody.

— Nie.

— Nie?... — zdziwił się Wąs.

I nagle uprzytomnił sobie, że nadmiar ciekawości może być niebezpieczny. Diabli wiedzą jakie zamiary żywił do niego Murzyn. Trzeba go było usposobić przychylniej i dlatego powiedział:

— A nie jesteś czasem głodny?

— Nie, dziękuję, niedawno jadłem.

— To dobrze. Śpijmy.

Murzyn rozciągnął się opodal podkładając ręce pod głowę. Dopóki ognisko płonęło jasnym i wesołym płomieniem Wąs obserwował przybysza spokojnie. Leżał nieruchomo, miał wrażenie, że zasypia. Gdy jednak ogień przygasł i jego blask skurczył się, wydało mu się, że Murzyn unosi z lekka głowę i spogląda w jego kierunku. Być może upatrywał sposobnej chwili. Serce zabiło głośniejsz i krew nadpłynęła mu do głowy.

Wstał, dorzucił dREW do ognia i powiedział surowo:

— Daj nóż i pistolet, *amigo*, inaczej oka nie zmrużę do rana, a jestem zmęczony i chcę wypocząć.

— Boisz się?

— Nie wiem. Jesteś mordercą i nie wpływa to na mnie krzepiąco.

— Co z tego, że oddam broń, kiedy mogę cię udusić gołymi rękami? Chyba widzisz, że jestem silniejszy.

— To prawda, ale nie wierzę, byś się odważył.

Murzyn cisnął Wąsowi fakon i pistolet i odsunął się dalej, w mrok.

— Z tym morderstwem nie jest tak, jak mówiłem. Nie zabiłem, ale policja podejrzewa mnie.

— Nie musisz się spowiadać. Cokolwiek byś powiedział — prawdę czy kłamstwo — niekoniecznie uwierzę.

— Pewnie. Chcę jednak byś mi zaufał — nikogo nie skrzywdziłem.

3

Pracę przy budowie drogi utrudniały częste deszcze i jeszcze częstsze pijatyki. Werner denerwował się, przeklinał, biegał i popędzał ludzi. Zwykle opanowany i chłodny teraz stał się uosobieniem człowieka ponoszonego przez nerwy. Termin, w którym miał oddać gotową do użytku drogę zbliżał się szybko, pragnął więc wywiązać się z zadania honorowo. Niezależnie od tego pertraktował z władzami powiatowymi o budowę nowego odcinka drogi mającego połączyć te okolice z granicą argentyńską nad rzeką Urugwajem.

Pracowano niejednokrotnie w widne noce księżycowe. Ci i owi zrymali się na to. Pospiech wydawał się im zbyteczny. Czech był wściekły na Niemca.

— Zwariował chłop, — kłął. — Myśli pewnie, że ma z niewolnikami do czynienia. Niech poszuka jeszcze dziesięciu takich diabłów jak Tavares, a robotę migiem wykończy — dodawał wskazując — Murzyna. — Gdzie go znalazłeś?

— W lesie. Przyplątał się, co miałem z nim zrobić?

— Czasami zdaje mi się, że go gdzieś widziałem, nie mogę sobie tylko przypomnieć gdzie.

— Zwiduje ci się.

— Napewno. Wiele rzeczy mi się zwiduje. Często sam już nie wiem, co jest rzeczywistością a co ułudą. W oczach mi się dwoi i troi... Choćby na przykład teraz: przecież jeden tylko Werner jest na świecie, a ja widzę ich dwóch, a nawet więcej...

Wąs spoglądał na Zilacka z obawą. Czech pocierał dłonią czoło i oczy. Chwiał się na nogach. Widocznie znowu się zalał.

— To przez przepicie.

— Jakie tam przepicie? — oburzył się Czech. — Jeszcze nie widziałeś mnie pijanego. A nawet, gdy wypiję to nie wiesz co potrafisz. Czy widzisz muchę na tamtej laranjeirze?

— Widzę. No?...

— A ja nie widzę. Ale daj rewolwer, zobaczysz czy nie trafię.

— Nie gadaj głupstw, tylko bierz się do roboty bo Niemiec już leci.

— A niech leci — cholera z nim! Ale, wiesz, ten Murzyn czasami nie schodzi mi z myśli. Napewno go gdzieś widziałem. Oni wszyscy są do siebie podobni, bo tacy diabelnie czarują. Czy w nocy psy czy koty nie są podobne do siebie? Są. A dlaczego? Bo czarne. Tak samo z Murzynami. Hej, Tavares, chodź no tutaj — zawołał.

Murzyn zbliżył się niechętnie i oparł na łopacie.

— Słuchaj, gdzieśmy się widzieli?

Tavares potrząsnął głową przecząco, ale w oczach można było wyczytać tajoną obawę. Czech poskrobał się w rudą brodę i mruknął:

— A jednak gotów jestem przysiąc, żeśmy się kiedyś spotkali.

— Może spotkałeś mego brata?

— A gdzie on mieszka?

— Na estancji Umbuzeiro.

— Nie, nigdy tam nie byłem.

Oczy Murzyna zweźliły się i białka zniknęły pod zmrużonymi powiekami. Zawrócił obojętnie i poszedł do opuszczonej taczki, bo Werner już leciał z krzykiem, że nie pracują tylko wiec urządzają.

Przed zakończeniem ostatniego odcinka drogi Wąs wybrał się do lasu niby na polowanie i przez długi czas nie wracał. Na trzeci dzień Murzyn, za poradą Czecha, poszedł go szukać. Znalazł go akurat nad rzeką, w miejscu gdzie tworzyła kolano i woda z wartkim szumem toczyła się po kamiennych progach. Wąs siedział na kamieniu i medytował.

— Co tu robisz?

— Nic. Ten las dokoła i ten dostęp do rzeki muszą być moje.

W oczach Tavaresa odmalowało się zdziwienie. Wiedział z doświadczenia, że biali są pomyleni: przeważnie przez wodkę. Ale temu naprawdę pomieszały się klepki. Las na własność? Co za pożytek z własności, gdy nikt nikomu nie zabroni włóczyć się po gęstwinie we wszystkich kierunkach.

— Słuchaj, Zilacek niepokoi się o ciebie.

— A co mu do mnie? Niech pilnuje siebie. Ale powiem ci: on więcej jest zainteresowany tobą, niż mną. Widzę to po nim. stale wodzi oczami za tobą. Coś w tym musi być.

— Chce sobie przypomnieć tylko nie może. Pamięć pijacka jakoś mu nie dopisuje.

— Ale jest na dobrej drodze, prawda?

Wąs obserwując Murzyna spod oka zauważył jak mu się szczęki zwały nagle, nozdrza rozdeły na moment i białka oczu zabłyśły dziko. Trwało to krótko. Znow był tym samym człowiekiem — obojętnym i leniwym.

— Nie wiem. Czasem wydaje mi się, że Zilacek bierze mnie za kogoś innego. Chyba to przez pijaństwo. Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby był trzeźwy.

Rychło porzucili tę rozmowę. Wąs zajęty był swoimi sprawami. Cieszył się, że niedługo sprowadzi rodzinę i zastanawiał się nad miejscem osiedlenia. Marzeniem była rzeka i las, ale rozsądek kazał myśleć o osadzie, dokąd chodził po zakupy. Tam rodzina miała zapewnione pełne bezpieczeństwo, podczas gdy na pustkowiu można się było spodziewać wszystkiego.

— Co ty na to? — zwrócił się Murzyna.

— Ja? Chcesz, to ci powiem. Powiadasz, że masz córki, więc posłuchaj dobrej rady: nie sprowadzaj ich do lasu. Więcej tu mężczyzn, niż kobiet i każdy ogląda się za byle jaką spódniczką, obojętne co się w niej znajduje. Będziesz miał tylko kłopot; z rewolwerem w garści musisz pilnować dziewictwa córek...

— Ale to są jeszcze dzieci.

— Tym bardziej powinien je ochraniać.

Wąs dziwił się szczeroci z jaką Murzyn wyłożył swój pogląd na osiedlenie się w puszczy i kiwał głową niby z aprobatą. Myślał jednak swoje. Za nic w świecie nie pominie okazji, która się trafia. O los córek był spokojny. Zapewni im bezpieczeństwo. Żonę miał energiczną, mógł na niej polegać. Murzyn mówił prawdę, dokoła roztaczał się dziki kraj. Każdy chodził tu samopas i robił co chciał. Kobieta — młoda czy stara, ładna czy brzydka — była łakomym kąskiem dla mężczyzn, nie widzących płci odmiennej nieraz całymi miesiącami. Ale mężczyzna, który potrafił uciąć zalecanki do towarzyski czy córki, budził respekt i takiego omijano z szacunkiem i obawą. Wąsowi zdawało się, że zachowując podobną postawę potrafi się zabezpieczyć przed kłopotami.

Droga była na ukończeniu, władze municypalne szykowały się do uroczystego otwarcia, a Werner werbował robotników do następnej pracy. Wąs poszedł do osady. Bawił tam kilka dni. Gdy wrócił oczy mu błyszczały z zadowolenia. Opowiadał kawały i to takie, że Czech słuchając odsuwał od siebie butelkę i zaśmiewał się do łez.

— Potrzebuję ludzi do pomocy — powiedział nagle.

— Do jakiej?

— Chcę wyciąć kawałek lasu i postawić chałupę.

Murzyn poskubał rzadkie kręcone włosy na brodzie.

— Pomogę ci.

— Dasz wódki to i ja pójdę.

— Nie, nie dam. Zbyt ci dobrze życzę, żeby pomagać rujnować zdrowie.

— Hm, to zabierasz się na swoje?

— Ano tak. Byłem w urzędzie ziemskim i załatwiłem wszystko.

— Nad rzeką?

— Nad rzeką.

— Zaczekaj, niech się namyślę. Może pójdę.

Ale Wąsowi było pilno. Przygotował plecak, do worka załadował narzędzia.

— **Até a outra vista!** — powiedział na pożegnanie.

Poszedł na przełaj przez las. Za nim pobiegł Tavares. Zniechęcony był do współtowarzyszy pracy, zbyt głośnych rozmów, pijackich śpiewów, obecności Czecha, zrządzenia Wenera i wszystkiego co nie było spokojem i ciszą, do czego przywykł w puszczy.

Z miejsca wzięli się do pracy. Tavares był dzielnym pomocnikiem. W przeciągu paru dni zbudowali coś, czego nie można było nazwać domem, ale co dawało schronienie przed upałem i niepogodą. Była to obszerna szopa przegrodzona na pół, z kuchnią i przybudówką. Wąs wysilił się, ulepił z kamieni i gliny piec kuchenny, który choć przy rozpalaniu dymił, to później ciągnął jak sto diabłów. Murzyn patrzył na niego z nieklamany podziwem - człowiek który potrafił robić takie rzeczy musiał być nieładą mistrzem. Przyzwyczajony do zwykłych palenisk, których dym wygryzał oczy, umiał ocenić dobrodziejstwo porządnego pieca.

(Dok. nastąpi)

LISTY DO REDAKCJI

(Dok. z nr. 66)

S. Paulo 4-5-65.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim numerze "Skarpy" zainteresowały mnie uwagi czytelników. Pan J. Morawski z N. Y. jest zachwycony "Bukami" Henryka Przyborowskiego, natomiast nasz czcigodny p. Józef Grabias z Parany jest o "Bukach" odmiennego zdania. Uważa, że zamiast "rozgrzebywania brudów ludzkości" należało by "zamieszczać opowiadania uwydatniające charakterystyki piękne". Zaś p. Józef Zawierucha z Toledo pisze, że papier jest "za gruby" i że dobrze by było drukować wiadomości z kraju. Niechże i mnie będzie wolno się wypowiedzieć a za temat wezmę wypowiedzi moich poprzedników.

Publikacje Henryka Przyborowskiego znamy przecież nie tylko ze strony deprymującej. Raz są takie, raz inne. Gdybyśmy chcieli mieć obrazy tylko radosne, to musielibyśmy np. u Sienkiewicza powykreślać te wszystkie wstrząsające tragizmy w Trylogii i w Krzyżakach. To samo było by z Żeromskim, wraz z jego "Dziejami Grzechu". Nie zawsze literatura piękna jest radosna, ale zawsze jest budująca.

A ten "gruby" papier, to przecież efektowny wyczyn Wydawnictwa w celu upiększenia szaty kwartalnika, zasługujący za wszelkich miar na nasze gorące uznanie. Jednakowoż, p. Zawierucha dopytuje się, słusznie, o wiadomości z Polski, bo "Skarpa" ich nie podaje. Powiem co o tym wiem.

Pisma emigracyjne, nawet jak najbardziej obiektywne i całkowicie apolityczne, spotykają się z zarzutem, jakoby otrzymywały pomoc finansową, za publikowanie wiadomości z kraju. Stąd obiekcja wydawnictw (niezawodnie również "Skarpy"). Przeczulenie na tym tle sięga głęboko i w rezultacie jesteśmy pozbawieni tych wiadomości. Łącznie z tym przypomniałem sobie moje przeżycie jeszcze z czasów stalinowskich.

Zostałem zaproszony do odwiedzenia załogi statku polskiego w Santos. Nie odmówiłem, chociaż według ówczesnych pojęć powinienem był to zrobić ze względu na moje stanowisko prezesa Skarbu Narodowego rządu londyńskiego. Wszelako postanowiłem wypowiedzieć się przy tej okazji, przed załogą, dlaczego jest negatywne stanowisko wychodźstwa w stosunku do reżymu. Przemówienie wygłosiłem w oficerskiej messie, w obecności konsula PRL, kapitana statku, oraz "kogoś" który wówczas bywał przydzielany do załogi w roli "anioła stróża". Następnie tekst przemówienia doręczyłem konsulowi i kapitanowi. Tenże kapitan, później na uboczu, podziękował mi za przemówienie, zaznaczając, że takie same zapatrywania na stalinowski reżym podziela społeczeństwo w Polsce. A społeczeństwo, to naród, a z tym zrywać nam nie wolno. Dla zbyt przeczulonych niech posłużą aksjomat: reżym sobie a naród

sobie. Tak, ale tylko w pewnej mierze. Bo czy by był możliwy tak wspaniały rozwój Polski powojennej przy ustroju nie socjalistycznym? Szczególnie na Ziemiach Odzyskanych, które przodują pod każdym względem.

Chcemy o naszym narodzie wiedzieć jak najwięcej. Chcemy z nim współżyć i z nim współczuć. Chcemy wiedzieć o jego zdobyczach w każdej dziedzinie rozwoju i dlatego pragniemy śledzić te przejawy za pośrednictwem wiadomości z Polski. Bez takich wiadomości "Skarpa" będzie pustką. To przecież nie ma nic wspólnego z polityką. I zapewne, tak Zaleski jak i Anders, czy Sosnkowski cieszą się z pomyślnego rozwoju Polski, mimo iż nie sprzyjają panującemu reżymowi. To są wczyny naszego narodu, naszych braci.

Jakże dużo pożytecznego i ciekawego materiału informacyjnego można zdobyć z miesięcznika "Nasza Ojczyzna". Te wiadomości, w streszczeniu, można by podawać w "Skarpie", bo nie wszyscy otrzymują je bezpośrednio z Polski. Jak na to zapatruje się Redakcja?

Stanisław Hessel

Rua Alfredo Pujol, 187
São Paulo.

Do Redakcji "Skarpy".

Dziękując naprawdę serdecznie za nadesłanie mi kwartalnika "Skarpa" wysłałam równocześnie listem pieniężnym Cr\$ 5.000 na poczet prenumeraty za r. 1965 i resztę do dyspozycji W. Sz. Panów.

W powieści "Buki" p. H. Przyborowski przypomina nam pewne fakty z 1914 - 1918 r. z historii naszej walki o Niepodległość, dlatego poszperałam w moich papierach i załączam 4 stare fotografie z tych lat do albumu p. H. Przyborowskiego.

Jeszcze raz dziękuję za kwartalnik i z niecierpliwością oczekując na następny numer załączam wyrazy uznania dla Waszej pracy

Itaunas, sitio Sta Rita, stan Espirito Santo, 25 marca 1965 r.

Bolesław Ruszczycki

Do Wydawnictwa kwartalnika "Skarpa".

Korzystam z okazji, żeby się wypowiedzieć, że ja, jak i ci co im dałem do przeczytania pierwszy numer są zdania, że p. Grabias ma rację.

Z poważaniem

Canoinhas, Santa Catarina, dn. 22 maja 1965 r.

Edward M. Dobrychtóp

OD REDAKCJI:

Dyskusja w sprawie kierunku pisma jeszcze się toczy toteż odpowiemy naszym Szanownym Czytelnikom na ich zarzuty i dezyderaty dopiero w następnym numerze "Skarpy".

Na razie prosimy Czytelników o dalsze głosy w dyskusji.

Redakcja

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS,
ETC., EM TODAS AS ESPESSURAS E DUREZAS
— MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA
TODOS OS FINS.

Laminação de metais

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS:

- Rua Quirino de Andrade, 219, Conjunto 74.
- Telefone: 33-4936.

S ã O P A U L O

Mirvaine

Relógios

ANDRÉ DE BAC
Sigand
FERO
F. E. Roskopf

ROSKOPF LEGÍTIMO
Patent

MIRVAINÉ
IMPORTAÇÃO LTDA.

Rua Cons. Crispiniano, 379 -
7.º and., conj. 701
Tel.: 35-38-46

São Paulo

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJE

W K O M I S

książki polskie

SEWERYN HARTMAN
Rua Barão de Itapetininga,

255 — s. 514

Caixa Postal 6335

Tel. 36-55-16

São Paulo

Elektryczne instalacje
przemysłowe

niskiego i wysokiego
napięcia

ELOBRA

OBRAS

ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 - 10.º
Conj. 103 — Tel.: 34-0806

São Paulo

**EMBELEZE
SEU LAR**

E VALORIZE SEU TV
TORNANDO-O
MODERNO,
FUNCIONAL
E AGRADÁVEL

Mesas

ELEM

para TV

Procure nas lojas
especializadas

Korzystajcie z usług

Companhia para Expansão da Construção

“COEXCO”

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy
mieszkalne.

W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykoń-
czenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad “COEXCO”:

Niezawodny termin

Stała, niezmienna cena

Własne tereny

Staranne wykończenie

Sprzedaż na raty

Companhia para expansão da construção ‘COEXCO’
São Paulo, Rua São Bento, 279 — 12.º andar — Tel.: 30-4737

CONSTRUÇÕES
MECÂNICAS

Rozenowicz Limitada

TRANSPORTADORES
ALIMENTADORES
ELEVADORES
PENEIRAS
MOINHOS DE MARTELOS
ESTRUTURAS METÁLICAS

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Caixa Postal, 11.912

SÃO PAULO

CONTITEC

CIA. CONTINENTAL
TÉCNICA

Rury stalowe bez szwu,
ciągnione na zimno
4,0 do 50,0 m/m średnicy i
0,5 do 2,75 m/m grubości
ściany

*Rury bez szwu miedziane,
mosiężne i aluminiowe.*

Praça Sta. Helena, 26
Caixa Postal, 8451
Fone: 63:6054

End. Teleférico
"CONTITEC"

SÃO PAULO

Tipografia Alada Ltda.

Rua Vitória, 237
Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

- Druki handlowe
wszelkiego rodzaju
- Zaproszenia na śluby
- Karty wizytowe
- Stemple

WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE

"PINTURAS LASOTA"

WYKONUJEMY PRACE MA-
LARSKIE KOŚCIOŁÓW I
KOLEGIÓW W INTERIORZE
STANU.

STEFAN J. LASOTA

Rua Júlia da Costa, 1.171

CURITIBA — PARANÁ



Caldeiraria e Mecânica INOX LTDA.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDAVEL
— COBRE — ALUMINIO — FERRO —
RESERVATÓRIOS — AUTOCLAVES —
CALDEIRAS — TANQUES — TACHOS

EQUIPAMENTO [★] PARA INDÚSTRIAS

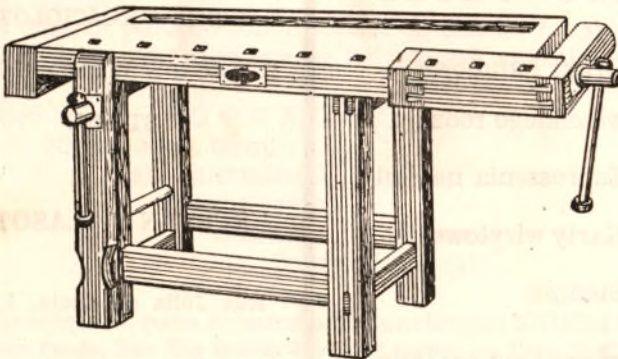
- ★ QUÍMICA — FARMACÊUTICA
- ★ GORDURAS — SABÕES
- ★ PERFUMARIAS — COSMÉTICOS
- ★ TEXTIL — TINTURARIAS
- ★ PAPEL — PAPELÃO
- ★ CONSERVAS — CHOCOLATES
- ★ CARNES — FRIGORÍFICOS
- ★ LATICÍNIOS — PASTEURIZADOS
- ★ BEBIDAS — DISTILARIAS
- ★ PLÁSTICOS — BORRACHA
- ★ TRATAMENTO DE ÁGUA

ESCRITÓRIO E FÁBRICA: Rua Oliveira Lima, 455 —
Cambuci — Fone: 35-4995 — SÃO PAULO

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, - SÃO PAULO



Warsztaty stolarskie, modelarskie, dla ślusarzy, jubilerów
i innych zawodów. Instalacje przemysłowe. Wykonanie
specjalnych zamówień.

Na składzie dużo warsztatów gotowych.

PRODUTOS QUÍMICOS
“TANATEX” LTDA.

São Paulo

Escritório: Rua Álvaro de Carvalho, 118 cj. 503/4
Tel.: 36-4532 e 34-5061

PRODUTOS ESPECIAIS P/ PROCESSOS DIFÍCEIS
DE BENEFICIAMENTO

CARRIERS P/TINGIMENTO DE FIBRAS
POLIESTER ETC.

TANALON ESPECIAL

TANAPAL ME

TANAPON X-70

CAROLID

TANAVOL

ETC.

Tricot-lã

sweater
original

